

# Lampart

**NORTON ANDRE**



calibre 0.7.28

Andre Norton

Lampart

Przełożyła Ewa Witecka

Tytuł oryginału The Jargoons

O świątyni Gunnory i o tym,

co tam się wydarzyło w Roku Rudego Dzika

Dzieje Arvonu spisano w wielu kronikach, gdyż jest to kraj starożytny ponad ludzkie wyobrazenie, nawet ponad wyobrazenie ludzi starszych ras. O niektórych opowieściach prawie zapomniano, tak że tkacz pieśni dysponuje tylko zachowanymi w pamięci ich strzepami. Inne zaś ułożono i znane są w najdrobniejszych szczegółach. W kraju, którego mieszkańcy znają moc czarodziejską i posługują się nią, jeden cud goni drugi, tak jak długowłose owce z Krainy Dolin biegną tuż za grającym na fujarce pasterzem. I chociaż wiele szczegółów dotyczących Siedmiu Wielmożów i tych, którzy rządzą przed nimi, zaginęło, to wydane przez nich wyroki nadal obowiązują. Nawet władający mocą nie wiedzą wszystkiego i nigdy nie będą wiedzieć. Kim była Gunnora? Czy Madra Kobieta tak potężna, że po jej śmierci niektórzy ludzie zaczęli mówić, iż nigdy nie była człowiekiem, tylko duchem? Jeśli nawet tak się rzeczy miały, to ta część prawdy o niej od dawna przesłonięta jest mgłą zapomnienia. Lecz wpływ Gunnory pozostał ku pocieszeniu serc, o czym wiedzą wszystkie kobiety. Jej to symbolem jest snop dojrzałego zboża opleciony winoroślą o gotowych do zerwania gronach. Każda dziewczyna nosi amulet Gunnory, kładzie na nim dłoń w chwili poczęcia dziecka i będzie ścisnąć go mocno, gdy nadejdzie czas porodu.

Do świątyni Gunnory przychodzą kobiety, którym źle się ułożyło w życiu, chcące wyleczyć się z bezpłodności albo pragnące łatwiejszego porodu. I wszyscy zaświadcza, iż Gunnora ma moc uzdrawiania.

Dlatego właśnie w świątyni Gunnory zaczyna się kronika Kethana czy też - jeśli mam mówić nie tyle jako tkacz pieśni, ile jako zwykły mieszkaniec Arvonu - moje własne dzieje. Prawda o tym, co się wydarzyło w świątyni przy moich narodzinach, przez długi czas była ukryta przed światem i trzymana w tajemnicy. W końcu dopiero czary wyrwały ją na światło dzienne.

Wedle zwyczajów Czterech Klanów - Czerwonych, Złotych, Niebieskich i Srebrnych Plaszczy - dziedziczenie odbywa się zgodnie ze starożytnym prawem: nie syn wódza zostaje jego następcą, ale syn jego rodzonej siostry, oczywiście jeśli urodzi chłopca. Dziedziczenie w linii żeńskiej uznaje się bowiem za najprawdziwsze. W Domu Car Do Prawn to pani Heroise miała wydać na świat dziedzica rodu. Jej brat Erach, Pan Na Zamku, ożenił się wcześniej i miał już syna Maughusa oraz córkę Thaney (znajdującą się jeszcze w kolebce). Heroise mimo to jednak nie zdradzała chęci wzięcia do swego łóżka żadnego

mezczyzny. Była bardzo dumna kobieta, obdarzona pewnym talentem władania moca. Jako młoda dziewczyna uczyła się u Madrych Kobiet z Garth Howel i kiedy wezwano ją do powrotu, zabrala ze sobą jedną z nich, Ursillę.

Dobrze pamiętała, że powinna we właściwym czasie urodzić syna, który zajmie krzesło wodza klanu. Przysięgła też sobie, że poświęci wszystko dla takiego ukształtowania umysłu i ciała tego chłopca, żeby od dnia, w którym drużynnicy podniosą go na tarczach i wykrzyczą jego imię na cztery strony świata, to jej wola kierowała postępowaniem syna. Dla realizacji tego projektu sprzymierzyła się z Ursillą, ta zaś dysponowała całą wiedzą swego rzemiosła.

Nikt nie wiedział, kto był ojcem dziecka, które poczęła wczesną wiosną w roku Rudego Dzika. Miała prawo wstąpić w taki czasowy związek, jeśli tego chciała. Szeptano, że to Ursilla wybrała dla niej partnera, lecz nie starano się zgłębić tajemnicy jego pochodzenia w obawie, by nie okazało się, iż przyszły dziedzic może być kims gorszym - lub lepszym - od zwykłego człowieka. Pani Heroise była pewna, że urodzi chłopca, a Ursilla utwierdzała ją w tym przekonaniu.

W miesiącu Śnieżnego Ptaka pani Heroise i jej dworki razem z Ursillą wyruszyły do świątyni Gunnory, ponieważ Madra Kobiety zaniepokoiła niepomyślna wroźba. Jej niepokój udzielił się matce przyszłego dziedzica Car Do Prawn, która postanowiła zapewnić sobie wszelką dostępną pomoc, by rezultat tych zaplanowanych działań był zgodny z jej gorącym pragnieniem. Dla wygody podróżując etapami, gdyż polacie śniegu nadal niejednolicie pokrywały ziemię (mimo że przynajmniej w południe wyczuwano się w powietrzu tchnienie nadchodzącej wiosny), przybyły do świętego miejsca.

Gunnora nie ma ani kapłanek, ani służek świątynnych. Kobiety szukające jej pomocy stają przed Istotą, która może ją wyczuć, ale nie zobaczyć. Dlatego nowo przybyłych nie powitały tu żadne kobiety. Natomiast w stajni, zbudowanej przy świątyni, znajdowały się dwa konie, a na dziedzińcu jakiś mężczyzna chodził tam i z powrotem jak śnieżny kot w klatce, nie osmielając się wejść do wnętrza sanktuarium.

Nieznajomy spojrzał na brzemienną Heroise, która wkroczyła niezdarnie na dziedziniec. Potem odwrócił się szybko, jakby w obawie, iż zachował się nieuprzejmie. Dlatego nie zauważył Ursilli, która mijając go, rzuciła nań długie, badawcze spojrzenie. Zmarszczyła lekko brwi, jakby przyszła jej do głowy jakaś niepokojąca myśl.

Ursilla spieszyła się jednak bardzo - musiała zająć się swoją panią i podopieczną, gdyż wydawało się, że pani Heroise źle obliczyła swój czas i właśnie chwyciły ją bole. Ulokowana w jednym z wewnętrznych pokojów obsługiwała tylko Ursillą, inne kobiety czekały na zewnątrz.

W powietrzu rozszedł się intensywny zapach, jakby wszystkie kwiaty późnego lata zakwitły jednocześnie, i rodzaje wydawało się, że spaceruje między klombami w wielkim

ogrodzie. Wprawdzie czuła ból, ale był tak daleki, tak nie związany z jej ciałem, że nic nie znaczył. Rosła w niej ogromna radość, jakiej jej chłodny i przebiegły umysł nigdy dotąd nie zaznał.

Nie zdawała też sobie sprawy, że w sąsiedniej komnacie leży inna patniczka, przy której czuwa jedna z Madrych Kobiet z pobliskiej wioski. Ona również sniła radośnie, oczekując dziecka, które pragnęła wziąć w ramiona, a miłość do niego już teraz przepelniała jej serce.

Zadna z nich nie wiedziała, że zbliża się burza. Mężczyzna, który snuł się po dziedzincu, podszedł do wejścia, spojrzał z niepokojem na gromadzące się ciemne chmury i zadrzał. Jakkolwiek dobrze znał kaprysy natury i obserwował je przez wiele lat, to ta nieruchoma cisza, która rozpostarła się nad ziemią pod czarnym niebem, nie przypominała niczego, co widział w życiu. Z powodu swojej natury był wyczulony na działanie sił, które nie pochodziły z Arvonu ludzi, ale z Arvonu Mocy. Możliwe, iż teraz Moc miała się objawić w sposób, który zagrażał wszystkiemu w dole.

Sięgnął rękami do pasa i palcami przebiegł po nim, jakby szukał czegoś. Trzymał dumnie głowę, gdy wyzywająco przyglądał się chmurom i temu, co, jak przypuszczał, mogło nimi kierować. Ubrany był skromnie, w brązowy kaftan bez rękawów i zieloną jak las koszulę. Jego oponcza leżała na dziedzincu. Na nogach miał brązowe buty do konnej jazdy i zielone bryczesy. Od razu rzuciło się w oczy, że nie był wiesniakiem ani nawet wojtem jakiegoś małego i niezbyt ważnej osady, jak mogłoby sugerować ten strój. Jego gesty, ciemne włosy rosły w szpic nad czołem, a oczy dziwnie nie pasowały do ogorzałej twarzy - były bowiem zielone jak ślepią jakiegoś wielkiego kota. Każdy, kto kiedykolwiek rzuciłby na niego jedno spojrzenie, zrobiłby to po raz wtóry, urzeczony bijącym od niego autorytetem, mężczyzna ten bowiem wydawał się kims, kto rządzi się tylko własną wolą.

Teraz jego wargi wypowiedziały jakieś słowa, lecz nie uczyniły tego głośno. Nakreślił ręką w powietrzu niewielki znak. W tej samej chwili ze stajni dobiegło donosne rzenie. Nieznajomy odwrócił się szybko. Kiedy rzenie powtórzyło się, mężczyzna podniósł oponczę i pobiegł do koni.

W stajni zastał ludzi z orszaku z Car Do Prawn, spieszących przed burzą własne wierzchowce. Lecz oba konie zastane tam stały deba i zarzały, bijąc przednimi kopytami jak rumaki bojowe tresowane do walki w Krainie Dolin. Słudzy i strażnicy zakleli głośno i dotknęli harapow, ale podejść bliżej się nie odwazyli.

Wierzchowce, które najwyraźniej broniły swej kwatery przed obcymi, wydały im się dziwne: były jabłkowitej masy, siwe z czarnym, plamy mroku na ich sierści, pozbawione wyraźnych konturów, zlewały się z tłem i zamazywały. Bez trudu mogłyby się ukryć w zalesionym terenie przed każdym wrogiem. Były wyższe i lżejszej budowy niż większość koni.

Teraz zwróciły głowy w stronę biegnącego mężczyzny i zarzały, witając i jednocześnie się

skarzac. Nieznajomy bez słowa minal przybyszów i podszedł do zwierząt. Uspokoili się, tylko sapaly i parskaly. Ich pan przesunął dłońmi po grzbietach, po czym ujął za uzdy i zaprowadził do przeciwległego końca stajni. Umieściwszy razem w dużej przegrodzie, odezwał się:

-Nie będzie kłopotów, ale trzymajcie się waszej strony...

Powiedział to sucho, rozkazującym tonem. Dowódca eskorty pani Heroise popatrzył na niego spode łba. Oburzyło go, że ktoś tak niepozorny odważa się przemawiać tak wyniosłe w obecności jego podwładnych; gdyby się znajdowali w każdym innym miejscu, zaraz by go osadził.

Byli jednak w świątyni Gunnory. Tutaj żaden mężczyzna nie osmieliłby się sprawdzić, co by się stało, gdyby ktoś obnażył miecz - śmiercionośną bronią w miejscu poświęconym życiu. Mimo to spojrzenie, jakim obrzucił zuchwałca, nie wrożyło nic dobrego na przyszłość.

Wśród przybyszów z Car Do Prawn pewien strażnik nie odrywał oczu od nieznajomego, który stał pomiędzy swoimi dziwnymi koniami, położywszy dłonie na ich szyjach. Wierzchowce pochylili ku niemu wąskie głowy, a jeden z nich szczypał mu włosy. Pergvin służył w minionych latach pani Eldris, tej, która urodziła pana Eracha i jego siostrę Heroise. W jego pamięci odżyły dalekie wspomnienia, lecz nimi nie podzieliłby się z nikim z obecnych. Jeśli te podejrzenia były słuszne, to jakież kapryś losu doprowadził do nieoczekiwanego spotkania właśnie tego dnia i o tej godzinie? Bardzo pragnął zbliżyć się do nieznajomego, wypowiedzieć zapamiętane imię i zobaczyć, czy obcy się zachowa. Ale dawno temu przysiągł dochować tajemnicy, po tym, jak pewien wygnaniec opuścił zamek Car Do Prawn, żeby nigdy tam nie wrócić.

-Pergvin! - Ostre napomnienie dowódcy przywróciło go do rzeczywistości: musiał pomóc swoim towarzyszom przy niepokojących się koniach. Rozszalała na zewnątrz nawałnica zdolna była zmiąć każdą nędzną istotę ludzką.

Lał nawałny deszcz, tak że z wejścia do stajni nie widzieli świątyni Gunnory, chociaż znajdowała się tak niedaleko. Wiatr spadł na nich, chłostząc lodowatymi strugami, dopóki nie zamknęli i nie zaryglowali wrot. Zdawało się, jakby przez stajnię przebiegł ostrzegawczy dreszcz.

Nieznajomy zostawił konie, podszedł do wrot i położył dłoń na ryglu. Jednakże Cadoc, dowódca eskorty pani Heroise, szybko przeciął mu drogę i wsunął się między podniesioną rękę a kłamkę.

-Zostaw to w spokoju! - Musiał niemal krzyczeć, gdyż ryk wiatru zagłuszał słowa. - Chcesz dać dostęp żywiłom?

Tamten znowu opuścił rękę do pasa, przesunął po nim palcami, jakby czegoś tam szukał. Nie wyciągnął jednak z pochwy krótkiego miecza, który bardziej przypominał kordelas

lesnika niz orez uzywany na wojnie.

Pomimo wrzacego w piersi gniewu Cadoc przestapil z nogi na noge pod spojrzeniem, ktore zwrocil na niego nieznajomy. Mimo to nie ustapil i tamten po dluzszej chwili wrocil do odleglej przegrody, stanal miedzy konmi i oparl dlonie na ich karkach. Tymczasem Pergvin, spogladajac ukradkiem zauwazyl, ze dziwny mezczyzna zamknal oczy i poruszal wargami, wymawiajac slowa, ktorych nie mogl lub nie smial wypowiedziec na glos. Stary straznik poczul sie nieswojo, prawie sie zawstydzil, jakby obserwowal cos bardzo osobistego. Odwrocil sie wiec szybko i dolaczyl do towarzyszy niedoli. Pochylali glowy i kulili sie wraz z kazdym uderzeniem wiatru w stajnie, ktora obecnie wydawala sie nader watlym schronieniem.

Ich konie wpadly teraz w panike, w przeciwnienstwie do wierzchowcow nieznajomego, ktore staly spokojnie. Starajac sie je uspokoic, po czesci zapomnieli o wlasnych lekach i obawach.

Pani Heroise nie miala pojecia o nawalnicy szalejacej za murami swiatyni. Ale czuwajaca przy niej Ursilla przysluchiwala sie gwaltownym podmuchom i zawodzeniu wiatru, czula pulsowanie dzikich sil natury docierajacych do wnetrza starozytnej budowli. Rosl w niej strach i zdumienie; nie mogla wyzbyc sie przekonania, ze to zly znak. Pragnela posluzyc sie moca, odczytac wrozbe kryjaca sie za wsciekloscia zywiolow. Nie odwazyla sie jednak uszczuplic skoncentrowanej na pani Heroise energii, zeby nie przeszkodzic w spelnieniu sie ich wspolnego zyczenia.

Spiaca w sasiedniej komnacie patniczka ocknela sie z zeslanej przez Gunnore drzemki. Spochmurniala i wyciagnela przed siebie obronnym gestem rece, jakby chcac oddalic jakas grozbe. Czuwajaca przy niej Madra Kobieta ujela jej dlonie i starala sie ja uspokoic. Nie wladala ona wielka moca. W porownaniu z silami, ktore mogla przywolac Ursilla, jej dzialania przypominaly niezdarne proby dziewczynki nie znajacej jeszcze starozytnej wiedzy. Mimo to za posrednictwem jej rak spokoj i otucha splynely na polprzytomna patniczke i przegnaly strach. Nieokreslony, lekki cien, ktory ja dotkнал, znikl, rozplynal sie.

W szczytowym momencie burzy rozlegl sie krzyk nowo narodzonego i dobiegl z obu izdebek jak echo. Ursilla spojrzala na dziecko, ktore trzymala na rekach. Jej twarz wykrzywil grymas.

Pani Heroise otworzyla oczy i rozejrzala sie dokola, szybko odzyskujac przytomnosc. Jej walka byla skonczona, zdobyła wszystko, czego pragnela i nad czym pracowala tak dlugo.

-Daj mi popatrzec na mojego syna! - zawolala. Kiedy Ursilla zawahala sie, Heroise uniosla sie wyzej na poslaniu.

-Dziecko, co jest z dzieckiem? - zapytala.

-Nic... - odrzekla powoli czarownica - tylko to, ze urodzilas corke.

-Corke?! - Wydawało się, iż Heroise nie może wydusić z siebie tego słowa. Tak mocno zacisnęła ręce na okryciu, jakby chciała podrzec tkaninę na kawałki. - To niemożliwe! Rzuciła wszystkie czary w noc, w która... w która... - Zakrztusiła się. Wściekłość malowała się na jej twarzy. - Tak było we wroźbach... Przysięgasz, że tak się stanie!

-Tak. - Ursilla owinęła niemowlę pieluszką. - Moc nie kłamie. Wobec tego musi być jakiś sposób... - Jej twarz stęzła. Utkwiła wzrok w swojej pani, a jej oczy były puste i martwe. Wydawało się, iż dusza czarownicy opuściła ciało w poszukiwaniu potrzebnej wiedzy.

Heroise patrzyła na nią w napięciu, ale bardzo spokojnie. I nawet mimochodem nie spojrzała na dziecko kwilące na kolanach Ursilli. Skupiła całą uwagę na Madrej Kobiecie. Wyczuła Moc. Z nauk pobieranych "w Garth Howel zapamiętała tyle, że orientowała się, iż jej powiernica rzucała teraz czary. Lecz choć już nie robiła jej wyrzutów, skreśliła w dłoni i szarpnęła okrycie, nawet nie próbując uspokoić palców.

Błysk życia na nowo pojawił się w oczach czarownicy, która odwróciła lekko głowę, wskazując podbródkiem na ścianę z lewa.

-To, czego pragniesz, jest tam. Chłopiec urodzony w tej samej chwili, co twoje dziecko...

Heroise jęknęła. To był sposób... To był jedyny sposób!

-Jak...

Ursilla gestem nakazała jej milczenie. Nadal trzymając niemowlę w zgięciu ramienia, zwróciła się twarzą do ściany. Jej prawa dłoń uniosła się i opadła, kiedy czubkiem palca nakreśliła na tej zaporze jakies znaki i symbole. Niektóre z nich zaświeciły na chwilę czerwienią, jakby zarzucił się w nich ogień. Innych Heroise nie rozpoznała, gdyż Madra Kobieta gestykulowała bardzo szybko.

Kreśląc czarodziejskie znaki Ursilla śpiewała zaklęcia i wymawiała Wielkie Imiona, ale zawsze tylko szeptem. Mimo to Heroise słyszała je wyraźnie wśród wycia wichury. Na dźwięk jednego lub dwóch Wielkich Imion wzdrygnęła się i zadrżała, lecz nie zaprotestowała. Obserwowała tylko wszystko uważnie, czekając na spełnienie swoich pragnień.

Wreszcie czarownica zakończyła czary.

-Stało się - powiedziała. - Rzuciłam czar zapomnienia. Obie kobiety śpią. Kiedy się obudzą, obok będzie dziecko, które uznają za prawdziwie przez tamta narodzone.

-Tak, zrób to szybko! - ponagliła ją pani Heroise.

Ursilla odeszła, a Heroise osunęła się znowu na łóżko.

A wiec spelnila swoje zamiary: urodzila dziedzica Car Do Prawn. W przyszosci - jej oczy zablysy - to ja... to ja bede tam pania! I dysponujac bogactwami calej posiadlosci, a przy tym wladza nad posluznym sobie dziedzicem, i majac do pomocy Ursille - czegoz z czasem nie osiagne! Rozesmiala sie glosno, gdy czarownica wrocila, trzymajac w ramionach zawiniete w pieluszke dziecko. Podala je Heroise.

-To twoj przystojny syn, pani. - Wypowiedziala starozytna formulke uzywana przez polozne. - Popatrz na niego i nadaj mu imie, zeby mu sie dobrze wiodlo w zyciu.

Pani Na Zamku niezdarnie wziala niemowle. Spojrzala na jego twarzyczke z zacisnietymi mocno powiekami o ciemnych rzesach, na wlozona do ust piastke. Mial ciemne wlosy. To dobrze. Jej wlasne mialy niemal ten sam odcien. Odsunela pieluszke, zeby obejrzec male cialko. Tak, byl prawidlowo ukszaltowany i nie mial zadnego znamienia, ktore pozniej mogloby posluzyc do zakwestionowania jego pochodzenia.

-Nazywa sie Kethan - oswiadczyla szybko, jakby w obawie, ze ktos jej w tym przeszkodzi. - To moj syn, dziedzic Car Do Prawn, przysiegam na Moc.

Ursilla pochylila glowe.

-Zawolam twoje dworki - odparla. - Kiedy burza sie skonczy, powinnismy ruszyc w powrotna droge.

Heroise wygladala na lekko zaniepokojona:

-Powiedzialas, ze one - ruchem glowy wskazala na sciane - nigdy sie nie dowiedza.

-To prawda, przynajmniej na razie. Ale im dluzej tu pozostaniemy, tym wieksze ryzyko, ze cos moze pokrzyzowac nasze plany, mimo ze wsparlam je poteznymi czarami. Ona... - Ursilla zawahala sie. - Ta, ktora jest matka, wydala mi sie dziwna. Ma nieco talentu...

-A wiec dowie sie! - Heroise przytulila chlopca do piersi tak mocno, ze obudzil sie i krzyknal cicho, wymachujac piastkami, jakby chcial uwolnic sie z jej uscisku.

-Moze miec talent, ale nie moze sie rownac ze mna - wyniosle odparowala czarownica. - Wiesz, ze potrafimy ocenic kogos takiego jak my same.

Jej pani skinela glowa.

-Lepiej oddalmy sie stad. Przyslij do mnie moje dworki. Chcialabym, zeby zobaczyly to dziecko, zeby uznaly je od pierwszej chwili jego zycia za Kethana, ktory jest tylko moj!

W sasiedniej komnacie prawdziwa matka chlopca drgnela. Na jej twarzy malowal sie lekki niepokoj. Poruszyla oparta na poduszce glowa i otworzyla oczy. Tuz przy niej lezalo dziecko. Madra Kobieta pochylila sie nad nia.



-Tak, pani, to twoja coreczka. Tak, naprawdę nią jest. Twoja słodka coreczka, pani. Popatrz na nią i nadaj jej imię, żeby wiodło jej się w życiu.

Matka z radością wzięła dziewczynkę w ramiona.

-Ona nazywa się Aylinn, jest córką moją i mego małżonka. Och, przyprowadź go szybko, gdyż teraz, gdy już nie jestem pod opieką Gunnory, odczuwam niepokój. Przyprowadź go szybko!

Przytuliła córkę i zanuściła miłostnie kolysankę. Aylinn otworzyła oczy, a potem buzię i wydała cichy okrzyk, jakby nie była pewna, czy świat jest dostatecznie sympatyczny. Kobieta rozesmiała się radośnie.

-Ach, coreczko, jesteś po dwakroć, po trzykroć upragniona. Będiesz miała lepsze życie niż ja, kiedy byłam dzieckiem. Bada cię chronić moje ramiona i miecz mojego małżonka - a ty będziesz trzymała w rączkach nasze serca!

Burza cichła. Nieznajomy mężczyzna wydostał się ze stajni i spotkał w drzwiach świątyni Madra Kobietę, która asystowała przy porodzie. Spiesząc do swej małżonki usłyszał jakieś poruszenie w sąsiedniej komnacie, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie patrzył nawet wtedy, gdy następnego dnia rano orszak z Car Do Prawn opuścił święte miejsce; Pani Na Zamku jechała w konnej lektyce, trzymając w ramionach swego syna.

Troje pozostałych w świątyni jakiś czas później również wyruszyło w drogę. Skierowali się na północ, ku najdzikszym lasom, które były dla nich domem.

### O życiu Kethana jako dziedzica Car Do Prawn

Car Do Prawn nie jest ani największym z zamków, które składają hold naczelnemu wodzowi Klanu Czerwonych Płaszcz, ani też najbogatszym. A jednak miło popatrzeć na to, co znajduje się w jego granicach: sady pełne wisni i jablek, z których się robi jablecznik i znany w całym Aryonie kordial wisniowy, pola uprawne zawsze wydające obfite plony zboż, rozległe laki z mnóstwem owiec i liczne stada bydła. W samym środku tej pięknej i żyznej krainy wznosi się Zamek, obok którego przycupnęła mała wioska, grzejąca się w promieniach słońca. Domy są pokryte dachami o ostrych szczytach i rzezbionych fantazyjnie okapach. Ściany mają z jasnoszarego kamienia, dach z dachówki lupkowej, a rzeźby spletają się z pomalowanymi zielenią i złotem runami. Lecz sam Zamek, chociaż zbudowany z identycznego surowca, pozbawiony jest owych pełnych wdzięku ozdób. Wieże zawsze otacza cień. Może rzucają go niewidzialne chmury? Nawet w środku lata w zamkowych murach wszystko przenika chłód, którego nikt poza mną zdawał się nie zauważać. Często odnosiłem wrażenie, że jego prastarymi korytarzami wędrowały jakieś istoty mające niewiele wspólnego z ludźmi, że wynurzały się z katów zaciemnionych komnat.

Od czasu gdy zacząłem cokolwiek rozumieć, pani matka dała mi do zrozumienia, że w przyszłości to ja będę tu rządził. Lecz ta obietnica nie napelniała mnie dumą. Wreć

przeciwnie, zacząłem się zastanawiać, czy jakikolwiek człowiek może rościć sobie pretensje do władania nawiedzonym przez duchy miejscem. Możliwe, iż moja powściągliwość stała się moją najlepszą obroną, ponieważ nigdy nie opowiedziałem pani matce ani Ursilli (ktorej wielce się obawiałem) o tych dziwnych i niepokojących fantazjach dotyczących Car Do Prawn.

Do ukończenia szesciu lat mieszkałem w Wieży Dam razem ze swoją jedyną rówieśniczką: była nią starsza ode mnie o rok panienka Thaney, córka pana Eracha. Wcześniej powiedziano mi też, że nasze dalsze losy będą wspólne i że kiedy osiągniemy odpowiedni wiek, weźmiemy ślub, przypieczętując w ten sposób przyszłość naszego Domu. Wtedy niewiele to dla mnie znaczyło, a może również i dla niej.

Thaney była wysoka jak na swoje lata, bardzo rozgarnięta i dość sprytna. Szybko przekonałem się, że jeśli oboje coś spociliśmy i wszystko się wydało, wina zawsze spadała tylko na mnie. Ani jej nie lubiłem, ani nie czułem do niej niechęci. Po prostu zaakceptowałem jej obecność tak jak ubranie na ciele i pokarm na talerzu.

Inaczej rzeczy się miały z jej bratem Maughusem. Był starszy ode mnie o jakieś szesc lat i mieszkał w Wieży Młodzieńców, a do nas przychodził od czasu do czasu, żeby odwiedzić swoją babkę, panią Eldris. Mówię "jego babkę", chociaż była też i moja. Jednak pani Eldris dała jasno do zrozumienia, kogo z nas woli; gdy tylko dostrzegła mnie w pobliżu, ignorowała mnie albo miała do mnie o wszystko pretensje, trzymałem się więc z dala od jej komnat.

Nasz dwór był dziwnie urządzony. Początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo nie znałem innego. Długo byłem przekonany, że wszystkie rodziny żyją tak jak nasza. Pani Eldris posiadała własne komnaty i Thaney powinna w nich przebywać, ale moja kuzynka przeważnie robiła to, co chciała. Jej dworka była stara, gruba i trochę leniwa, więc nie pilnowała Thaney tak, jak nakazywał obyczaj.

Odwiedziny Maughusa w ich pokojach "były dla mnie sygnałem, że muszę się mieć na baczności. Jeśli kiedykolwiek znaleźliśmy się sam na sam (a dbałem o to, żeby zdarzało się to jak najrzadziej), wręcz nie skrywał, że źle mi życzy. Był bardzo dumny i pozerła go (o czym dobrze wiedziałem) niemal taka sama ambicja jak ta, która kierowała postępowaniem mojej matki. Świadomość, że nie zostanie Panem Na Zamku po swoim ojcu, napelniała go goryczą, która rosła z każdym rokiem. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mnie nienawidzi nie jako człowieka, lecz za to, że byłem dziedzicem Car Do Prawn.

Moja matka pani Heroise i Madra Kobieta Ursilla miały również swoje komnaty, które znajdowały się na najwyższym piętrze Wieży Dam. Pani Heroise bardzo interesowała się sprawami dworu. Nigdy się nie dowiedziałem, czy kiedyś w przeszłości doszło do starcia z panią Eldris, z którego wyszła zwycięsko moja matka. W każdym razie, podczas nieobecności pana Eracha to jego siostra wydawała rozkazy i sprawowała sady w Wielkiej Sali. Przy takiej okazji zawsze trzymała mnie przy sobie: siedziałem na stołeczku tuż za wysokim krzesłem Pana Na Zamku z przewieszonym przez oparcie czerwonym płaszczem

naszego klanu, przysлуchujac sie wydawanym przez nia wyrokom. Później tłumaczyła mi powody tej lub innej decyzji - czy została podyktowana zwyczajem, czy też była rezultatem jej rozumowania.

Jeszcze jako małe dziecko wyczuwałem instynktownie, że pragnęła zająć to miejsce na zawsze. Wydawało się, jakby w jej kobiecym ciele ujawniły się przypisywane mężczyźnie cechy, musiała się więc buntować przeciw naszym zwyczajom ograniczającym jej prawa. Tylko pod jednym względem była całkiem wolna: mogła bez przeszkód posługiwać się mocą.

Ursilla była jedyną osobą w całym Zamku, której wyższość uznawała moja matka. Wiem, że zazdrościła Madrej Kobiecie jej wiedzy i talentu. Chociaż pani Heroise sama posiadała podobne zdolności, to były one niewielkie i brakowało jej biegłości, która może dać długoletnią naukę i wewnętrzną dyscyplinę. Tylko dzięki nim mogłaby dorównać swojej nauczycielce, ale była na tyle mądra, że zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy jednak nie przyznała się do braku zdolności w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

Moja matka nie rozwinęła w sobie siły charakteru niezbędnej do ujęcia w karby własnych pragnień i uczuć. Nie mogłaby zatem otrzymać pełnego wykształcenia czarownicy, nawet gdyby nie stała się naczyniem, którego zadaniem było urodzenie dziedzica Car Do Prawn. A kiedy człowiek bardzo czegoś pragnie i nie może tego uzyskać z powodu jakiejś wewnętrznej niedoskonałości, zdarza się, że z czasem gorzknieje.

Skoro pani Heroise nie mogła zdobyć władzy w jednej dziedzinie, postanowiła zrealizować swoje ambicje w innej.

Powiedziałem już, że obawiałem się Ursilli i wolałem jej uniknąć. Ale podobnie jak moja matka zmuszała mnie do nauki rządzenia, tak Madra Kobieta w takim samym stopniu zajmowała się moimi sprawami. Mimo że czarownica władała inną częścią mocy niż ta, która może przywołać czarownika, Ursilla uczyła mnie tego, co uważała za korzystne i dobre dla mnie. Dopiero później zorientowałem się, że jej nauki były starannie oczyszczone ze wszystkiego, co pomogłoby mi uniknąć przyszłości, jaka dla mnie wybrały. To Ursilla nauczyła mnie odczytywać runy, to ona położyła przede mną wyselekcjonowane starożytne pergaminy - dotyczyły głównie dziejów Czterech Klanów, historii Arvonu i Car Do Prawn. Gdybym się tym nie interesował, uznałbym jej lekcje za nudne i zniechęcił się do tych przymusowych i znużających zajęć. Jednak Kroniki, które Madra Kobieta uznała za pożyteczne dla kształtowania mojego charakteru, polubiłem i chętnie się uczyłem. Historia Arvonu nie zawsze toczyła się gładko i sennie. Złote dni tylko pozornie zdawały się bez końca. W przeszłości (nie wiadomo dokładnie, kiedy, ponieważ ci, którzy spisywali wydarzenia, nie byli zainteresowani dokładnym podliczeniem minionych por roku) szalała tu wielka wojna, która doprowadziła do niemal całkowitego zniszczenia struktur społecznych.

Przed tym okresem chaosu nasza posiadłość nie graniczyła z gorami na wschodzie i południu, ale rozciągała się znacznie dalej, sięgając na wschodzie do legendarnego morza,

a na południu do dziś już zapomnianych ziem. Mieszkańcy Arvonu w mniejszym lub większym stopniu mieli dar przywoływania niewidzialnych sił, więc często nasi wielmożni i władcy byli również panami mocy. Zaczeli eksperymentować z samą siłą życia, stwarzając istoty, które by im służyły i rozprawiały się bezlitośnie z ich wrogami. Wielu z nich zżerała ambicja równie wielka jak ta, która kierowała postępowaniem mojej matki, przescigali się zatem w próbach ustanowienia własnych rządów w kraju. Przekroczyli wszelkie granice złych pojętych eksperymentów: otworzyli Bramy do dziwnych i straszliwych wymiarów. Później walczyli ze sobą, niszcząc całe połacie kraju. Niektóre z sił przez nich wyzwolonych okazały się plagami niszczącymi nawet samą moc. Kłotliwi magnaci, w miarę jak malała ich liczba, po kolei wycofywali się i powracali właśnie tu, do serca swej ojczyzny. Niektórzy przybyli szybko, zaniepokojeni i przerażeni przejawami działania energii, których nie mogli kontrolować. Inni zwlekali jak najdłużej, gdyż tak głęboko zapuścili korzenie w swych włościach, że z najwyższą niechęcią zdobyli się na coś, co w ich pojęciu było wygnaniem. Niewielka część tych ostatnich nigdy nie wróciła do Arvonu.

Być może oni sami albo ich potomkowie wiedzą teraz niedźny żywot w położonej na południe od Arvonu Krainie Dolin, która obecnie zamieszkuje inny rodzaj ludzi. Nikt jednak tego nie wie na pewno. W pewnym momencie drogi do Arvonu zostały zamknięte za pomocą czarów i nikt już się nie zapuszczał do Krainy Dolin.

Nie wszystkim zadowoliła ucieczka przed rezultatami własnego szalenstwa. Nadal rzucali sobie wzajemnie wyzwania aż do dnia, w którym przeciw nim wystąpiło Siedmiu Wielmożów. Doszło wtedy do ostatniej, straszliwej konfrontacji pomiędzy tymi, którzy wybrali walkę, a tymi, którzy chcieli tylko pokoju i - może - zapomnienia. W jej wyniku większość Wielkich Adeptów albo wygnano za Bramy prowadzące do innych wymiarów i epok, albo zgładzono po pozbawieniu ich siły woli. Ich zwolenników również skazano na banicję na pewien określony czas.

Kiedy dotarłem do tego miejsca w Kronikach, zapytałem Ursille, czy któryś z owych banitów kiedyś wrócił. Nie wiem, czemu wydało mi się to ważne, może dlatego, iż poraziła mnie myśl, że i ja mogłbym zostać wygnany z Arvonu i błąkać się bez celu w obcym świecie.

-Niektórzy wrócili - odrzekła krótko. - Ale tylko pomniejsi. Wielcy Adepti nigdy nie wrócą. Teraz to już nie ma znaczenia, Kethanie. Zresztą nie powinno cię to interesować, chłopcze. Ciesz się, że urodziłeś się tu i teraz.

Zawsze przemawiała do mnie ostrym głosem i miałam wrażenie, że tylko czyha, aż popełnię jakieś przewinienie, za które będzie mogła mnie ukarać. Czytając często podnosiłem głowę i napotykałem wpatrzona we mnie oczy Madrej Kobiety. Wówczas przypominałem sobie wszystkie swoje najdrobniejsze nawet grzeszki i kreciłem się na krześle czekając, kiedy sama tylko siła woli zmusi mnie do ich wyznania. Nigdy jednak do tego nie doszło.

Zmiana w moim zyciu nastapila wtedy, gdy osiagnalem wiek, w ktorym, zgodnie ze zwyczajem, musialem przeniesc sie do Wiezy Mlodziencow i rozpoczac tam nauke wojennego rzemiosla (chociaz od wielu lat nie bylo wojny poza zdarzajacymi sie od czasu do czasu napadami dzikich ludzi ze wzgorz). W noc poprzedzajaca to wydarzenie Ursilla i Heroise zabraly mnie do wewnetrznej komnaty, ktora byla prawdziwym sanktuarium czarownicy.

Gobeliny nie zdobily jej kamiennych scian, na ktorych przed wiekami wymalowano - wyblakle dzis i niezrozumiale dla mnie - znaki i runy. Na srodku stal prostokatny kamienny blok, dlugi jak meskie loze. Oswietlaly go ustawione na obu koncach cztery swiece grubosci ramienia malego chlopca, osadzone w wysokich srebrnych swiecznikach, ze starosci pokrytych plamami i wzerami. Nad stołem wisiala kula swiecaca srebrzystym blaskiem podobnym do ksiezycowego. Lancucha, ktory moglby utrzymywac ja w powietrzu, nie dojrzałem. Po prostu unosila sie w powietrzu. Na podlodze wokol kamiennego bloku namalowano piecioramienna gwiazde, ktora polyskiwala swieza farba, jakby dopiero co polozona.

Na koncach wszystkich ramion gwiazdy staly wysokie swieczniki, duzo wyzsze niz ja. Swiece stojace na kamiennym bloku byly czerwone, a te na krancach gwiazdy - zolte.

W katach komnaty staly przenosne piecyki z takiego samego zniszczonego przez czas srebra jak swieczniki. Z kazdego buchal wonny dym, ktory wil sie ku gorze, tworzac pod sufitem szara chmure.

Ursilla odrzucila dzis swoja codzienna matowoszara szate i plisowany w drobne faldki plocienny czepiec, zawsze okalajacy jej chuda twarz o ostrych rysach i zaslaniajacy wlosy. Stala teraz z obnazonymi ramionami, a jej ciemne, przetykane siwizna pukle opadaly na niebieska suknie, ktora polyskiwala olsniewajaco w blasku lampy.

Na piersiach Madrej Kobiety widnial wielki srebrny wisior w ksztalcie miesiaca w pelni wysadzany kamieniami ksiezycowymi, niebieskawymi jak lod w otoczce mlecznobialych.

Moja matka rowniez ubrala sie inaczej. Zawsze nosila bogate stroje, lecz tej nocy - w przeciwienstwie do Ursilli - wydawala sie odziana skromniej niz zwykle. Jej suknia miala pomaranczowa barwe plomieni, a wlosy okrywaly ja ciemnym plaszczem. Wisior na jej piersi byl gladkim miedzianym owalem bez zadnych ozdob.

To ona zaprowadzila mnie do sanktuarium Madrej Kobiety. Stanela przed piecioramienna gwiazda i zacisnela mi mocno rece na ramionach, jakby obawiala sie, ze zechce uciec. Bylem tak oniesmielony tym, co tutaj zobaczylem, iz nie zastanawialem sie, jaka role przyjdzie mi odegrac.

Ursilla okrazyla kamienny blok, wskazujac palcem na kazda ze swiec. Zapalaly sie w odpowiedzi na jej gesty. W koncu tylko swieca stojaca przede mna i moja matka pozostala

nie zapalona.

Pani Heroise popchnęła mnie lekko do przodu i oboje znaleźliśmy się w obrębie namalowanej na podłodze gwiazdy. Potem szybko mnie podniosła i położyła na kamiennym bloku. Ledwie się tam znalazłem, ogarnęła mnie nagle senność. Nie mogłem się poruszyć, ale wcale się nie bałem.

Plomyk ukoronował ostatnia ze świec na krancach gwiazdy. Teraz Ursilla zapaliła w ten sam sposób świecę przy mojej głowie i stopach. Czekała w gorzej chmura dymu zaczęła się obniżać. Musiałem zamknąć oczy. Z daleka, bardzo daleka dobiegł mnie cichy śpiew, ale nic rozumiałem słów piosenki. Zapadłem w sen.

Obudziłem się wcześnie rano w moim własnym łożu. Nie pamiętałem żadnego ze snów, zachowałem jedynie w pamięci ów początek nocy. Choć byłem jeszcze bardzo młody, to jednak wyczułem, że była to tajemnica, o której nie należało wspominać. Nikt nie mógłby mi wyjaśnić znaczenia tego, co mnie spotkało.

Mój wuj, pan Erach, kapitan Cadoc i większa część drużyny Car Do Prawn opuścili zamek. Wyruszyli z Ofiara Plonów z wina i ziarna do włości Wodza Klanu Czerwonych Plaszczy. Dlatego owego poranka przyszedł po mnie niejaki Pergwin, wuj, którego już wielokrotnie widziałem, ponieważ zawsze towarzyszył pani Eldris, ilekroć wyjeżdżała z Zamku.

Był mężczyzną w średnim wieku, niezbyt rozmownym. Zajmował niezłą pozycję wśród żołnierzy jako mistrz szermierki i dobry jeździec. Wydawało się jednak, że nie zamierzał awansować w służbie pana Eracha i że zadowalało go obecne życie. Nie ucieszyłem się na widok Pergvina, bo chociaż byłem podniecony i dumny z faktu, że w końcu promowano mnie do Wieży Młodzieńców, pamiętałem, iż odtąd znajdzie się na łasce i nielasce mojego kuzyna Maughusa. A ponieważ Pergvina uważano za członka swity pani Eldris, przypuszczałem, że stanie po stronie nienawidzonego mnie dreczyciela.

-Witaj, paniczku Kethanie - odezwał się uroczyście i zaszalutował jak oficerowi. Później przeniósł spojrzenie na moją matkę, która stała wyprostowana, bez cienia emocji na młodzieńczej twarzy. Tylko jej oczy zdradzały, jak doświadczony miała umysł.

-Pani, twój brat, pan Erach, na jakiś czas powierzył mi opiekę nad paniczkiem Kethanem. Nic mu się nie stanie...

Pani Heroise skinęła głową.

-- Wiem o tym, Pergwinie. Synu - zwróciła się do mnie. - Znosz dobrze to, co cię czeka, przestan być dzieckiem i szukaj tego, co zrobi z tobą mężczyzna.

W moim sercu podniecenie ustąpiło miejsca obawie. W owej bowiem chwili wcale nie czułem się przyszłym mężczyzną, lecz dzieckiem pozbawionym jakiegokolwiek oparcia. Oto

Pergvin zabiera mnie z bezpiecznego gniazda, które dawalo mi dotychczas schronienie, i przenosi do innego świata, świata, gdzie władze ma Maughus. Bede bezbronny. Nie wierzyłem, że zdołam się przeciwstawić terrorowi kuzyna, gdyż za dobrze poznałem jego podstępne intrygi podczas krótkich wizyt, kiedy nie mogłem uniknąć jego towarzystwa. Nigdy nie chciałem prosić o pomoc mojej surowej matki i zdecydowałem, że teraz też nie poproszę o nią tego obcego wojownika. Bo chociaż byłem mały, postanowiłem w duchu, iż nikt, a przede wszystkim Maughus nigdy nie odgadnie, że się boję. Nie dopuszcze do takiej hanby.

-Bedziesz czuł się samotny, paniczku. - Zauważyłem z wdzięcznością, że Pergvin nie wziął mnie za reke i nie ciągnął na miejsce karni. Gdy zaś przemówił, zwrócił się jak do równego sobie żołnierza, a nie do oniesmielonego chłopca. - Paniczku Maughus wyjedzie razem z tymi, którzy powieźli Ofiary Plonów, będziemy więc mieli Wieże Młodzińców tylko dla siebie.

Miałem nadzieję, że nie zauważył ulgi, z jaką przyjąłem te nowiny. Łaskawy los dał mi trochę czasu na zapoznanie się z nowym życiem bez narazania się na złośliwości Maughusa. Pragnąłem zadać nowemu opiekunowi wiele pytań, ale powstrzymała mnie obawa, że wyjde na dzieciucha.

Gdy przeszliśmy przez dziedziniec i znaleźliśmy się w pobliżu wejścia do Wieży Młodzińców, nagle rozległo się głośne szczekanie. Nie wiadomo skąd wyskoczył wielki cętkowany pies. Był bardzo duży; ściągnięte wargi odsłaniały groźne kły. Ale zamiast rzucić się na mnie, nagle przypadł do ziemi, a jego ostrzegawcze warczenie zamieniło się w skowyt. Chociaż bardzo mało wiedziałem o psach, gdyż widywałem je dotąd tylko z daleka, nie miałem wątpliwości, że nie zachowuje się naturalnie. Wciąż skowycząc, że ślina kapiąca z pyska, pies przyglądał mi się długą chwilę. Potem głośno zawył i wycofał się klapiąc zębami i warcząc, jakby przed potężnym wrogiem, którego nie śmie zaatakować. Wreszcie uciekł z podwiniętym ogonem.

Patrzyłem na niego oniemiały z zaskoczenia. W pierwszej chwili ogarnął mnie strach, ale przerażenie i pospieszna ucieczka psa wprawiły w osłupienie. Może to Pergvin w jakiś sposób uchronił mnie przed atakiem?

Kiedy jednak zwróciłem na niego wzrok, ujrzałem na twarzy Pergvina takie samo zdumienie, jakie zapewne malowało się na mojej. Spojrzał na mnie tak, jakbym na jego oczach zamienił się w jakiegoś potwora. Potrząsał lekko głową.

-To naprawdę dziwne... - powiedział powoli, ale raczej myślał na głos, niż zwracał się do mnie. - Dlaczego Latchet tak się zachowuje? - Zasepił się lekko, ale na jego twarzy wciąż widac było zakłopotanie. - Tak, to naprawdę dziwne. Ach, lepiej chodźmy na górę, paniczku. Zbliża się południe, a po południu musimy wybrać dla ciebie wierzchowca...

Jedzenie, które przyniósł mi Pergvin, było mniej wyszukane niż u mojej matki; składało się z zimnych zrazów, chleba i sera. Wszystko bardzo mi smakowało i nie zostawiłem ani

okrucha. Kiedy umyłem ręce po posiłku, nabrałem ochoty na nowe lekcje, które miały zacząć się od konnej jazdy.

Pani Heroise niemal cały czas spędzała ze mną w murach Zamku. Gdy zdarzało mi się opuszczać komnaty, to tylko po to, by w towarzystwie któregoś z dworaków pospacerować w ogrodzie lub po polach. Ani matka, ani Ursilla nie zachęcały mnie do odkrywczych wypraw. Pomyślałem, że jeśli nauczę się jeździć konno, to zobaczę trochę świata, a może w przyszłym roku będę mógł towarzyszyć wujowi w takiej podróży, w jakiej teraz wziął udział Maughus. Pelen zapału udałem się z Pergvinem do stajni.

Stary żołnierz poprowadził mnie wzdłuż długiego szeregu boksów. Konie przyglądały mi się ponad przegrodami. Wyciągały szyje, potrasały łbami, parskaly i rżały ogłuszająco i przenikliwie. Ich zachowanie zdziwiło mnie bardzo, gdyż obserwując kłaczki po dziedzińcu jeźdźców, nie zauważyłem ani takiego niepokoju, ani takiej wrzawy.

Kilku stajennych, którzy dotąd przyglądali mi się z ciekawością, pośpieszyło uspokoić rumaki, które tymczasem poczęły stawać deba i kopać drewniane ścianki. W stajni zrobiło się wielkie zamieszanie. Poczulem na ramieniu ciężką dłoń Pergvina, który odwrócił mnie w stronę wejścia.

-Wyjdź stąd, paniczku! - rozkazał pośpiesznie. - Zaczekaj na zewnątrz.

Nie pobiegne, powiedziałem sobie w duchu, ale pójdę. Wyczuwałem wokół siebie gesty mgły strachu, oddychałem szybko i serce waliło mi jak młotem. Szedłem więc powoli, spokojnie, mając nadzieję, że stajenni nie zauważą, jak bardzo się boję.

O kupcu Ibycusie i o pasie z lamparciej skóry

Pomyślałem, że mój nauczyciel wybrał dla mnie dziwnego wierzchowca, ale nie kwestionowałem tego. Była to stara, powolna klacz w podeszłym wieku, stapała ciężko i niezdarnie. Lecz w owej chwili każdy kon był dla mnie prawdziwym cudem. Klacz parsknęła i grzebnęła raz czy dwa kopytem, ale stała spokojnie, gdy Pergvin pokazywał mi, jak należy jej dosiadać. Kiedy jednak znalazłem się w siodle, podniosła wysoko głowę i głośno parsknęła. Mój opiekun chwycił wodze i przemówił cicho, głaszcząc po nasadzie szyi, by ją uspokoić.

Klacz nagle pokryła się potem i kwasny zapach zakrecił mi w nosie. Pergvin wyprowadził ją za bramę na wygon, gdzie ujeżdżano wierzchowce. Chłonałem każde słowo starego żołnierza, gdyż siedząc w siodle poczułem się swobodnie jak nigdy w życiu. Była to dobra wroźba na przyszłość, nawet jeśli teraz Pergvin szedł obok stąpającej ospale klaczy, z ręką na uzdzie, podczas gdy ja trzymałem niezdarnie wodze.

Spotkał mnie zawod, gdy mój nauczyciel skierował się do bramy Zamku. Przykro było zamienić rozległą przestrzeń na jego ciasne wnętrze. Pergvin zatrzymał się w bramie i zdjął mnie z siodła. Wskazawszy palcem drzwi Wieży Młodzińców, polecił mi przy nich



zaczekać, sam zaś odprowadził mojego wierzchowca do stajni.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nas obserwowano. Na dziedzińcu zgromadziło się wielu stajennych i żołnierzy. Schodzili mi z drogi, nie patrząc na mnie. Kiedy dotarłem do drzwi, gdzie miałem czekać, zadrzałem, gdyż mimo młodego wieku nie byłem głupim chłopcem. Zrozumiałem, że odgradziła mnie od świata jakaś bariera, którą dostrzegali zarówno ludzie jak i zwierzęta, jakkolwiek ja sam nie mogłem ani jej zobaczyć, ani wyczuć. Wrocilem myślą do dziwnej nocy spędzonej w komnacie Ursilli. Czy to tam wydarzyło się coś, co tak mnie zmieniło?

Po raz pierwszy oprócz leku przed Ursilla i moją matką poczułem oburzenie. Jeżeli za pomocą sztuki, którą uprawiały, odgradziły mnie od życia Zamku, to byłem na straconej pozycji. Nie chciałem ich opieki, nawet jeśli miała mnie bronić przed Maughusem.

Na widok Pergvina parobcy i żołnierze szybko się rozproszyli, chowając się po kątach, widząc nie chcąc, by zauważył, że się nami interesują. Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny. Trzymałem jednak wysoko głowę i rozglądałem się wokół spokojnie, jakby nie targaly mnie złe przeczucia. Już wcześniej nauczyłem się ukrywać swoje myśli przed Ursilla i panią Heroise. Teraz także będę musiał nosić maskę.

W taki to sposób wszedłem do świata mężczyzn z Car Do Prawn. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie Pergvin, który dyskretnie udzielał mi rad lub pomagał. Bardzo szybko przekonałem się, iż wszystkie bez wyjątku zwierzęta nie cierpiały mojego towarzystwa. Kiedy zbliżałem się do psów, najpierw szczekaly jak na widok wskazanej przez myśliwego zdobyczy, po czym zaczynały skomleć, siliły się i uciekały.

Nie mogłem też wsiaść na żadnego konia, dopóki mój opiekun nie uspokoił go za pomocą napoju z ziół, który potajemnie przygotowywał. Zresztą nawet wtedy zwierzę obficie się pociło i drżało na całym ciele.

Natomiast we władaniu bronią nie sprawilem opiekunowi zawodu. Byłem znacznie lżejszy od Maughusa, ale nadrabiałem ten brak celnym okiem i pilną nauką. W ciągu roku stałem się mistrzem w strzelaniu z kuszy, posługując się lżejszą jej wersją. Przyniósł mi ją Pergvin.

Kusza ta sprawiła mi tyle samo radości, co miecz znaleziony przez niego gdzieś w zbrojowni, lekki i smukły, jakby specjalnie dla mnie wykuty. Zapytałem kiedyś, czy miecz i kusza należały niegdyś do Maughusa, gdy był małym chłopcem. Nie chciałem bowiem używać jego broni, nawet jeśli jej już nie potrzebował, żeby nie wywoływać nowych tarc między nami. Pergvin odpowiedział, że pochodzą z dawniejszych czasów i że posługiwał się nimi inni młodzieniec.

Zmarszczył przy tym lekko brwi i chociaż patrzył na mnie, wyczułem, iż przed oczami miał kogoś innego. Więc choć rzadko go o coś pytałem, teraz się osmieliłem.

-Kto to był, Pergvinie? Czy go znales?

Przez dłuższą chwilę sądziłem, że mi nie odpowie. Odniosłem też wrażenie, iż przekroczyłem jakąś dozwoloną granicę - tak jakbym odważył się zapytać Ursille o coś z jej zakazanej wiedzy.

Później Pergvin rzucił okiem w lewo i w prawo, jakby sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Lecz o tej porze Zamek był prawie pusty. Mój wuj wyjechał na polowanie do północnych lasów, a już wcześniej okazało się przecież, że nie mogę brać udziału w takich wyprawach, bo żaden koń ani pies nie robił, co do niego należało, kiedy byłem w pobliżu.

-To był syn z rodu Car Do Prawn - powiedział niechętnie mój opiekun. - A raczej syn polkrwi...

Wahał się tak długo, że odważyłem się go ponaglić:

-Dlaczego nazywasz go synem polkrwi, Pergvinie?

-Było to dawno temu, kiedy pani Eldris była młoda dziewczyna. Rzucono na nią czar miłosny i odpowiedziała na jego zew...

Naprawdę mnie zadziwił. Pani Eldris była długo jak wszyscy ludzie naszej rasy i upływ lat niewiele dla niej znaczył. Lecz dla mnie była surowa babka, która nie miała w sobie nic młodego. Wiadomością, że niegdyś uległa legendarnemu czarowi miłosnemu, byłem tak zaskoczony, jakby mi kto powiedział, iż pewnego wiosennego poranka zachodnia Wieża ruszyła z posad do tanca zasiewów.

Pergvin wyczytał niedowierzanie na mojej twarzy i powiedział ostrzejszym tonem:

-Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi, paniczku Kethanie. Na pewno nadejdzie dzień, kiedy to ty będziesz snuł wspomnienia, które kogos zdumieją. Tak, pani Eldris posłuchała miłosnego wezwania, ale to nie mężczyzna z naszego klanu rzucił na nią ową czar.

-Było to w czasach Ostatniej Walki. Cztery Klany i ich sojusznicy spotkali się, żeby radzić o obronie i walce z Czarnoksiężnikiem z Ragaardu Mniejszego. Ponieważ ci, którzy odpowiedzieli na wezwanie do boju, musieli ogolcić swoje Zamki, pozostawiając tam tylko nieliczne załogi, zabrano kobiety i dzieci do twierdz Wodków - rzecz jasna, tylko te, które wyraziły na to zgodę. Jak dobrze wiesz, bywały damy, które wkładały zbroje i dowodziły pospolitym ruszeniem ze swych włości.

-Kiedy pani Eldris schroniła się w twierdzy Klanu Czerwonych Płaszczy, zobaczył ją tam i zapragnął jej pewien Jeździec Zwierzolak. Rzucił na nią czar i sprowadził do swego loża. Działanie czarów nie trwało długo; nie połączyło ich też prawdziwe uczucie. Dlatego z czasem wróciła ona z małym synkiem do Car Do Prawn...

-Mówiono, iż odeszła w chwili, gdy jej małżonek Zwierzolak i cały jego klan przebywali gdzieś w wirze walki, jak zawsze, taka już mieli naturę. A gdy dowiedział się, co zaszło,

było już za późno. Nie mógł jej odzyskać.

-Jej brat, pan Kardis (który kilka lat później zginął w bitwie pod Thos), dobrowolnie zrezygnował na rzecz siostry i jej syna z klanowego prawa sukcesji. Ale kiedy chłopiec podrosł, okazało się, że przeważa w nim krew jego ojca. W końcu odszedł do Szarych Wież, gdzie mógł znaleźć pobratymców, przyjaciół i towarzyszy broni. Później, gdy Siedmiu Wielmożów wywalczyło pokój dla Arvonu, Jeźdźcy Zwierzolacy zostali wygnani, gdyż mieli gorącą krew i trudno im było żyć w świecie bez wojen. Dopiero kilka lat temu powrócili z dalekich wędrowek. Nie sędz jednak, iż pani Eldris zachowała smutne wspomnienia. Z czasem wyszła znów za mąż i urodziła swemu małżonkowi pana Eracha i twoją matkę. I czas zatarał tamte wydarzenia w pamięci. Lecz jej starszy syn mieszkał tutaj w młodości i ta bron należała do niego. Ale teraz lepiej zapomnieć o tym wszystkim, panie.

-Jeździec Zwierzolak... - powtórzyłem; pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o tym nieznanym wuju, ale nie odważyłem się pytać. Zresztą zorientowałem się, że Pergwin nie chciał dłużej rozmawiać na ten temat.

W Arvonie mieszka wiele najrozmaitszych ludów i plemion. Nie wszystkie należą do tego samego gatunku. Wspolżyją z nami plemiona całkowicie odmienne ciałem i duchem. Jeszcze inne łączą w sobie podobieństwo do nas z cechami tak dziwacznymi i nam obcymi, że nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć. Wreszcie są ci, którzy nie tylko są od nas różni, ale i wrogo nastawieni, a wśród nich istoty tak niebezpieczne, że ludzie z Czterech Klanów unikają ich i ich terytoriów.

Widywałem lesnych ludzi przychodzących na nasze święta zasiewów i uroczystości dożynkowe czy winobrania. Witamy ich chętnie, ponieważ bliżsi są światu roślin niż my. Spotykałem też stworzenia ludzako do nas podobne i wzdrygałem się przed kontaktem z nimi jak przed podmuchem mroźnego wiatru.

Jeźdźcy Zwierzolacy, podobnie jak lesne plemię, łączą w sobie dziedzictwo dwóch gatunków: czasami są ludźmi, kiedy indziej zaś zwierzętami. Kroniki, które dała mi Ursilla, zawierały sporo wzmianek o takiej przemianie postaci, ale wtedy mało mnie to interesowało. Teraz jednak usłyszawszy opowieść Pergvina, robiłem sobie wyrzuty, że nie zwracałem więcej uwagi na tamte fragmenty. Historia Zwierzolaka, który przede mną używał miecza i kuszy, obudziła moją ciekawość. Zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej. Czy i jego odgradzała od innych mieszkańców Car Do Prawn taka sama niewidzialna bariera jak mnie?

Czułem się strasznie samotny i coraz bardziej zamykałem się w sobie. Gdyby nie Pergwin, byłoby ze mną całkiem źle. Lecz mój opiekun - pod pozorem nauki wojennego rzemiosła - prawie nie rozstawał się ze mną. Z czasem zaczął zabierać mnie na krótkie wycieczki poza Zamek, poznałem więc coś więcej niż okoliczne pola. Reguły narzucone przez moją matkę nigdy nie pozwalały mi na spędzenie nocy poza Car Do Prawn.

Nadal wzywano mnie do Wielkiej Sali podczas sprawowania sadów przez wuja. Siadywałem za wysokim krzesłem, tak jak wtedy, gdy zajmowała je moja matka. Pan Erach na swój sposób był dla mnie sprawiedliwy, ale zbytnej zyczliwości mi nie okazywał. Martwiło go, że nie mogłem polować i nienawidziły mnie konie i psy. Posunął się nawet do tego, iż zasięgnął rady Ursilli w tej sprawie: Nigdy nie dowiedziałem się, co mu odpowiedziała. W każdym razie po tym spotkaniu traktował mnie z jeszcze większą rezerwą. Unieszczęśliwiała mnie to.

Maughus nie dokuczał mi otwarcie jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, ale przy każdej okazji zaznaczał, że nie zdołałem dostosować się do życia w Zamku.

Mijały lata. Osiągnąłem już wiek młodzieńczy. Pewnego lata mieliśmy wyjątkowo dobre zbiory, co wszystkim cieszyło, a cieszyłoby jeszcze bardziej, gdyby nie był to złowrobn Rok Wilkolaka. Zgodnie ze zwyczajem powinienem był właśnie teraz ożenić się z Thaney. Ponieważ jednak ślub w Roku Wilkolaka mógł być złym znakiem na przyszłość, Ursilla uznała, że uroczystość należy przelożyć. Poparła ją w tym pani Heroise, chociaż bardzo pragnęła sfinalizować swoje plany. Postanowiono więc wyprawić wesele na początku nowego roku, Roku Rogatego Kota.

Bardzo rzadko widywałem Thaney, która jeszcze dzieckiem wysłano do Garth Howel, żeby nauczyła się od Madrych Kobiet leczniczej i ochronnej magii. Okazało się, że przejawiała w tej dziedzinie pewne zdolności. Nie spodobało się to mojej matce, ale nie mogła protestować przeciw rozwijaniu talentu bratanicy.

Także i Maughus często opuszczał Car Do Prawn i jako wysłannik swego ojca brał udział w zgromadzeniach klanowych. Wszystkie Cztery Klany prowadziły coraz bardziej ożywioną działalność.

Dla Arvonu niepostrzeżenie nadszedł czas niepokoju. Już same nazwy lat wskazywały, iż równowaga mocy została lekko zachwiana. Był więc Rok Lamii, Chimery, Harpii i Zarloznego Delfina. Pewne oznaki wskazywały - ku zdumieniu wszystkich, którzy się nad tym zastanawiali - że złoty pokój mojego dzieciństwa dobiegał końca. Wysyłano więc poselstwa do Głosów Mocy, prosząc o odczytanie przyszłości. Przyznały one, że przyszłość nie rysuje się pomysłnie. Nadal jednak nie pojawiło się żadne konkretne niebezpieczeństwo, na które ludzie mogliby skierować wzrok i powiedzieć: to właśnie to nas niepokoi.

Pewnego wieczora, gdy siedzieliśmy razem przy posiłku, Pergvin tak ocenił sytuację:

-Ten przyływ i odpływ mocy jest jak pływy morskie. Kiedy jest jej za dużo, w kraju budzi się dziwny niepokój i zniecierpliwienie. - Wpatrzył się ponuro w cynowy kufel z zeszłorocznym jablecznikiem. - Zawsze tak się zaczyna. Ziemia wydaje bardzo obfite plony, jakby ostrzegała nas, że powinniśmy napelnić spichlerze i przygotować się do obleżenia. My sami stajemy się niespokojni, jakby coś szeptało nam do ucha zachęty do działań, których

nie chcemy się podjąć. I wtedy nadciąga Cien - tak jak pływy morskie - lecz nie tak często.

-Pływy morskie? - podchwyciłem żywo dwa słowa, które powtórzył. - Pergwinie, czy ty widziałeś morze?

Ale mój opiekun nie podniósł na mnie wzroku. Zapytał tylko:

-Paniczu, jak ci się zdaje, ile ja mam lat?

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, miałem go za starego. Lecz gdy i mnie przybyło lat, doszedłem do wniosku, że jest średniego wieku. Trudno było odgadnąć wiek mieszkańców Arvonu aż do chwili, gdy zbliżali się do końca swoich dni. Naturalna śmierć i poprzedzające ją stopniowe osłabienie sił witalnych przychodziły do nas po wielu, wielu latach życia. Oczywiście można było umrzeć wcześniej na jakąś chorobę, z powodu przekleństwa albo zginąć w walce.

-Nie wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

-Byłem wśród tych, którzy wyruszyli Droga Pamięci przez Ziemię Spustoszoną w Krainie Dolin - powiedział powoli. - Przeżyłem Okres Wielkich Niepokojów i to, co po nim nastąpiło. Tak, widziałem morze, ponieważ urodziłem się w zasięgu szumu jego fal.

Ogarnął mnie teraz taki sam lek, jaki zawsze odczuwałem w obecności Ursilli. Miałem wrażenie, jakby:któryś z bohaterów Kronik opuścił pergaminowe zwoje i stanął przede mną. To, że Pergwin pamiętał Czasy Wygnania, było niepojęte i cudowne.

-Pamiętam za dużo - dodał chrapliwie mój nauczyciel i dopił jablecznika. Zamknął się w sobie. Nie odważyłem się dalej pytać.

Głos rogu przerwał nam wieczerze. Ktoś zagrał przed bramą Zamku, oznajmiając przybycie wędrownego kupca. Zjawił się wcześniej, by otworzyć swój kram na naszym Świecie Płonów. Powitalismy go ciepło, gdyż kupcy, którzy przemierzali Arvon wzdłuż i w szerz, przywozili zewsząd wiedzę o miejscach widywanych przez nas bardzo rzadko albo nigdy.

Nasz gość najwidoczniej był kims znacznym w swoim zawodzie. Nie prowadził za sobą mizernego konika z jukami, ale przybył z całą gromadą sług i zwierząt jucznych. Były wśród nich nie tylko konie podobne do naszych, lecz także kilka dziwnych zwierząt o długich nogach i wielkich garbach na grzbiecie. Toboły przywiązano po obu stronach tych garbów.

Z rozkazu pana Eracha kupcowi oddano na obozowisko najbliższy wygon za murami Car Do Prawn. Jego słudzy szybko przywiązali zwierzęta juczne do palików, oddzielnie konie, oddzielnie garbate wierzchowce, a potem rozbili namioty. Kupiec z zadowoleniem przyjął zaproszenie na wieczerze w Wielkiej Sali. Został zaproszony, gdyż damy i ich dworki spragnione były wszelkich nowin.

Przybysz, który przedstawił się jako Ibycus (nigdy dotąd nie slyszelismy takiego imienia), był niewysokim mężczyzną. Ale choć zbywano mu na wzroście, prezentował się okazale. Miał dworne maniery jak wychowanek wielkiego rodu i najwyraźniej był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

Im dłużej go obserwowałem, tym bardziej wątpiłem, że należy do naszego ludu. Wydawał się niewiele starszy od Maughusa (który jeszcze nie wrócił z ostatniej jakiegos specjalnej misji), ale emanowała od niego aura dojrzałego wieku, a także mądrość i opanowanie. Zastanawiałem się, czy był kims więcej niż bogatym kupcem. Może to jakiś Medrzec posługujący się kupiectwem jak ciepłym płaszczem w niepogodę?

Jeżeli nawet tak się rzeczy miały, był zycyliwie do nas nastawiony. Podczas wieczerzy panowała wesołość i wszyscy byli w różowych nastrojach. Cien, który zdawał się stale kręć w zakamarkach Car Do Prawn, znikł na jakiś czas. Słuchaliśmy opowieści Ibycusa, a miał wiele do powiedzenia o ziemiach, przez które niedawno przejeżdżał. Opowiadał nam też o naszych krewnych i o tym, jak im się wiedzie w ich twierdzach.

Początkowo obserwowałem tylko jego. Później Ursille. Spojrzałem na nią przypadkiem i zaintrygował mnie wyraz jej twarzy. Było wielkim ustepstwem z jej strony, że uczestniczyła w wieczerzy z naszym gościem. Rzadko odwiedzała Wielka Sala i na ogół przebywała tylko w swoich komnatach.

Wydawała mi się lekko zaniepokojona, jakby dostrzegła w przybyszu jakąs groźbę. Jej palce, na pół ukryte za talerzem, raz czy dwa poruszyły się w skomplikowanym geście. Może chciała użyć czarów do wykrycia owej groźby. W pewnej chwili nagle zrozumiałem, że jeśli taki był jej zamiar, to się nie powiodł.

Kiedy zabrano ze stołu naczynia, kupiec polecił przynieść spory kufer. Później klepnął wieko i powiedział:

-Mam wiele towarów, panowie i panie. Ale tu są najpiękniejsze. Jeśli pozwolicie, pokażę je wam.

Panie głośno wyraziły zgodę. Ich wysokie głosy zmieszały się z niższymi głosami mężczyzn, którzy także byli ciekawi towarów. I otwarto ów kufer.

Ibycus wyjął z niego zwoj czarnego materiału. Rozłożył go na stole, wygładził, po czym jał ustawiać na nim jedwabne woreczki i najrozniejsze puzderka: rzeźbione w drewnie, kości lub kryształy. Wysypał ich zawartość na stosiki. Nie chciało się wierzyć, że takie bogactwa istnieją, oczywiście poza starożytnymi legendami o skarbach Ognistego Smoka.

Były tam wyroby ze złota, srebra i miedzi, a wszystkie wysadzane szlachetnymi kamieniami. Nie sadzę, żeby ktokolwiek z obecnych mógł wymienić nazwy choćby części z nich.

Zapadło milczenie, jakbysmy wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech. Dopiero po chwili rozległy się okrzyki zdumienia. Siedzacy dalej biesiadnicy wstali i stoczyli się wokół kupca, chcąc napasać oczyma tymi wspaniałostkami. Nikt jednak nie wazył się tknąć drogocennych przedmiotów. Widok ten oniesmielał i przytłaczał. Chyba wszyscy wiedzieliśmy, iż możemy na nie tylko patrzeć. Nikt się nie ludził, że coś z tego może się stać jego własnością.

Byłem wśród tych, którzy podeszli bliżej, oszłomieni bogactwem i różnorodnością towarów. Skupiłem uwagę na przedmiocie, który leżał najbliżej mnie.

Pas ze złocistego futra, gładki i lśniący, błyszczał nawet wśród rozsypanych wokół kosztowności, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zapięcie z nieznanego mi dużego żółtobrazowego kamienia wyrzeźbiono w kształcie kociej głowy. Przyjrząwszy się klamrze zauważyłem, iż nie był to nasz domowy oswojony łowca, ale krewniak śnieżnego kota ze wzgórz, najgroźniejszego drapieżnika w całym Arvonie.

-Czy to cię interesuje, paniczu Kethanie?

W owej chwili nawet się nie zdziwiłem, że Ibycus zwraca się do mnie po imieniu i że znalazł się obok mnie. Pozostali biesiadnicy wciąż klebili się przy stole z kosztownościami i dopiero teraz wyciągali ręce po ten, to ów przedmiot. Wszyscy naraz mówili o tych, które najbardziej im się spodobały.

Kupiec podniósł pas i wyciągnął go ku mnie.

-To piękny wyrob, paniczu. Klamra jest z cyrkonu. To dość pospolity kamień, ale wyrzeźbił ją mistrz, który dobrze znał swoje rzemiosło.

Cos podkusiło mnie, żeby zapytać:

-A futro?

-Futro... Ach, futro jest lamparcie. Ostatnio dość rzadko widuje się te zwierzęta. Są równie groźnymi myśliwymi jak ich śnieżni kuzyni, tylko nieco od nich mniejsze.

Palce aż mnie swędziały, żeby dotknąć pasa. Opanowałem się całą siłą woli, bo czułem, że gdybym to zrobił, nigdy już bym go nie odłożył. A nie miałem za co go kupić.

Ibycus uśmiechnął się i skinął głową, jakby odpowiedział sobie samemu na zadane w myśli pytanie. Potem zaś odwrócił się do pana Eracha.

Wycofałem się z kregu światła przy stole i szybko opuściłem Wielką Salę. Chęć posiadania tego pasa tak paląca, że traciłem nad sobą kontrolę, przeraziła mnie. Stałem w ciemności, zastanawiając się, czy takie właśnie szaleństwo popycha człowieka do kradzieży.

O podarunku pani Eldris i o tym, co się wydarzyło podczas pełni księżyca.

Udałem się do mojej komnaty, do głębi wstrzasnięty uczuciami, jakie wzbudził we mnie piękny pas. Wyciągnąłem się wprawdzie na łożu, ale wcale nie chciało mi się spać. Blask księżyca w nowiu jeszcze nie wpadał do wnętrza. Leżałem więc w ciemności, tak jak robiłem to przez wiele lat w tej samej nieco pustawej komnacie. Ten pas! Wystarczyło, że zamknąłem oczy, a widziałem go w wyobraźni. Lśnił zupełnie tak samo jak w Wielkiej Sali. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że ten kawałek futra, który nie dawał mi spokoju, żyje własnym życiem. Gorąco pragnąłem pogłaskać jego miękką powierzchnię, wziąć do ręki misternie rzeźbioną klamrę, zajrzeć w głąb kamienia, wzorem Medrców zobaczyć tam przyszłość.

Wreszcie nie mogąc uleżeć w łożu - tak mnie zdenerwowała owa dziwaczna zadza posiadania - wstałem i podszedłem do wąskiego okna. Oparłem łokcie o wysoki parapet. Stałem tak jakiś czas, wpatrując się w ciemność.

Wieża Młodzieńców była najdalej wysunięta na północ części Zamku. Widziałem niewyraźnie pobliskie pola i sady (wioska leżała na południe od Car Do Prawn). Za nimi rosł las, prawdziwy żywy mur odgradzający nas od wysokich wzgórz, w których kryło się tak wiele niesamowitości, że instynktownie unikałismy tych miejsc.

Tam właśnie uciekli ci, którzy wywołali w przeszłości wielką katastrofę. Nie mogli już opuścić gór i lasów, gdyż uwieczyla ich niewidzialna zaporą Mocy tak silnej, jaka mogli przywołać tylko Medrcy i Siedmiu Wielmożów. Nikt nie wiedział, czy ktoś z nich tam pozostał, czy też wrogowie otworzyli Bramy między światami (a bardzo dobrze umieli nimi manipulować) i opuścili nasz świat.

Pomniejsi z ich sług nadal nam zagrażali. Ponieważ jednak, zgodnie ze swą naturą, byli związani z pewnym terytorium i rzadko oddalali się poza ową "wybieg", mogliśmy ich się wystrzegać. Zresztą niektórzy z nich na swój sposób stali się częścią systemu obronnego naszej ojczyzny: krążyli wzdłuż granicy pilnując, by żaden przybysz z Krainy Dolin nie zapuścił się na północ.

Kraina Dolin! Przypomniałem sobie słowa Pergvina - mój nauczyciel był jednym z tych, którzy podążyli Drogą Pamięci, Drogą Smutku, którzy wycofali się do Arvonu w dniach grozy. Jej obecni mieszkańcy, nie należący do naszej rasy i nie władający mocami, byli barbarzyncami i tylko kilka pokoleń oddzielało ich od chaosu. W porównaniu z nami żyli bardzo krótko: wydawało się, że podczas jednego tylko dnia dorastali i umierali ze starości, która znaczyła ich zgubnym piętrem już w chwili narodzin. Nie zadawaliśmy się z nimi.

Noc była ciemna, gwiazdy polyskiwały w gorze jak klejnoty, które pokazał nam Ibycus. Północny wiatr wpadł w okno i zmroził lodowatymi palcami moje nagie ciało. Mimo to nie ciągnęło mnie do łoża pod ciepłe okrycia.



Podniosłem wysoko głowę, chłonąc rozdętymi nozdrzami wiatr. Czulem dziwne podniecenie. Nocny mrok przyciągał i wabił. Uderzyła mnie nagle myśl: jak by to było, gdybym biegł nago przez wysoka trawę i na oslep rzucił się w wody strumienia?

Podniecenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Zadrzałem. W mroku kryło się zło, a nie dobro. Odszedłem od okna i usiadłem na łożu. Nagle poczułem sennosc. Ziewnałem, oczy mnie zapiekły, jakbym długo nie spał. Położyłem się i zasnalem.

Przysnił mi się jakiś sen i obudziłem się w jednej chwili. Serce bilo mi szybko i pot mnie zalewał, a przecież w komnacie wcale nie było goraco. W wąskim oknie dostrzegłem szarosc przedswitu. Usiadłem na łożu. O czym, snilem?

Nie mogłem nic sobie przypomnieć, nie pamiętałem, dlaczego obudziłem się taki... taki... Czy zaważadnal mna strach, czy też inne gwałtowne uczucie? Nie wiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że już nie zasne.

Po cichu umyłem się w misce. Woda była chłodna, lecz nie lodowata. Ubierałem się, usiłowałem dotrzeć do zablokowanych wspomnień, natrafić na jakiś ślad snu. Wprawdzie zapomniałem, co mi się przysniło, ale bez wątpienia ow sen był bardzo ważny. Musze...

Kiedy tak wykonywałem rutynowe czynności, niezrozumiały impuls poczał słabnac i, gdy bezszelestnie wyszedłem z mojej małej komnatki, nie pozostał już po nim ślad. Czulem się głupio, jakbym spieszył na spotkanie z kims, kto nie chce mnie widzieć.

Na srodku dziedzinca stal kupiec Ibycus i spogladał na drzwi, z których wyszedłem. Usmiechal się lekko. Na moj widok skinal glowa. W owej chwili zrozumiałem, że to spotkanie bylo zaplanowane. Nie umiałbym jednak powiedziec, w jakim celu.

-Choc jeszcze jest wczesnie, zapowiada sie piekny ranek, paniczu Kethanie - odezwal sie cicho, ale wyraźnie.

Nie wiedziałem, co poczac. Kupiec zachowywal sie tak, jakby czekal na starego przyjaciela. Gotow bylem przysiac, ze Ibycus wcale nie byl kupcem, lecz kims zaslugujacym na najwyzszy szacunek, jak Naczelny Wodz mojego klanu albo ktos zajmujacy podobne stanowisko.

-Piekny, panie - odzyskalem w koncu mowe.

-Panie? - Ibycus przechylil lekko glowe, przygladajac mi sie blyszczacymi oczami, jak towarowi, ktorego wartosc nalezy ustalac. - Jestem kupcem, a nie Panem Na Zamku.

Ja jednak zywilem w glebi ducha pewnosc, ze nie zajmowal sie wylacznie handlem. Spojrzalem mu wiec prosto w oczy, czekajac na wyjasnienie.

Ibycus potarl reka podbrodek. Na wskazujacym palcu nosil duzy pierścien. Owalne,

ciemnoszare oczko było matowe, nie przypominało żadnego z drogich kamieni, które nam wczoraj pokazał. Mogłoby to być kawałek odlupany z przydrożnego kamienia, osadzony chyba w srebrze. Ale jeśli było to srebro, metal już ściemniał. Ten pierścionek był dziwnie ubogi, nie pasował do właściciela takich skarbów.

-Zdaje się, że masz dobry wzrok, paniczku Kethanie - rzekł z uśmiechem kupiec.

Zaczerwieniłem się. Czyżby tak łatwo można odczytać moje myśli? Mówiono, że tylko co potężniejsi władcy mocy mają takie zdolności. Nagle Ibycus wyciągnął ku mnie rękę, nie po to wszakże, by ująć moją dłoń, lecz by zbliżyć ją do moich oczu.

-Co widzisz? - zapytał.

Przesunąłem językiem po wargach. Nie mogłem wprawdzie odgadnąć, czego ode mnie chciał, ale byłem pewny, iż to spotkanie ma jakiś głębszy sens. Posłusznie spojrzałem na pierścionek.

Matowoszare oczko zaiskrzyło się i zafalowało jak powierzchnia stawu, gdy wrzucił się do niego kamień...

A potem...

Chyba krzyknąłem głośno, tak bardzo byłem zaskoczony. Przez mgnienie oka widziałem głowę kota, śnieżnego kota szczerzącego ostrzegawczo kły. Obraz ten miał w sobie tyle życia, że trudno mi było go skojarzyć z rzeźbioną klamrą futrzanego pasa.

-Co zobaczyłeś? - powtórzył Ibycus tak władcym tonem, że bez wahania powiedziałem prawdę.

-Ja... ja zobaczyłem głowę śnieżnego kota!

Teraz zbliżył rękę do swoich oczu i sam bacznie się przyjrzał szaremu oczku dziwnego pierścienia. Nagle skinął głową.

-Nie najgorzej, paniczku Kethanie, nie najgorzej.

-Może nie najgorzej dla ciebie - odważyłem się powiedzieć. - Ale co to wszystko znaczy?

-W odpowiedniej chwili, paniczku, wszystko się wyjaśni. I ja dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego przybyłem do Car Do Prawn. Myślisz, że to ja stwarzam tajemnice? - rozesmiał się. - Jako mały chłopiec nauczyłeś się odczytywać runy poczynając od ich najprostszych połączeń. Czy bez takiego przygotowania umiałbys przeczytać jakakolwiek kronikę, gdyby dano ci ją do rąk?

Potrzaskałem przecząco głową. Chciałem rozgniewać się na kupca za to, że tak mnie

traktuje, za jego aluzje i tajemniczosc, ale mial w sobie cos, co kazalo mi trzymac jezyk za zebami.

-Na pozegnanie dam ci rade, paniczu: kieruj sie tym, czego najbardziej pragniesz, a nie tym, czego zadaja od ciebie inni. Nawet ja nie moge odczytac pewnych run. Ich znaczenie wyjasni sie w odpowiednim momencie, a bywa, ze czas plynie szybko. Wkrotce otrzymasz pewien dar - ciesz sie nim.

Odwrocil sie nagle i odszedl, zanim zdazylem wykrztusic z siebie jakies slowo. Stalem z otwartymi ustami jak ryba wyrzucona z sadzawki. Nie moglem pojsc za nim i zazadac wyjasnien; cos mnie zatrzymalo i kazalo milczec.

Ibycus poszedl prosto do Wiezy Dam. Najwidoczniej go tam oczekiwano, bo drzwi otworzily sie natychmiast, gdy zapukal. Ja zas pozostalem w miejscu, zastanawiajac sie nad jego slowami.

Nie spotkalem sie juz z nim na osobnosc. O zmroku zebral swoich ludzi i zwierzeta i opuscil Car Do Prawn. Pewne bylo, ze sprzedal czesc towarow, bo dlugo bawil u mojej matki i pani Eldris. Pewnie zastanawialy sie, na co moga sobie pozwolic. Nie mialem najmniejszych watpliwosci, iz tylko niewielka czesc jego skarbow pozostala w naszym Zamku. I bardzo zalowalem pieknego pasa.

Powtarzalem sobie, ze i tak nie moglbym go kupic. W dodatku w calym Car Do Prawn nie bylo nikogo, kogo moglbym prosic o pomoc. Chociaz bylem oficjalnym nastepca pana Eracha, nie mialem wlasnej sakiewki, do ktorej moglbym siegnac.

Trzy dni pozniej przypadal dzien moich urodzin. Kiedy mieszkalem z pania Heroise i Ursilla, nigdy nie urzadzaly w tym dniu biesiady. Odbywala sie tylko powazna uroczystosc, podczas ktorej Madra Kobieta przy pomocy mojej matki rzucala na mnie jakies czary. Jak mi tlumaczyly, mialy mi one dodac sil i chronic.

Jezeli nawet obchodzily moje urodziny nadal w taki sam sposob od chwili, gdy przenioslem sie do Wiezy Mlodziencow, to nie zadaly mojej obecności. Dzien ow stal sie dla mnie taki jak inne, tyle ze teraz bylem starszy i wymagano ode mnie wiecej madrosci i sily.

Bylem wiec zaskoczony, kiedy pani Eldris wezwala mnie do siebie, a jako powod podala moje urodziny. Poprzedniej nocy wrocila Thaney, eskortowana przez Maughusa, ze stosownym orszakiem dworek i sluzebnych. Ubierajac sie w najnowszy i najpiekniejszy z moich odswietnych kaftanow (z wyhaftowanym herbem, oznaka dziedzica Car Do Prawn), zastanawialem sie, czy zamierzano tego dnia oglosic nasze zareczyny.

Do Wiezy Dam udalem sie poznym popoludniem. W jej wnetrzu panowal juz polmrok, wiec sluzebna, ktora mi otworzyla, trzymala w dloni jasna i wonna lampe. Poszedlem za nia na pierwsze pietro do komnat, w ktorych krolowala moja babka. Znalem je slabo, znacznie lepiej pamietalem wyzsza kondygnacje, gdzie kiedys byl moj dom. Swiatlo dzienne w ogole

nie docierało do sali audiencyjnej, gdyż ściany zasłonięto wyblakłymi draperiami. A jednak tu i owdzie blask lamp wylawiał z mroku wyhaftowana ludzka twarz lub groteskowe zwierze i nadawał im pozory życia.

Palily się wszystkie lampy, wydzielając ciepło wraz z wonnym dymem. Tuz po wejściu do komnaty zrobiło mi się duszno. Miałem ochotę zerwać draperie, znaleźć okno i wpuścić do środka trochę świeżego powietrza...

Pani Eldris siedziała na krześle z wysokim oparciem między dwiema wysokimi kolumnowymi lampami. W jej grubych, ciemnych warkoczach, które sięgały jej poniżej pasa, nie dostrzegłem siwizny. Polyskiwały w nich złote i zielone nici i jasnozłote kamienie. Ona także była ubrana w odświeżony sztywny kaftan. Wielki zielony kamień spoczywał na jej czole jak trzecie oko.

Podobnie jak Pergvin niewiele się postarzała; wyglądała na kobietę w średnim wieku. Dostojenstwo i powaga cechowały jej każdy gest; w przeciwieństwie do mojej matki umiała skryć swą arogancję i żądze władzy.

Zachowywałem się nienagannie. Uklakłem i musnąłem wargami rękę, która mi podała - zimna pomimo panującego w komnacie ciepła. Pochylając dwornie głowę, doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie spogląda na mnie z zadowoleniem jak na Maughusa, ale wyniosłe i z niechęcia, jak zwykle.

-Witaj, Kethanie - powiedziała sucho.

-Niech los ci sprzyja, a słońce długo i jasno świeci, o pani - odparłem zgodnie z obyczajem.

-Wstan, chłopcze. Pokaż, na co wyrosłeś! - rozkazała z irytacją. Z jakiegoś powodu zgodziła się na to spotkanie, lecz nie zamierzała uczynić go łatwiejszym ani dla siebie, ani dla mnie.

Podniosłem się z kolan i dopiero teraz zauważyłem, że pod ścianą stały dwie dworki mojej matki. Pani Heroise i Ursilla były nieobecne. Na znak dany przez panią Eldris i podeszła do nas jakaś dziewczyna. To nie mógł być nikt inny, tylko Thaney.

Wykapana pani Eldris. Wyglądała tak jak jej babka przed wielu, wielu laty, kiedy nieznany Zwierzolak rzucił na nią czar miłosny. Dorównywała mi wzrostem, a sztywne faldy sukni i kaftana osłaniały dojrzałe, gotowe do małżeństwa ciało. Miała takie same ciemne włosy jak jej babka, lecz uczesane w wielki kok i spięte zdobionymi drogimi kamieniami szpilkami i grzebieniami.

Tak jak pamiętałem, miała regularne rysy twarzy, ale wykrzywione niechęcia usta wydawały się zbyt małe i cienka zmarszczka już rysowała się między brwiami. Nie uśmiechała się, była nadasana, jakby pragnęła być w tej chwili w zupełnie innym miejscu.

Wiedziałem, jak powinienem się zachować, ale budziło to we mnie coraz większą niechęć. Nie miałem jednak wyboru. Ująłem więc jej dłoń i pocałowałem w policzek. Była bardzo spięta i zrozumiałem, że robiąc to, co nakazywał zwyczaj, ściągam na siebie jeszcze większą niechęć mojej kuzynki.

-Jest przesliczna!

Moja narzeczona nie zareagowała, nie wymówiła nawet mojego imienia na powitanie. To pani Eldris przerwała milczenie, które zapadło po moich słowach.

-No dobrze, dziewczyno - zwróciła się do Thaney. - Nie będzie ci tak źle. Jemu też nic nie brakuje...

To wcale nie był komplement. Przez cały czas wyczuwałem, jak bardzo mnie pogardzają w duchu. Równie dobrze mogłyby to wykrzyknąć głośno. Postanowiłem jednak, że żadna nie dowie się, iż je przejrzałem. Zareczyny - chociaż były uroczystą ceremonią - to jeszcze nie ślub. Uczepiłem się tej myśli, ponieważ zrozumiałem, iż nigdy nie ożenie się z Thaney. Muszę znaleźć jakiś sposób na odzyskanie wolności.

Pani Eldris nie czekała na naszą odpowiedź. Otworzyła leżącą na kolanach jedwabną sakiewkę i wyciągnęła z niej...

Pas z lamparciej skóry!

Na jego widok ożyła we mnie piekająca chęć, by zdobyć go na własność, uczucie, o którym zdążyłem już w części zapomnieć.

-To odpowiedni dar, to symbol twojej przyszłości, dziewczyno. Tworzy zamknięty krąg, jakim powinno być twoje małżeństwo. Podaj go - ze słowami przysięgi na ustach - twemu przyszłemu małżonkowi!

Thaney nie od razu sięgnęła po trzymany przez babkę pas. Czy obawiała się, że jeśli zrobi to, czego żąda od niej pani Eldris, nieodwracalnie zwiąże się z przyszłością, której nie akceptuje? Wszelako nie odważyła się zignorować tego rozkazu.

Wzięła pas i odwróciła się do mnie, a w jej głosie brzmiała irytacja, która wykrzywiła jej usta, gdy mówiła:

-Panie, przyjmij ode mnie ten symbol naszej przyszłej jedności.

Słuchałem jednym uchem. Liczył się tylko pas. Opanowałem się jednak i nie wyrwałem go z jej ręki. Zachowałem też dość przytomności umysłu, żeby podziękować obu paniom.

Thaney nawet nie skłoniła głowy, kiedy skończyłem mówić, a jej babka uśmiechnęła się drwiako.

-Pilnuj go dobrze, Kethanie - rzekła. - To naprawdę wielki skarb. Możesz teraz odejść. Wypełniłam warunki umowy i jestem już zmęczona...

Odprawiała mnie tak nagle, że wpadłem w gniew. Lecz tak naprawdę był on powierzchowny, ledwie zadrasnięto moją dumę. W istocie z ulgą opuściłem duszną komnatę, okreciwszy wokół reki mój skarb. Wracając do siebie gładziłem futro, rozkoszując się jego jedwabistą miękkością. I nie włożyłem go do kufra wraz z odświętną odzieżą. Przyszła mi bowiem do głowy myśl, żeby nałożyć go na gołe ciało i ukryć pod kaftanem. Nie dostrzegłem nic dziwnego w swoim postępowaniu. Wreć przeciwnie, czułem, że to, co robię, jest dobre i właściwe.

Nawet kładąc się do łóżka nie zdjąłem pasa. I znowu nie mogłem zasnąć. Podniosłem się i długo stałem przy oknie wpatrując się w mrok. A kiedy wszedł księżyc, uświadomiłem sobie, że muszę stąd wyjść - odzyskać wolność - opuścić te kupe zniszczonych przez czas kamieni.

Ubrałem się w spodnie i buty do konnej jazdy, nie tracąc czasu na włożenie koszuli ani kaftana. Wymknąłem się z Zamku przez brame, której w czasie pokoju nie strzegli wartownicy. Targaliśmy dziką radość, upojony gnałem wciąż dalej i dalej.

Przebiegłem przez pola i znalazłem się wśród krzaków na skraju lasu. Szedłem trzymając się brzegu strumienia, a drzącą w księżycowej poświacie woda śpiewała u mego boku. W końcu dotarłem do polany, gdzie miesiąc srebrzył gładź lesnego jeziora. Zdarłem z siebie ubranie, wskoczyłem do wody, nabrałem jej w dłonie, ochlapałem się. Pas ciemniał na moim ciele, a jego klamra dosłownie zapaliła się od księżyca. Nigdy dotąd nie widziałem podobnego zjawiska. Złotobrazowy kamień świecił coraz jasniej, aż otoczyła mnie ognista chmura. Byłem jak oszalały, widziałem tylko jarzącą się głowę lamparta.

O ostrzeżeniu Ursilli i o ciemnej chmurce nad Arvonem

Kiedy obudziłem się o świcie, ptaki śpiewały w galeziach drzew. Woda już nie płonęła w miesięcznej poświacie, chociaż błędny srebrny dysk nadal wisiał na zachodzie. Mrugałem oczami, oszłomiony otoczeniem, a w pamięci wciąż miałem dziką, upojną noc, kiedy to lepiej widziałem i słyszałem, odbierałem więcej zapachów niż kiedykolwiek dotąd i czułem, że naprawdę żyję. Oddychałem wolnością, za którą tak długo tęskniła jakaś cząstka mojej istoty. Musiałem wrócić do Zamku. Czułem, iż będzie to powrót do klatki, ale nie miałem wyboru. Instynkt ostrzegł mnie, że gdyby dowiedziano się o moim nocnym szalenstwie, nie pozwolono by mi go powtórzyć. Należało więc wrócić niepostrzeżenie. Usiadłem szybko, sięgnąłem po leżące w zasięgu reki spodnie i buty i włożyłem je na mokre od rosy ciało. Pasa był teraz tylko pasem.

Nawet klamra wydawała się bardziej matowa, niby na wpol wypalona w blasku księżyca. Mimo to poglaskalem go czule.

Było bardzo wczesnie. Miałem nadzieję, że uda mi się wrócić, zanim w Zamku zacznie się ruch. Skradalem się więc wśród zarosli jak zwiadowca zbliżający się do obozu wrogów. Przemknalem wreszcie przez brame. Biegnąc do Wieży Młodzienców musiałem jednak minąć wejście do kobiecych komnat. Ktoś wyszedł z cienia i zastąpił mi drogę.

Ursilla!

Nie sposób było uniknąć tego spotkania. Madra Kobieta przywołała mnie ruchem ręki, zarazem cofając się pod zwieńczone lukiem drzwi do Wieży Dam.

Nic nie powiedziała, a ja przestępowałem z nogi na nogę. Nagle wskazała na wpol ukryty pas - nie miałem na sobie kaftana.

-Skąd to masz? - szepnęła ochryple. Instynktownie zasloniłem rękami klamrę. Wydawało mi się, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Poza tym - była czarownica czy też nie - czułem złość na sobie, że jak niemowa stoję posłusznie przed Ursilla.

-To dar od pani Eldris i Thaney. Wreczyła mi go jako symbol zareczyn.

Rysy Ursilli wyostrzyły się, a wargi cofnęły, odsłaniając zęby jak u rozwścieczonego psa.

-Oddaj mi to! - syknęła. Wyciągnęła zgięte niby szpony palce, jakby chciała zerwać ze mnie pas. - Oddaj mi to!

Czas posłuszeństwa przysł.

-Nie! - krzyknąłem. Potem odwróciłem się i pobiegłem, nie bacząc, czy ktoś mnie widzi. Dopiero gdy znalazłem się w swojej komnacie i stanąłem dysząc ciężko, zapanowałem nad paniką, która pchnęła mnie do ucieczki. Osunąłem się na skraj wąskiego łóża i usiłowałem rozróżnić się w gmatwaninie uczuć, które mna targaly. Co każe mi uciekać jak przerażonemu dziecku?

Poczucie swobody, z jakim się obudziłem, zniknęło. Jej miejsce zajęło przykre napięcie zmieszane ze strachem. Byłem w klatce - a Ursilla chciała mnie w niej zatrzymać. Już ona dopilnuje, żebym już nigdy nie przeżył takiej nocy! Było to dla mnie jasne, jakby napisane ognistymi runami na murze naprzeciw mnie. Pas!

Zdjąłem go, zbliżyłem klamrę do oczu i przyjrzałem się jej. Tak, zmatowiała lekko. Ale Ursilla nigdy mi go nie zabierze - w żaden sposób! Ten pas był prawdziwie mój - i to tak bardzo mój jak nic nigdy do tej pory. Zrozumiałem to już w chwili, kiedy zobaczyłem go wśród skarbow Ibycusa. Nie obchodziło mnie, że pani Eldris posłużyła się nim być może do realizacji swoich celów. Liczyło się tylko to, że mogłem znow go założyć. I zrobiłem to, sprawdzając dobrze zapiecie.

Ursilla może sobie być władczynią mocy, lecz nie odbierze mi pasa. Nie wiem dlaczego,

ale byłem o tym całkowicie przekonany.

Nielatwo jednak było wymknąć się czarownicy. Wczesnym popołudniem otrzymałem wezwanie. Cwiczyłem właśnie szermierkę z Pergvinem i zasłużyłem sobie na jego uznanie. Triumfowałem, ponieważ mój mistrz był bardziej skłonny do krytyki niż do pochwał. Może uczucie pełni życia, jakiego uzczył mi niezwykle pas, zapewni mi szacunek i pozostałych mieszkańców Car Do Prawn? Byłem więc w świetnym humorze, którego nie zwarzyło nawet pospieszne wezwanie do komnaty mojej matki.

Nie miałem wątpliwości, że musi to być jakaś sztuczka Ursilli i że będę musiał bardzo uważać w komnatach, gdzie miała największą moc. Ale przestałem już być małym chłopcem, któremu kobiety mogły rozkazywać. Poczulem się mężczyzną, panem własnego losu.

Mijając komnaty pani Eldris i Thaney nie zauważyłem ich mieszkańek. Ciepłe zapachy zniknęły, gdy wszedłem na piętro, gdzie królowała moja matka z nieodłączną Ursilla z boku. Pokój, do którego wpuszcila mnie jej osobista służebna, nie był obwieszony gobelinami. Przez nie zasłonięte okno wpadało dzienne światło i zapach siana suszacego się na polu.

Komnata była bogato umeblowana, a paradne krzesło mojej matki miało takie same poduszki i wysokie oparcie, z przewieszonym przezeń czerwonym płaszczem naszego klanu jak u pani Eldris. Na kamiennych ścianach zamiast gobelinów wisiały oprawione w ramki kawałki pergaminu z wizerunkami niesamowitych zwierząt i ptaków. Ich namalowane jaskrawymi barwami łuski, pióra, pazury i rogi połyskiwały jak drogie kamienie.

Pani Heroise siedziała przy stoliku, na którym leżał właśnie taki malowany pas pergaminu. Moja matka wypełniała farbą ciemne kontury, ostrożnie znacząc szkarłatne plamki, po czym, już innym pędzlem, dodawała do każdej z nich jedną lub dwie złote kropki. Kiedy wszedłem, nie podniosła głowy, nie powitała mnie.

Od dawna przywykłem do takiego traktowania i wiedziałem, że nie podniesie oczu, dopóki nie skończy tej części obrazu, nad którą właśnie pracowała. Poczulem się zaskoczony, bo była sama, gdy ja spodziewałem się zastać tu Ursille.

Pani Heroise położyła oba pędzle na wąskiej tacce i odsunęła ją od siebie. Dopiero wtedy przyjrzała mi się. Wzrok miała zimny i krytyczny.

-Jestes głupcem! - powiedziała w końcu.

Ponieważ już nieraz spotkało mnie takie przyjęcie, nie poczułem się urażony. Chciałem tylko, żeby jak najszybciej przeszła do sedna sprawy i wyjaśniła, pod jakim to względem jestem głupcem.

-Pozwoliles im przywołać się do nogi, jakbys był psem ze sfory pana Eracha - mówiła dalej. - Dlaczego urodziłam syna, który nie ma dość rozumu w głowie, żeby nie zorientować



sie, kiedy ktos chce go wykorzystac do swoich celow? - Wzruszyła ramionami i dodala: - Ale na szczescie mozna naprawic to, co sie stalo.

Nadal czekalem. Moja matka lubila zbaczac z tematu robiac osobiste przytyki. Kiedy bylem dzieckiem, takie wybiegi wywieraly na mnie pewne wrazenie: niepokoiłem sie, nie wiedzac, w czym zawinilem. Teraz zas, po latach, umialem zapanowac nad uczuciami, jakie budzily we mnie jej slowa, i czekac, az przejdzie do rzeczy.

-Pani Eldrig jest... - zaczela, po czym zawahala sie. Juz wczesniej dowiedzialem sie, ze pani Heroise i jej matki nie laczyła milosc, lecz tylko watla nic sympatii, chociaz gdy sie spotykaly, byly dla siebie bardzo uprzejme i, jak nakazywal zwyczaj, demonstracyjnie tworzyly jednolity front. Jasne bylo, iz moja matka zastapila pania Eldris w rzadach nad Car Do Prawn, ale nigdy nie zauwazylem, zeby babka z tego powodu czula jakas uraze. Wrecz przeciwnie, wydawalo sie, ze pani Eldris z ulga przekazala troski i obowiazki gospodyni swojej corce.

-Wpadles w jej sidla - oswiadczyla teraz pani Heroise. - Jezeli na czas nie wyzwolisz sie spod wplywu... - Znow sie zawahala, ale w koncu zdecydowala sie powiedziec mi prawde. - Ten pas jest przeklety.

Wierzyla w to, co mowila. Ale ja nie watpilem, ze to Ursilla ja o tym poinformowala.

-Pod jakim wzgledem? - Po raz pierwszy przerwalem milczenie.

-To wlasnosc Zwierzolaka. Ursilla zrozumiala to natychmiast, gdy zobaczyla ten pas. Na nasze nieszczescie pani Eldris rowniez o tym wie. Dostrzegla szanse uzyskania tego, czego od dawna pragnie.

-A mianowicie? - zapytalem powtornie. W dzieciinstwie zawsze pozwalalem soba kierowac. Teraz po raz pierwszy w zyciu myslalem samodzielnie i bylem soba. Moze dlatego, ze jeszcze trwal dzien, w ktorym zakosztowalem prawdziwej swobody.

-Ona chce, zeby to Maughus zostal dziedzicem Car Do Prawn.

Moja matka znow powiedziala otwarcie o nie wypowiedzianej wojnie, ktora toczyła sie od lat miedzy nia a pania Eldris.

-Dala ci te przeklęta rzecz w takich okolicznosciach, ze nie mogles odmowic jej przyjecia, bo to symbol zareczyn. Ten pas juz zaczal dzialac... Dokad pobiegles ostatniej nocy i w jakiej postaci, Kethanie? - Pochylila sie ku mnie, a jej oczy zdawaly sie plonac, gdy na mnie patrzyła. Wprawdzie nie tak jasno, ale w taki sam sposob jak klamra mojego pasa w ksiezycowej poswiacie.

-Spalem nad lesnym strumieniem. Nigdzie nie pobieglem. I nie jestem zmiennokształtny, pani.

Tak, to był rezultat wścibstwa Ursilli. Nagle przypomniałem sobie inną twarz, twarz chytrego, sympatycznego kupca. Co mi powiedział podczas naszego spotkania? "Kieruj się tym, czego najbardziej pragniesz, a nie tym, czego zadają od ciebie inni. Otrzymasz pewien dar. Ciesz się nim".

Odpowiedziałem pytaniem:

-Od kogo pani Eldris dowiedziała się, że w ofiarowanym mi podarunku kryje się moc?

-Od tego kupca, a od kogoż by innego? Ursilla wyczuła w nim władzę mocy. Może to tylko jeden z tych, którzy mają siac niezgodę i niesnaski. Kiedyś było takich wielu. Kłócili wśród naszych ludzi, starając się wpłynąć na nich tak czy inaczej. Ursilla wrożyła z gwiazd. Ich układ nie jest dobry dla Car Do Prawn, a może nawet dla całego kraju.

-Powiedziałaś, że pani Eldris trzyma stronę Maughusa. Wiem o tym. Ale zwyczaj pozostaje zwyczajem. Nie można zmienić faktu, że jestem twoim synem. - Szukałem drogi ostrożnie, jak zwiadowca na obcym terenie, lecz miałem do czynienia ze słowami, nie zaś z plamami cienia wśród pol.

-Głupcze! - Moja matka wstała, niecierpliwie odpychając stół. Słoik z farbą spadł i rozbił się na kamiennej podłodze. Pani Heroise nie zwróciła na to uwagi. - Zmiennokształtnemu zawsze grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli nie jest się wytrenowanym Zwierzolakiem, nie kontroluje się takich zmian postaci. Czy sądzisz, że zaakceptowano by cie jako Pana Na Zamku, gdyby ktokolwiek z Car Do Prawn poznał twoją słabą stronę? To się już kiedyś zdarzyło. Pani Eldris urodziła przed Erachem innego dziedzica. Był on polkwi Zwierzolakiem, a kiedy to wyszło na jaw, jego matka i wszyscy mieszkańcy Zamku wygnali go. Ty zaś nawet trochę nie jesteś Zwierzolakiem. Nos dalej ten przeklęty pas, a nie zdołasz zapanować nad zmianą postaci! Czy myślisz, że Thaney... Ze jakakolwiek panna wyszłaby wtedy za ciebie? Przepędzono by cie tak jak tamtego. I im dłużej będziesz Ignal do tej straszliwej rzeczy - tym większy wywrze na ciebie wpływ! Oddaj mi to! Wyciągnęła rękę władczy gestem. Wierzyła w to, co mówiła. Ale ja nie. Dla mnie to było tylko piwo, które nawarzyła Ursilla. Nie zapomniałem, jak patrzyła na kupca, ani ruchu jej palców, gdy chciała rzucić na niego czar. Nigdy jej nie lubiłem, a od spotkania z Ibycusem strach i zazenowanie ustąpiły miejsca nienawiści, prawie obrzydzeniu.

-To rozkaz Ursilli, nie twój - powiedziałem powoli. Moja matka opuściła rękę. Przesunęła językiem po wargach, jakby zlizywała z nich coś, co jej nie smakowało. Zmrużyła oczy i jej twarz stezała jak maska.

-Masz mnie słuchać!

Az do tej chwili nie przypuszczałem, że znajdę w sobie dość siły, żeby się przeciwstawić. I kiedy to zrozumiałem, na chwilę ogarnęło mnie to samo uniesienie, z jakim się obudziłem. Coż mnie obchodziły intrygi?

Kiedy nie odpowiedziałem, pani Heroise nagle usmiechnęła się, jakby zdołała opanować gniew, który mi okazała.

-Doskonale. - Zmiana tonu nastąpiła zaskakująco i nagle. - Czepiaj się więc swojej zabawki, chłopczyku. Sam się przekonasz, że miałam rację, a wtedy módl się, żeby nie było za późno i żebyś nie stracił wszystkiego przez własną głupotę. I nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie uświadomisz sobie, jakie są twoje obowiązki.

Usiadła, spokojnie przysunęła do siebie stół i wzięła do ręki pedzel. Przestałem dla niej istnieć. A jednak musiała się pogodzić z moim chwilowym zwycięstwem. Dawniej byłoby to nie do pomyslenia.

Głęboko zamysłony opuściłem Wieżę Dam. Czy Ursilla mówiła prawdę? Czy ów dziwny kupiec dla jakichś własnych celów sprzedał pani Eldris narzędzie, którego będzie mogła użyć przeciwko mnie? Jakie argumenty mogłem przeciwstawić słowom mojej matki? Wrażenie, jakie wywarł na mnie Ibycus, nieznaną dotąd stanowczość i pewność siebie, wspomnienie swobody, której zaznałem w księżycową noc? Tak niewiele, a przecież to wszystko sprawiło, iż nie uwierzyłem, że moja matka - albo Ursilla - mogą mieć całkowitą rację.

Pani Eldris nigdy mi dobrze nie życzyła, a Thaney na pewno myślała tak samo. Kto w całym Car Do Prawn żył dla mnie przyjaźni? Dla mojej matki i Ursilli miałem być tylko narzędziem. Pan Erach nie okazywał mi nawet cienia sympatii i zaledwie mnie tolerował. Maughus na pewno mnie nienawidził. Pergvin? Może tylko on.

A właśnie jego nie mogłem zapytać o pas. Wiedziałem, co mi powie: oddaj go, bo stracisz i tę odrobinę popularności, którą zyskałeś. Idąc przez dziedzińce, czułem się bardzo samotny. Gdy znalazłem się u siebie, rozwiązałem kaftan, wyciągnąłem koszulę ze spodni i sięgnąłem do zapinki pasa. Nie mogłem jej odpiąć!

Szarpalem coraz mocniej. Zapięcie pozostało nienaruszone, jakbym nigdy go nie odpinał. Wpadłem w panikę.

Ma moment uwierzyłem, że pas jest zaczarowany i że może mnie zawiadnąć.

Chwiejnym krokiem podszedłem do okna i oparłem się o parapet, oddychając gwałtownie zimnym powietrzem. Serce biło mi szybko i palce drżały, kiedy dotknąłem nimi cyrkonowej klamry, starając się opanować. Nie mogę sobie pozwolić na otwarcie wrot dla strachu - powtarzałem w myśli. Spokojnie, tylko spokojnie, muszę obluźnić zapięcie...

Wytarłem spocone palce o spodnie i siłą woli je opanowałem. Nie można konwulsyjnie szarpać klamry! Popchnąć... o tak...

Głowa lamparta rozluźniła uścisk, pas osunął się i byłby upadł na podłogę, gdybym w porę go nie złapał.

Zły na siebie, podniosłem go ku światłu. Widać to tak chciano mnie zrobić - zmusić, żebym uwierzył w tamte opowieści. Ledwie zapiecie klamry się zacięło, a mnie już się wydało, że będę nosić "przeklęty" pas po wieki wieków! "Jesteś głupcem!" - powiedziała moja matka. Spoglądając teraz na pas zrozumiałem, że była w błędzie. Ale będę głupcem na pewno, jeśli pozwole, żeby mnie rządzono.

Niezwykłe odczucia, jakie od pierwszego wejrzenia obudził we mnie pas, powróciły rzeka. To bezcenny skarb! Nie ma w nim nic złego. Wręcz przeciwnie, w chwilach zachwytu nad nim czułem się bardziej wolny niż kiedykolwiek. Jeżeli Ursilla znowu zechce zakuć mnie w kajdany, musi mi go odebrać. Ale niedoczekanie!

Z determinacją znowu się nim przepasałem i na wierzch nałożyłem koszulę i kaftan. Sznurowałem właśnie kaftan, kiedy zjawił się Pergwin przekazując polecenie pana Eracha, bym nie mieszkając stawiał się w Wielkiej Sali.

Zastanawiałem się tam ważne osobistości. Nie znaczy to, bym piastował jakieś funkcje czy mógł wypowiadać swoją opinię, ale jako oficjalny dziedzic Pana Na Zamku musiałem być obecny, gdy w trakcie narad podejmował on decyzje. Przybyli tam: Cadoc, dowódca i marszałek Car Do Prawn, oraz Hergil, spokojny starszy mężczyzna, którego pasją było prowadzenie rejestrow i kronik i który, jak mówiono, dużo wiedział o Zwierzolakach. Hergila przez ostatni miesiąc nie było w Zamku, lecz prawie nie zauważało się nieobecności tego skromnego, nie rzucającego się w oczy człowieka. Rzadko się odzywał, ale kiedy trzeba było przywołać z przeszłości jakieś wydarzenie, to zwracano się właśnie do niego o potwierdzenie.

Maughus bardzo umocnił swoją pozycję. W miarę upływu czasu wydawało się, że różnica wieku między nami nie maleje, a wręcz się powiększa. Niegdyś dreczył mnie i mnie pomiatał, obecnie ignorował całkowicie. Wcale mi to nie przeszkadzało. Teraz siedział obok swego ojca. Obracał trzymanym w palcach kielichem, jakby podziwiał zatarty wzór wyryty na jego bokach.

Wślizgnąłem się na miejsce obok Hergila (nikt z obecnych nie dał po sobie poznać, że zauważył moją obecność), jak zwykle przytłoczony panująca w tym miejscu zimna i ciężka atmosfera.

-A więc to prawda, że odbędą się przeglądy wojsk. Staniemy razem z Naczelnym Wodzem Aidanem, podobnie robią Czerwone i Zielone Plaszcze. - Monotonna mowa pana Eracha miała służyć podkreśleniu niepomysłnych wieści.

-A co ze Srebrnymi? - zapytał Cadoc.

-Tego nie wie nikt. Wiadomo tylko, że posłancy krążyli pomiędzy Zamkami z kresów zachodnich a wewnątrz Arvonu.

-Srebrne Plaszcze zawsze wolały zawierać sojusz z Głosami z Gor - zauważył Hergil. - To oni bronili Sokolego Szpona prawie przez pół roku w dniach poprzedzających Wygnanie,

kiedy opuszciliśmy Krainę Dolin Droga Pamięci. Polowa ich krwi należy do Najstarszej z Ras.

-Ale kto maci wodę? - zapytał nagle Maughus. - Jako posłaniec odwiedziłem około dwudziestu Zamków. Ludzie wszędzie są zaniepokojeni. W dalsze podróże wyruszają pod bronią. A przecież nikt nie donosił o żadnym napadzie Dzikich Ludzi z Wyzyn i nie zagrał rog wojny.

Pomyślałem o słowach Pergvina, że fale niepokoju w Arvonie zachowują się jak pływy morskie i że zbliża się kres długiego pokoju. Nie znając wroga, czuliśmy większy lęk, niż gdybyśmy wiedzieli, kto nim jest.

-Nic nie wiemy - odpowiedział jego ojciec. - Lecz z powodu naszego dziedzictwa możemy wyczuć zbliżającą się burzę. Podobno Głosy Mocy czytają w gwiazdach i przepowiadają przyszłość. Nikomu jednak nie przekazano ostrzeżenia. Równie dobrze może otworzyć się jakaś brama, przez którą wróci coś przerażającego, silniejsze i lepiej uzbrojone, gotowe nas zaatakować.

-Jest jeszcze coś - odezwał się Hergil. Chociaż mówił cicho, wszystkie spojrzenia się nań skierowały. - Ostatnimi czasy stoczono w naszym świecie wiele wojen. Mieszkańcy Krainy Dolin długo walczyli z okrutnymi najeźdźcami i dopiero po latach ich wyparli. Za morzem nasi kuzyni również podjęli walkę i chociaż zwyciężyli, to osiągnęli je kosztem takiego wysiłku mocy, że przez całe pokolenia nie będą mogli z niej korzystać w większym wymiarze. Moc zaś jest podstawą naszej obrony. Niestety wysaczyły ją kropla po kropli zarówno nowe ludy, które nie należą do naszej rasy, jak i pokrewne nam narody. Kto wie, czy taki odpływ mocy nie osłabił zabezpieczeń naszego świata, czy ci spoza jakiegokolwiek bramy nie wiedzą, że znowu mogą przeciw nam wystąpić?

-Nie ma co, przyjemnie to słyszeć! - skwitował mój wuj. - Ale może właśnie gorzka prawda kryje się w mroku. Co do nas, możemy tylko tak się przygotować, żeby wrog nie zaskoczył bezbronnych. Zużyjmy więc każdą daną nam godzinę tak, jakbyśmy spodziewali się długotrwałego obleżenia. Musimy być przygotowani na atak nic nie wiedząc o jego rodzaju i istocie. Każdemu przypadnie inne zadanie...

Tu zaczął rozdzielać obowiązki i zlecać prace, które należało wykonać. I tak, w obliczu niebezpieczeństwa, którego nie umieliśmy określić, do pewnego stopnia zapomniałem o złych przeczeniach.

O spisku Maughusa i o tym, jak otworzyły mi się oczy

Z rozkazu mojego wuja miałem zająć się zbiorem plonów z położonych na północ od Zamku pol. Pracowałem więc razem z naszymi rolnikami, spisując ładunki wozów wysyłanych do spichlerzy czy to pomagając ładować snopy. W tym pośpiechu i niepewności, które wśród nas zapanowały, przestała się liczyć ranga społeczna i wszyscy ciężko pracowaliśmy, żeby - wedle słów pana Eracha - dobrze przygotować się do

oblezenia. Pozostale Zamki Klanu Czerwonych Plaszczy widocznie postepowaly tak jak my, gdyz nie przybyl do nas ani jeden poslaniec. Nic tez nie planowalismy w zwiazku ze Swietem Plonow, jak to bylo w zwyczaju w minionych latach. Wyczuwalo sie, ze ludzie wola dla bezpieczenstwa pozostac w domu i nie wyjezdzac poza granice swoich pol.

Co noc wloklem sie do loza tak wyczerpany, ze myslalem tylko o tym, zeby zasnac, zanim swietem obudzi nas glos rogu. Nadal nosilem pas z lamparciej skory, ale stal sie dla mnie jedynie czescia ubioru. Nie utrzymywalem tez zadnych kontaktow z matka ani Ursilla.

Prawda, ze obie byly bardzo zajete. Do ich obowiazkow nalezalo warzenie kordialow, smazenie konfitur oraz wypiek twardego podroznego chleba (ktory mozna bylo dlugo przechowywac). Nawet wiejskie dzieci zrywaly orzechy z krzewow rosnacych na skraju lasu, rywalizujac z dzikimi zwierzetami. Potem wlokly do domu worki pelne zdobyczy. Jadra orzechow wyluskiwano z twardej skorupy, mielono i dodawano do ciasta chlebowego.

Tak mijaly dni, a potem tygodnie, i oto znow zblizyla sie pelnia ksiezyca. Tempo robot oslablo. Wieksza czesc plodow naszej ziemi znalazla sie juz w spichlerzach. Dopisywala tez pogoda: nie bylo ani jednego deszczowego dnia, ani nawet zachmurzonego nieba. Gotowi bylismy uwierzyc, ze to sama Moc okazuje nam laske.

Mimo to od czasu do czasu slyszalem utyskiwania rolnikow. A kiedy wyprostowali sie na chwile dla oddechu, nie rozgladali sie wokol z zadowoleniem, ale patrzyli coraz podejrzliwiej. Tego roku wyjatkowa pogoda i urodzaj ulatwily im zadanie, narastala wiec w nich obawa, ze jest to zapowiedz wielkich klopotow.

W przeddzien pelni wracalem z pola ostatnim wozem, a wszystko tak mnie bolalo, jakbym nigdy nie wypoczywal. Moi ludzie nie smiali sie i nie platali sobie prostackich zartow, jak to zwykle bywa po ciezkiej lecz wydajnej pracy przy zbiorach. Pierwszy kosiarz uplotl z ostatnich klosow niezdarna podobizne Zbozowej Panny i zniwiarze pili za jej zdrowie jablecznik, lecz czynili to bez przekonania i radosci, jakby traktowali to tylko jako przykry obowiazek.

Mieszkańcy Zamku rowniez nie okazali wesela, kiedy wjechalismy na dziedziniec z wbita na widly Zbozowa Panna. Na widok ostatniego wozu spokojnie odprawiono nakazane obrzedy, a moj wuj dal sygnal do powtornego toastu na czesc slomianej kukly.

Poznałem dziewczynę, która podala mu kufel. Od czasu do czasu uslugiwala w komnatach mojej matki. Teraz ani nie usmiechnela sie do mnie, ani nic nie powiedziala na powitanie, ale odeszla bez slowa.

Wsparty plecami o sciane Wiezy Mlodziencow, czulem takie zmeczenie ramion, ze tylko wysilkiem woli podnioslem kufel do ust i napilem sie chciwie. W tegorocznym jableczniku byl posmak goryczki pozostajacej dlugo w ustach, nie dopilem go wiec i odstawilem naczynie.

Chwiejnym krokiem dowloklem sie do mojej komnaty. Nawet sie nie rozebralem ani nie

umylem, tylko padłem na łozę i zamknąłem oczy. Zasnąłem natychmiast i chyba nic mi się nie śniło, gdyż nic więcej nie zapamiętałem z tej nocy. Budziłem się powoli, oslepiony blaskiem. Słońce malowało jasną, połyskliwą plamę na podłodze. Powrócił silny ból głowy, który dokuczał mi poprzedniej nocy, teraz zaś aż pulsował. Uniosłem się nieco, a wtedy ściany zafalowały mi przed oczami. Do ust napłynęła gorzka.

Z wielkim trudem dotarłem do kątka, w którym stał wysoki dzbanek z wodą. Rece tak mi się trzęsły, że więcej wylałem na podłogę, niż wlałem do miski. Zaczepiłem wodę w dłoń i zanurzyłem w niej twarz.

Dobrze mi to zrobiło. Oprzytomniałem i zdołałem jakos opanować mdłości. Czyżbym był chory? Myślałem niemrawo i przypomniałem sobie gorzki smak jablecznika. A dziewczyna, która mi go przyniosła, wykonywała polecenia Ursilli.

Nagle zauważyłem, że moja poplamiona i zmięta koszula wysunęła się ze spodni. Zwisiała luzno odsłaniając moje ciało i pas z lamparciej skóry!

Dotknąłem go i z ulgą upewniłem się, że jest na miejscu, że mi go nie zabrano. Podejrzywałem jednak, iż ktoś próbował go ukrącić. A do jablecznika dosypano mi czegoś na sen. Przecież Ursilla dobrze знаła zioła, zarówno te pomocne, jak i szkodliwe. Każda Madra Kobieta musiała to umieć. Nie potrafiłem jednak odgadnąć, czemu nie skorzystała z mojego uspienia i nie zabrała pasa. Zresztą; nie mogłem nikogo oskarżać tylko na podstawie podejrzeń. Przekonałem się więc, że nie wolno mi dowierzać otoczeniu. Te podejrzania wzmocniły tylko mój upor i postanowienie, że nie oddam pasa bez względu na to, co kryło się za podarunkiem pani Eldris. Za nic nie dam się do tego zmusić, nie pozwolę się ograbić.

Rozbierając się, myjąc, a potem ubierając w czystą odzież rozmyślałem gorączkowo. Przyszło mi do głowy, że z postępowaniem Ursilli mogły mieć coś wspólnego fazy księżyca. Gdybym tylko wiedział więcej o zmianie postaci! Może zapytać o to Hergila? Czy starczy mi na to odwagi? Nie mogę zrobić nic, co odsłoniłoby Maughusowi moje słabe punkty. Nie omieszkałby tego wykorzystać.

Czy pani Eldris i Thaney czekały teraz, aż się zdradzę? Włożyłem czystą koszulę przesyconą miłym zapachem ziół używanych przeciw wilgoci, pładze zamkowych murów, i zawiązałem mocno tasiemki.

Dzisiaj znowu będzie pełnia. Lamparci pas dotychczas tylko raz obudził we mnie dzikie uniesienie - w pierwszą noc pełni. Oszalamiające zioła Ursilli uniemożliwiły mi powtórzenie tego przeżycia ostatniej nocy. Może uda mi się dziś?

Nie mogłem nikomu ufać, nawet Hergilowi. A już na pewno nie mojej matce czy Ursilli. Wobec tego muszę dzisiaj bardzo uważać przy jedzeniu i piciu. To nie powinno być takie trudne. Podczas Święta Plonów nie wydawano uroczystych posiłków w Wielkiej Sali. Ludzie

zglaszali się po podróżny chleb, ser i suszone mięso bezpośrednio do kuchni. Biorąc ponadto pod uwagę ogólne nastroje, nie wierzyłem, aby urządzono jakąś świąteczną biesiadę. A nawet gdyby do tego doszło, będę jadł tylko owoce, unikając potraw, do których można by dodać trucizny.

Wyszedłem z komnaty późnym rankiem: tak długo trzymał mnie w niewoli narkotyk Ursilli. Car Do Prawn sprawiał obecnie wrażenie sennego, czas gorączkowej aktywności ostatnich tygodni mijał. Wprawdzie slyszalem głosy dochodzące ze stajni, ale nikt nie wyszedł na dziedziniec. Bole żołądka i mdłości ustąpiły i teraz czulem dotkliwy głód. Skierowałem się więc do szpizarni po swoją porcję.

Zastukałem w parapet. Z kuchni wyskoczył kuchcik. Po brodzie coś mu ciekło i zlizywał z warg okruchy. Przyjrzał mi się z ukosa, zaczerwieniony po uszy, jakby przyłapany na drobnej kradzieży.

-Czego sobie życzysz, paniczku? - pisnął i omal się nie zakrztusił połkniętym w pośpiechu kawałkiem.

-Chleba i sera - powiedziałem krótko.

-Jablecznika też?

Potrząsnąłem przecząco głową.

-Tylko tego.

Może moje słowa zabrzmiały zbyt ostro, bo na twarzy chłopaka pojawiło się zaskoczenie. Ze też tak się zdradziłem. Zirykowałem się. Ostrożnie! Ostrożnie... Powinienem uważać.

Kuchcik wrócił trzymając serwetkę zamiast talerza. Był tam kawałek ciepłego chleba z lekko wtopioną bryłką sera. Uznałem, że zasługuje na zaufanie.

Podziękowałem i wyszedłem z Zamku. Słońce jasno świeciło na prawie bezchmurnym niebie. Rosa już dawno zdążyła wyschnąć i rzyska pokryły się samym brazem. Odwróciłem się do nich plecami i ruszyłem starożytną drożką z omszałych kamiennych bloków do ogrodu, gdzie rosły zioła i kwiaty, uprawiane dla ich urody i leczniczych właściwości.

Ale i tu nie znalazłem samotności. Usłyszałem wysokie głosy. Trzy kobiety zbierały płatki późnych róż, żeby przerobić je na kordialy lub słodkie konfitury. Nie zauważyły mnie, przemknąłem więc na inną ścieżkę, porośniętą z obu stron wysokimi krzewami, teraz prawie ogolonymi z jagód.

Naraz usłyszałem swoje imię i zatrzymałem się. Właściwie nie miałem zamiaru podsłuchiwać paplaniny tych kobiet, ale niewiele oprze się pokusie wysłuchania, co mówią o nich inni.



-To prawda... posłaly stara Malkin do Wieży Młodzieńców... do komnaty panicza Kethana. Wrocila powluczac nogami i pociagajac nosem, jakby sie bala, ze dostanie po uszach. Nie chcialabym wypelniac polecen Madrej Kobiety. Ona...

-Lepiej ugryz sie w jezyk, Huldo! Ona ma wszedzie oczy i uszy! - zganil surowo inny glos.

-Mysle, ze dostatecznie duzo oczu pilnuje naszej panienki. Dasala sie przez wiele dni i jej nastroj poprawial sie i pogarszal, zmienial sie razem ze sloncem. Wczoraj rzucila w Bertholda zwierciadlem i peklo na pol...

Uslyszalem zdumione westchnienie.

-To niesamowite.

-To samo powiedziala pani Eldris - odparowala sluzebna. - Poza tym nasza pani zwrocila jej uwage, ze zwierciadel nie znajduje sie na drodze i ze o tej porze roku moze juz nie przybedzie do Zamku zaden kupiec, od ktorego Thaney moglaby nabyc inne. Potem przyszedl panicz Maughus, a wtedy pani i panienka wypogodzily sie i odeslaly wszystkich z komnaty, zeby porozmawiac bez swiadkow.

-Tak. To dlatego Malkin tak dlugo stala na schodach. Mowia, ze to ona jest okiem i uchem Madrej Kobiety.

-Jesli moze podslychiwac przez drzwi i sciany, to sluch ma doskonaly, lepszy niz my. Taka stara, a jeszcze ma sile tak zwinnie sie skradac!

-Czy przyszlo ci kiedykolwiek do glowy... - kobieta, ktora zadala pytanie, znizyla glos do szeptu. - Czy przyszlo ci kiedykolwiek do glowy, ze Malkin moze byc inna?

-Co masz na mysli?

-Ona sluzzy tylko Madrej Kobiecie i nikomu wiecej. Slyszalam, jak stara Dama Xenia powiedziala kiedys, ze Malkin przybyla do Zamku razem z Madra Kobieta i ze w czasach, ktorych zadna z nas nie pamietaj, wygladala tak samo jak dzis, jak trzesacy sie ze starosci worek pelen kosci. Wiecie, ze nigdy nie trzyma sie razem z nami i nigdy nic nie mowi. Przynajmniej ja nigdy nie slyszalam jej mowiacej. No, chyba ze ktos ja zapyta wprost. Oczy tez ma jakies dziwne.

-I przewaznie trzyma je opuszczone. I nikt nie moze odgadnac ich wyrazu. Mowie wam, ze nigdy nie bierze ze soba swiecy czy lampy, zeby sobie swiecic po drodze, ale idzie tak pewnie, jakby mrok byl dla niej swiatlem.

-Madra Kobieta ufa jej. Zastanawiam sie, po co poszla do panicza Kethana. Rolf zobaczyl ja na schodach, a pozniej widzial, jak otwierala drzwi do komnaty panicza. Gdyby miala przekazac jakies poslanie, to uslyszalby jej glos, a bylo cicho. Chcial dowiedziec sie czegos

wiecej, ale wezwal go jego pan, wiec nie mial okazji...

-Podgladacie, sledzicie, ty i Rolf. Czy chcesz, zeby Madra Kobieta zwrocila na ciebie oczy, Huldo? Ryzykujesz i postepujesz bardzo niemadrze.

-Tak. A ty nie opowiadaj nam tu tych swoich historyjek! Nie chce sciagnac na siebie jej uwagi ani sie narazic! Wystarczy, ze musimy znosic humory panienki albo wybuchy gniewu pani Eldris. A wy dwie uwazajcie na to, co mowicie, i nie zastanawiajcie sie, co Malkin robi czy nie robi w nocy!

Uslyszalem szelest ich sukien, jak oddalaly sie ode mnie. To, co powiedzialy, w pelni potwierdzilo moje podejrzenia: to Ursilla sprawila, ze przez cala noc bylem nieprzytomny. No coz, jej sluzebna nie zabrala mi pasa, ale trudno uwazac to za zwyciestwo. Znalazszy w przeciwnym koncu ogrodu laweczke oslonieta dwiema scianami krzewow, usiadlem i zjadlem chleb z serem, bardziej skupiajac uwage na nurtujacych mnie myslach niz na jedzeniu.

Powzialesm jedna decyzje: tej nocy nie bede wieznie Ursilli. Ale czy wlasciwe bedzie pozostanie na zewnatrz, poza murami Zamku? Wspomnienia cudownej nocy, gdy po raz pierwszy wlozylem lamparci pas, obudzily we mnie tesknote za nastepna. Gdyby jednak zauwazono moja nieobecność, pani Heroise rozkaze mnie odszukac. Lepiej zrobic to cichaczem i w tajemnicy.

Promienie slonca nie docieraly do laweczki, a senna atmosfera ogrodu poczela na mnie dzialac. Zachcialo mi sie spac. Wielkie pszczoły, zajete gromadzeniem swoich zapasow z taka sama energia jak nasza w ostatnich tygodniach, wedrowaly obladowane nektarem z kwiatu na kwiat, a ptaki slodko spiewaly. W takim miejscu intrygi i niebezpieczenstwa wydawaly sie niewiarygodne i nieprawdopodobne.

Powoli uswiadomilem sobie, ze moje zmysly wyostrzaja sie. Kolory wydaly mi sie jaskrawsze, kontury kwiatow i roslin ostrzejsze, bardziej wyrazne. Moj wech stal sie wrażliwszy, podobnie sluch. Nie wiem, dlaczego, ale bylem o tym gleboko przekonany i zaakceptowalem to bez wahania.

Poczulem potrzebe stopienia sie z otaczajaca mnie roslinnoscia. Uklaklem na trawie, gmerajac w niej palcami, jakbym glaskal futro jakiegos uspionego olbrzymiego zwierzecia. Pochylilem glowe chcac uchwycic delikatny zapach kwiatkow zwieszajacych sie z cienkiej niby nitka lodyzki, ktore zakolysaly sie w poruszonym przeze mnie powietrzu.

Oszolomiony wlasnym stanem, zapomnialem o wszystkim. Rad bylem, ze znalazlem sie w tym miejscu i o tej porze. Lecz takie chwile nigdy nie trwaja dlugo. Wkrotce dawne watpliwosci powrocily z jeszcze wieksza sila. Poczulem sie wtedy intruzem, ktory zaklocil spokoj tego uroczego zakatka, odszedlem wiec.

Tej nocy wieczerze jedlismy wspolnie. Siedzialem na swoim miejscu, przenoszac

spojrzenie z jednej twarzy na druga, badając wyraz oczu i twarzy w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Śmiano się i wznoszono toasty w podziękowanie za obfite zbiory. Lecz wszystko to wydawało mi się sztuczne i powierzchowne, zgromadzeni jakby celowo robili gorączkową wrzawę, by zagłuszyć własne myśli.

Jadłem niewiele i bardzo ostrożnie. Byłem zadowolony, że przez metal kielicha nie widac, że tylko dotykam go wargami. Jego zawartość udało mi się ukradkiem wylać do naczynia z kwitnącymi gałązkami, szczęśliwie stojącego tuż za moim krzesłem.

Moja matka zajęła miejsce naprzeciw pani Eldris, Thaney siedziała przy osobnym stole wraz z innymi pannami, Ursilla zaś w ogóle się nie pokazała. Zdawałem sobie sprawę, że Maughus obserwował mnie ukradkiem. Lecz nie obawiałem się tych spojrzeń, tylko podstęp. Gdyby chciał mi dokuczyć, zrobiłby to przy wszystkich.

Wczesnie skończyliśmy świąteczną wieczerzę. Na zabawę i śpiewy nikt nie miał ochoty. Siedzący w wysokim krześle pan Erach wydawał się nieobecny duchem i tylko co jakiś czas rozmawiał cicho z Hergilem. Miał srogą minę, a jego niezadowolenie wyraźnie rosło wraz z każdą wymianą zdań.

Niecierpliwie czekałem. Chciałem być sam, jeszcze raz wymknąć się z Zamku i poszukać swobody. W końcu dłużej nie mogłem wytrzymać. Opuszciliem więc chylkiem Wielką Salę i udałem się w zacisze mojej komnaty. Woliałem, żeby nie widziano, jak uciekam.

Uznawszy, że mogę już bezpiecznie wyjść z pokoju, położyłem rękę na klamce. Niestety, drzwi były zamknięte z zewnątrz! Zakląłem w duchu. Coż za głupiec ze mnie! Ze tego nie przewidziałem! A może to Ursilla poprzez ściany rzuciła na mnie czar, bym nie przedsięwziął tak prostego środka ostrożności?

Krażliwie niecierpliwie po komnacie. Wąskie okno nie dopuszczało do jej wnętrza chłodnego wiatru. Ściany wokół mnie nadal promieniowały ciepłem. Tymczasem wzeszedł księżyc i srebrem zalał ziemię. Płonąłem cały, dusiłem się...

Zdarłem z siebie niewygodne ubranie i stanąłem nagi. Miałem na sobie tylko pas ze skóry lamparta. Opuszciliem wzrok. Cyrkonowe zapieczętowanie rozjaśniało się coraz bardziej, zdawało się wysysać gorąco, które mnie otaczało, i gromadzić energię.

Nagły rozbłysk oslepił mnie na chwilę.

Podniosłem głowę. Wtem odczułem pewną niewygodę. Wszystko widziałem pod zaskakującym kątem. Uświadomiłem sobie naraz, że stoję na czterech łapach, a moje ciało nie dość, że porośnięte jest jasnozłotą sierścią, to jeszcze kończy się drgającym lekko ogonem. Otworzyłem usta do krzyku, lecz pomiędzy szczęk wydarł się dźwięk pośredni pomiędzy pomrukiem a warknięciem.

O przeciwległą ścianę stała oparta wypolerowana tarcza, która służyła mi też za

zwierciadło. Ruszyłem ku niej i zobaczyłem odbicie - lamparta!

W pierwszej chwili nie poczułem strachu, nie ogarnęła mnie panika. Uniosłem wysoko głowę, uradowany, rozkoszując się nowym ciałem. Dlaczego ludzie tak źle wyrażali się o zmianie postaci? Przecież nie mają pojęcia, co czuje ktoś, kto posiada wiedzę niedostępną ich gatunkowi - temu tak bardzo ograniczonemu gatunkowi...

Napawały mnie dumą żelazne mięśnie i szybkie, zwinne ruchy, gdy krążyłem po kamiennej klatce. I wpadłem w taki zachwyt, iż nie usłyszałem, jak ktoś otworzył drzwi. Dopiero gdy światło lampy wyparło blask księżyca, odwróciłem się błyskawicznie z ostrzegawczym warknięciem.

W porę zauważyłem obnażony miecz i zrozumiałem, że Maughus czeka, aż go zaatakuję. Zmieniłem wprawdzie postać, ale mój umysł pozostał ludzki. Nie dam się tak łatwo wciągnąć w gierki mojego kuzyna.

Nie był sam. Za nim stała Thaney w ciemnym płaszczu; kaptur zsunął się jej z głowy. Grymas obrzydzenia wykrzywił jej twarz.

-Zabij go! - szepnęła ochryple. Maughus potrząsnął przecząco głową.

-Nie, musi sam się zdemaskować, gdyż powszechnie jest znana niechęć, jaką do niego czuje. Nie chce, żeby mówiono, iż jego krew splamiła mój miecz, bo pragnąłem zagarnąć jego dziedzictwo. Sama się przekonałaś, iż jest zmiennokształtny. Wystarczy to rozgłosić, a ludzie, którzy obawiają się teraz wszelkich przejawów Ciemności, sami go usuną.

Wycofał się za próg, nadal trzymając miecz w pogotowiu. Drzwi zatrzęsły się. Usłyszałem tylko, jak opadła sztaba, wieszając mnie w mojej własnej komnacie.

O tym, jak na mnie polowano i o ucieczce

Przez chwilę szalało we mnie zwierze. Skoczyłem do drzwi i potłukłem się boleśnie. Sztaba nie ustąpiła. Usłyszawszy swoje warknięcie, zapanowałem nad zwierzęcą częścią mojej istoty. Nie wiedziałem, co szykuje mi mój kuzyn, ale nie wątpiłem, iż będzie to niebezpieczne i zagrazi memu życiu. Już nie cieszyło mnie moje nowe ciało. Chciałem uwolnić się od niego i wrócić do swojej prawdziwej postaci. Nie znalazłem jednak żadnego odpowiedniego czaru ani czarodziejskiej sztuczki. Z goryczą uświadomiłem sobie, że Ursilla, podobnie jak moja matka, miała po stokroć rację, nie ufając podarunkowi pani Eldris. Pani Heroise nazwała mnie głupcem. Teraz, w tej rozpaczliwej sytuacji, określiłem się jeszcze dosadniej.

Bez trudu zrozumiałem, co się stało. W jakiś sposób (może od kupca Ibycusa?) pani Eldris poznała tajemnicę pasa z lamparciej skóry i dopilnowała, żeby znalazł się w moich rękach. Teraz wreszcie mogła usunąć mnie z drogi swego ulubieńca. Doskonale wiedziałem, że Maughus powiedział prawdę - zmiennokształtni nie cieszyli się sympatią Czterech Klanów.

Ktos taki byl im zupełnie obcy, nalezal do lesnego plemienia mieszancow, ktorym ludzie pelnej krwi naprawde nigdy do konca nie ufali.

Teraz, gdy mieszkancy Car Do Prawn stali sie tak niespokojni i podejrzliwi, potraktuja mnie tak samo jak starszego syna pani Eldris - skaza na wygnanie. Lecz moj los bedzie znacznie gorszy, poniewaz nie mialem krewnych wsrod Zwierzolakow ani innego niz Zamek domu.

Pas. Spojrzalem na moje cialo. Tak, chociaz przybralem zwierzeca postac, nadal nosilem pas. Nie roznil sie prawie od mojej siersci. Lecz cyrkonowa zapinka swiecila jasno. A gdybym pozbyl sie tych wiezow? Czy wtedy znow stane sie czlowiekiem?

Ale choc zaczepilem pazurem o zapiecie, szarpalem i ciagnalem za klamre, pas sie nie odpial. Okno? Czy zdolam wyskoczyc przez okno, ukryc sie gdzies i poczekac do zachodu ksiezycy? Tyle wiedzialem z Kronik - ksiezyc w pelni w duzym stopniu rzadzil takimi przemianami.

Stanalem na tylnych lapach, oparlem przednie na parapecie, wcisnalem glowe w waskie okno i sprobowalem wyrzec. Moja komnata znajdowala sie na drugim pietrze Wiezy Mlodziencow. Jeszcze nie oswoilem sie z nowym cialem na tyle, bym sprobowal wyskoczyc na dziedziniec. Kiedy tak stalem, od strony drzwi dobiegl jakis cichy dzwiek.

W jednej chwili opadlem na podloge i podszedlem do drzwi. Czy ktos ukradkiem wyjal sztabe je zamykajaca?

Nie bylem pewny.

Jesli tak, to kto to zrobil? Ogarnely mnie podejrzenia. Czy to Maughus, chcac mnie wywabic na zewnatrz? A moze mialem jakiegos przyjaciela, który chcial pokrzyzowac plany kuzyna?

Podnioslem lape, wysunalem pazury i wsadzilem je w szpare pomiedzy sciana a drzwiami. Podwazylem powoli i bezszelestnie. Drzwi drgnely. Nie byly zamkniete. Znieruchomialem, nasluchujac. Sluch lamparta jest znacznie lepszy od ludzkiego, podobnie jak wech. Wciagnalem w nozdrza nie znane mi dotad zapachy.

Za drzwi nie dobiegal najmniejszy szmer. Zadnego cichego oddechu napastnika, który moglby mnie zaatakowac, gdy wyjde. Mialem do wyboru: albo pozostac w komnacie i czekac na rezultaty knowan Maughusa, albo - o ile mi sie to uda - uciec i spotkac sie z nim pozniej, w sytuacji dla mnie korzystniejszej.

Zdecydowalem sie. Szarpnalem lapa drzwi, otworzyly sie na osciez. Panujacy w korytarzu mrok to zadna przeszkoda. Tak, znowu dopomoglo mi dziedzictwo lamparta. Mialem juz pomysl. W tej kupie kamieni zyła tylko jedna osoba, która mogła mnie uratowac (nie przez wzglad na mnie, ale by zrealizowac własne plany) - Ursilla! Znając starozytna wiedze na

pewno orientuje się, co trzeba zrobić, żebym mógł pozbyć się tej postaci, a być może przechowa mnie bezpiecznie do chwili, gdy nastąpi naturalna przemiana. W takim razie muszę podporządkować się jej zadaniu i oddać ten przeklęty pas. Kiedy się go pozbede, Maughus nie będzie mógł niczego mi udowodnić ani nic mi zrobić...

Bezszelestnie wymknąłem się z komnaty. Poczulem silną won człowieka zmieszana z innym zapachem - mimo woli warknąłem cicho - z odorem psa. Nie widziałem nikogo i nic nie słyszałem. Ktokolwiek uwolnił mnie z pułapki, opuścił to miejsce. Pergvin? Lecz skąd by o tym wiedział - chyba że Maughus otwarcie mówił o swoich podejrzeniach i zamiarach.

Cicho zbiegłem ze schodów. Zatrzymałem się przed drzwiami wyjściowymi. I one były zamknięte, ale teraz sztaba znajdowała się z mojej strony. Stałem na tylnych łapach, oparłem przednie o drzwi i niezdarnie podważylem pyskiem sztabę.

Początkowo stawiała opór, ale później zaczęła się unosić ze zgrzytem, który wydał mi się głośniejszy jak uderzenie pioruna. Zamarłem w bezruchu, nasłuchiwałem - jeszcze bardziej podejrzliwy niż przedtem. A jeśli Maughus zaplanował to wszystko, żeby zwabić mnie na dwór, gdzie będzie mógł ujawnić przed wszystkimi przemianę, jakiej uległem. Lecz czy mogłem postąpić inaczej? Ukryć się we własnej komnacie i czekać, aż mnie zdemaskują? Nie pozwoli mi na to moja natura.

Wreszcie sztaba opadła. Pchnąłem mocno drzwi i wybiegłem na dziedziniec. Ukryłem się w najbliższym cieniu.

W nozdrza buchnęły mi mocne odory... konia... psa... człowieka... znałem je przecież, gdy byłem w moim własnym ciele. Mieszało się z nimi niezliczone mnóstwo nowych zapachów, których nie umiałbym określić. Mimo że postanowiłem pozbyć się zaklętego pasa i wszystkiego, co się z nim wiązało, rosło we mnie podniecenie i poczucie swobody. Całą siłą woli zdlawiłem te uczucia - zrozumiałem, że dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj wolności: wolność od pasa i jego wpływu.

Przyjrzałem się Wieży Dam. Drzwi wejściowe na pewno były zamknięte od wewnątrz... Ale później przypomniałem sobie Thaney. Jeżeli wyszła stamtąd ukradkiem, czy nie zostawiła ich otwartych, żeby móc wrócić? Nie mogłem jednak na to liczyć. Pomyslałem o murach. Jeżeli się na nie dostanę, może uda mi się skoczyć przez okno do komnaty mojej matki. W owej chwili nie widziałem innego wyjścia.

Lecz żeby tam dotrzeć, muszę przebiec przez wartownię na schody prowadzące na blanki murów obronnych. Niepokoił mnie nienaturalny spokój i cisza panująca na dziedzińcu.

Największą przeszkodę stanowiła jednak stajnia i psiarnia. Sam z łatwością wyczuwając wszelkie zwierzęce zapachy, nie wątpiłem, że psy i konie bez trudu zwesza przebiegającego obok lamparta. Jeżeli podniosą wrzawę, natychmiast zostanie zdemaskowany.

Nie mogłem tak stać bez końca. Zaczęłem więc czolgać się powoli ku stajni, ale nigdy nie miałem tam dotrzeć, nawet w jej pobliżu.

Głośne ujadanie psów rozdarło nocną ciszę. W blasku księżyca z psiarni wyskoczyła sfora, która, wedle przechwałek mojego wuja, mogła stawić czoło nawet osaczonemu śnieżnemu kotu. Psy szczekały, ale nie atakowały... Złapała mnie wściekłość i strach, usunęła w cień człowieka, wyzwoliła naturę zwierzęcia.

Skoczyłem, wysuwając pazury. Psy zaskowyczały i cofnęły się. Teraz i konie w stajni musiały mnie zweszyć, bo rzuciły się jak oszalełe i rwały dziko. Ludzie z krzykiem wybiegli na dziedziniec. Wystrzelona z kuszy strzala ze swistem wbiła się obok mnie w ziemię.

Psy zagrażały mi drogę do bramy. Jeżeli nie przebiję się przez nie, zginę. Nie miałem gdzie się ukryć, zresztą psy i tak by mnie zweszyły w każdej kryjówce. Przywódca, Straszny Kiel, jedyny spośród warczącej groźnie sfory szykował się do walki ze mną. Chodził tam i z powrotem, w półmroku jego oczy świeciły czerwienią, a pysk wykrzywiło warczenie, choć nie słychać było żadnego dźwięku. Zwierzęca częśćka mojej istoty wiedziała, że podczas gdy inne psy strach uczynił ostrożnymi, ten chciał się ze mną zmierzyć.

Przysiadłem na tylne łapy, poruszyłem lekko ogonem, a potem odbiłem się i przeskoczyłem ponad nieulekłym przeciwnikiem. Błyskawicznie przebiegłem susami dziedziniec i wypadłem za bramę, gdyż tylko tam - zdaniem ukrytego we mnie lamparta - mogłem uciekać.

Psom moja ucieczka dodała odwagi, bo zaszczekały głośno i ruszyły za mną. Straszny Kiel pewnie na przedzie. Rozległy się okrzyki. Nad głową przeleciała mi płonąca strzala, wbiła się w rzysko jak pochodnia. W jednej chwili pozostawiona na polu słoma stanęła w ogniu.

Ta strzala była odpowiedzią na moje wątpliwości, czy zastawiono na mnie pułapkę. Ktoś musiał wypuścić psy, przygotować strzały, które teraz smugami przecinały powietrze i wbijały się w ziemię. Nie tylko chciano zdemaskować mnie jako istotę zmiennokształtną, ale w samej rzeczy zaplanowano na mnie. Gdybym zginął podczas polowania, ten, kto to wszystko zaplanował, mógłby bronić się twierdząc, że naprawdę wziął mnie za dzikie zwierze.

Przez jakiś czas biegłem na oślep, myśląc tylko o tym, jak umknąć psom i myśliwym. Dopiero po jakimś czasie odzyskałem kontrolę nad przerażonym drapieżnikiem. Tak, powinienem zgubić przesładowców, znaleźć jakieś schronienie i poczekać, aż światło dzienne zniszczy czary. Ale nie osiągnę tego bezmyślnie uciekając gdzie łapy poniosą.

Nigdy w życiu nie byłem na polowaniu. Nienawisć do koni i psów sprawiła, że nie opanowałem umiejętności uważanej za niezbędna dla każdego mężczyzny. Nie wiedziałem

wiec, co mam zrobic. Chyba ze...

Chyba ze pozwole, pozwole celowo, zeby lampart wzial we mnie gore nad czlowiekiem! Czy sie odwaze? Nie mialem na to ochoty, ale strach przed smiercia zmusza kazdego do trudnych wyborow. Sprobowalem wiec pograzyc sie w lamparcie i przekonalem sie, jakie to bylo przerazajaco latwe.

Obserwowalem siebie, jakbym byl widzem. Trudno zrozumiec rozdwojenie, ktore sie we mnie dokonalo, komus, kto nigdy tego nie przezytl. Mysle, ze ta decyzja o byciu zwierzem ocalila mnie wtedy przed smiercia.

Bieglem znacznie szybciej od scigajacych mnie jezdcow, lecz wciaz slyszalem ich okrzyki i granie rogu. Jezeli nawet wypuszczali te swoje ogniste strzaly, ladowaly one daleko poza mna. Wreszcie znalazlem sie na skraju lasu.

Wspialem sie na pierwsze grubsze drzewo, ale coz to za kryjowka. Psy gromada je otocza i zatrzymaja mnie do przybycia swych panow. Na szczescie drzewo okazalo sie prawdziwym olbrzymem - jego nizsze konary byly tak grube, ze moglem po nich stapac. Skaczac z konaru na konar przemierzalem sasiadujace drzewa, zeby zmylic pogon. Niestety, z kolejnego drzewa musialem zeskoczyc i wyladowalem w krzakach, ktore zalamaly sie pod moim ciezarem. Nie bylo to przyjemne.

Ten las waskim pasmem siegal daleko na polnoc i dochodzil do wzgorz, ktorych ludzie z Czterech Klanow zwykle unikali. Las mial swoich mieszkancow i wiedzialem, ze moi przesladowcy mogli im rozkazac mnie sledzic. Byli wsrod nich i tacy, ktorych nie chcialbym spotkac ani jako zwierze, ani jako czlowiek. Bylem pewny, ze uciekne mysliwym, jesli tylko znajde jakas kryjowke, aby doczekac switu. Nie odwazylem sie ukladac siegajacych dalej planow.

Szczekanie psow cichlo. Moze zaskoczyl je fakt, ze urwal im sie slad? Pewnie pilnuja teraz drzewa, na ktore wspialem sie na poczatku. Nie bieglem juz na oslep, lecz wolniej, rowniej.

Z prawa uslyszalem szmer plynacej wody. Moze to byl ten sam strumien, na ktory sie natknałem podczas pamietnej ksiezycowej nocy. Woda takze pomoze mi zatrzec slady. Podbieglem do brzegu. Ksiezyc bardzo jasno oswietlal to miejsce. Jako lampart widzialem w nocy rownie dobrze jak czlowiek w poludnie pogodnego dnia.

Wszedlem do wody z niechecia, bo musialem zmoczyc futro. Ruszyłem pod prad, w gore strumienia. Nie wiem, jak dlugo wedrowalem, zanim dotarlem do skalnych rozwalin. Lampart we mnie uznal je za znakomita kryjowke. Tyle wiec zyskalem. Wystarczy, ze zostanie tutaj do rana i...

Lecz okazalo sie, ze na nic wszystkie moje fortele i caly wysilek. Nagle uslyszalem nad soba szum skrzydel. Wielki sokol rzucil sie na mnie bijac skrzydlami po glowie i barkach.



Poczułem ostry ból, gdy zatopił mi szpony w grzbiecie. Padłem na ziemię, próbując stracić go z siebie, lecz oszolomiony tym niespodziewanym atakiem nie umiałem skutecznie walczyć.

Chociaż miotałem się, miauczac jak rozzłoszczony kot, napastnik zrobił, co chciał. Patrzyłem, jak wznosił się w powietrze. Niewiele brakowało, a byłbym go dosięgnął ostatnim skokiem. Ale odleciał, trzymając w szponach mój rozerwany teraz pas.

Skulilem się. Bolały mnie rany na grzbiecie, zadane przez wielkiego ptaka. Przeraziłem się, że teraz na zawsze pozostanę zwierzęciem. Gdybym tylko więcej wiedział o zmianie postaci! I skąd ten ptak...?

Sokol nie mógł być sługa Maughusa. Zadnego łownego ptaka nie udaloby się tak ułożyć. To niemożliwe. Albo ta istota była jednym z nieznanym mieszkańcom lasu, których powinienem się obawiać, albo... Warknałem, gdy ta myśl przyszła mi do głowy. Ursilla?

Nie znałem granic jej wiedzy, ale czułem zdrowy respekt przed jej umiejętnościami. Stać ją było na coś takiego. Teraz nawet nie byłem pewny, czy to był prawdziwy sokol. Wiadomo, że władcy mocy miewają dziwne sługi. Nawet jeżeli nic podobnego nie wydarzyło się wtedy, kiedy mieszkalem z Ursilla, nie osmieliłbym się twierdzić, że nie byłoby jej stać na przemianę w ptaka.

Jeżeli to Ursilla zdobyła mój pas? Wstrzasnięty i niezle wystraszony rozejrzałem się wokół i wpełzłem do wielkiej szczeliny.

Po kociemu zlizalem wodę z futra, wyczyszcilem rany na grzbiecie, choć nie do wszystkich mogłem dosięgnąć. Później wyciągnąłem się z głową na przednich łapach. Długo uciekałem i moje ciało potrzebowało snu. Musiałem odpocząć.

Chyba na polu oczekiwałem, że obudzimy się, będą otoczeni przez myśliwych. Miałem też nadzieję, że odzyskam ludzką postać. Ale kiedy promienie słońca dotarły do kryjówki obudziły mnie, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: nadal byłem lampartem. Ogarnęło mnie przerażenie, takie samo jak wtedy, gdy zobaczyłem sokola odlatującego z rozerwanym pasem. Znalazłem się w pułapce, uwięziony w ciele lamparta, bez umiejętności zmiany postaci.

Poza tym obudzilem się bardzo głodny, czując zwierzęcą potrzebę napełnienia brzucha. Jeżeli miałem przeżyć, musiałem zaufać instynktom lamparta. Ten instynkt zaprowadził mnie znowu na brzeg strumienia.

Pływały w nim ryby. Na ich widok ślina pociekła mi z pyska. Przykucnałem i wyciągnąłem łapę. Szybki ruch i ryba zatrzępotła na piasku. Poczułem radość z sukcesu, bo przecież nie miałem pojęcia o takim łowieniu ryb. Polknałem ją, prawie nie gryząc.

Ryby uciekły. W tym miejscu już nic nie złapie. Ruszyłem więc dalej, ponowilem próbę - i

chyblem. Ale za trzecim razem zdobycz była dwukrotnie większa od pierwszej. Zaspokoivszy głód, usiadłem, żeby się rozejrzeć.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Na pewno byłem w lesie. Nie wiedziałem też, gdzie znajduje się Zamek. Mogłbym pójść w dół strumienia i wrócić tą samą drogą. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wtedy natknę się na Maughusa i psy. Dopóki mój kuzyn nie zrezygnuje z polowania, nie odważę się pojawić w okolicy Car Do Prawn. Ale muszę się dowiedzieć, czy to sługa Ursilli zabrał mi pas, uwieczniwszy mnie skuteczniej niż w podziemnych lochach.

Poza tym zaprzyjzaznieni z naszym klanem mieszkańcy lasu na pewno otrzymają polecenie, żeby mnie śledzić. Lamparty z rzadka widywano tak daleko na północy, ponieważ ich ojczyzna była położona na południowym zachodzie Ziemi Spustoszone. Nawet teraz mogły mnie śledzić czyjeś oczy...

Na myśl o tym znowu ukryłem się w mojej szczelinie. Nie chciałem kulic się w niej ze strachu. Lecz ostrożność często bywa skuteczną bronią. Teraz, kiedy zaspokoilem głód, mogłem w ukryciu przeczekać cały dzień i wyruszyć w nocy. Wielkie koty to nocni łowcy. W ciemnościach nie tak łatwo mnie zauważyć, zwłaszcza że tutejsze istoty nie znają lamparcich obyczajów.

Niespokojne myśli nie dawały mi zasnąć. Patrzyłem, jak dwie małe sarny przeszły przez strumień. Lampart we mnie zauważył świeże mięso, człowiek zaś ich pełen wdzięku chód i dobrze im życzył.

Człowiek we mnie...

Tego właśnie najbardziej się obawiałem, ta myśl napelniała mnie największym przerażeniem. Jeżeli nie uwolnię się od zwierzęcej postaci, jak długo przetrwa we mnie człowiek? Jeśli instynkty i pragnienia lamparta stana się z czasem coraz silniejsze, to w końcu zniknie we mnie Kethan, który pamięta swoje poprzednie życie i kontroluje zwierzęcą naturę. Pozostanie tylko kot, który będzie polował i zabijał wrogów.

Ursilla wiedziałaby... uratowałaby mnie... gdybym zdołał do niej dotrzeć. Pewnie zapłaci jakąś straszliwą cenę za uwolnienie od tego koszmaru.

Ale czy naprawdę warto ją zapłacić? Czy nie lepiej na zawsze pozostać lampartem niż ulec Ursilli i mojej matce, stracić kontrolę nad własnym losem i upodobnić się do ciągnących wozy ocieziałych koni, które spędzają życie w uprzęży, spętane i ujarzmione przez ludzi?

Podniecenie i poczucie swobody powróciło teraz, gdy już na mnie nie polowano. Stać się więźniem - nigdy! Lamparcia część mojej istoty zaprotestowała gwałtownie. Lepsza śmierć niż sieci Ursilli. A gdyby... gdybym mógł odzyskać pas... bez żadnych układow?

Samo marzenie o tym było szalenstwem. Wiedziałem, że nigdy nie dorównam Ursilli,

wykształconej Madrej Kobiecie. Jak śmiałem przypuszczać, że mogłbym pokonać ją w walce?

Madra Kobieta...

Poderwałem leb do góry i od tego nagłego ruchu zabolaly mnie wszystkie rany.

W Arvonie przecież było więcej Madrych Kobiet. Byli też inni - na przykład Glosy ze Wzgorz - którzy władali różnymi czastkami mocy. Nawet w tym lesie żyły istoty, które, choć nie nastawione życzliwie do ludzi, można podstępem lub pochlebstwami skłonić, by podzieliły się swoją wiedzą.

Była to dzika myśl, niemrawy załazek planu, którego pewnie nigdy nie zrealizuje. Myśl ta nie dawała mi spokoju.

o dziewczynie, którą spotkałem w lesie,

i Gwiezdnej Wieży

O zmroku przespalem się trochę i obudziłem się głodny. Przez jakiś czas pozostałem nad strumieniem, chcąc wypróbować swoje nowo nabyte umiejętności rybackie, tym razem jednak nie dopisało mi szczęście. Albo moje pierwsze sukcesy zawdzięczałem chwilowej łaski Fortuny, albo ryby zorientowały się, w czym rzecz, i uciekły. Sadzę, że na to ostatnie było za wcześnie. Muszę jeść, a to co jadalby człowiek (jagody, rzezucha, korzonki), nie nadaje się dla zwierza. Wyglodzony lampart zdobywał coraz większą przewagę nad człowiekiem. Chciał naprawdę zapolować. Muszę zdobyć mięso...

Biegłem właśnie brzegiem strumienia, kiedy w nozdrza wpadł mi przyjemny zapach. To było mięso! Miało kopyta i było blisko. Całkowicie zapanowały we mnie instynkty. Przestałem być człowiekiem i stałem się jedynie lampartem.

Dwoma skokami dopadłem szczytu kamiennego pagórka. Lekki wiatr przyniósł ostrą woni mojej przyszłej zdobyczy. Kocimi oczami, lepiej od ludzkich przystosowanymi do półmroku, wypatrzyłem poniżej stado dzików, które chrząkały, parskaly, weszły i ryły w ziemi. Przewodził im odyniec o straszliwych szablach. Dziki kierowały się w stronę strumienia.

Lampart zawahał się przed rzuceniem wyzwania takiemu przeciwnikowi. Dziki uważano za bardzo groźnych mieszkańców lasu i słusznie obawiali się ich nawet śmiałkowie, bez wahania zapędzający na drzewo śnieżnego kota. Odyńce miały bardzo ostre szable, a w dodatku odznaczały się zadziwiająca przebiegłością. Wiadomo, że niekiedy same urządzały zasadki na nierozsądnego myśliwego, który odważył się je tropić na ich własnym terytorium: zataczały krąg i atakowały łowcę od tyłu.

Tak, zaskoczenie będzie moją najlepszą bronią. Płynnie skradałem się wśród skał, w ciszy - te umiejętności posiadają wszystkie koty.

Młode dziki, a nawet locha wyglądały na smaczniejsze. Musiałem najpierw unieszkodliwić odynca, ponieważ dopiero wtedy zniknie największe niebezpieczeństwo. Sprezylem się do skoku.

Locha, która wraz z warchlakami i dwoma wyrosniętymi dziczkami znajdowała się nieopodal, nagle parsknęła. Odyniec rył ziemię w poszukiwaniu jakichś smakolyków.

Skoczyłem w zupełnej ciszy i przytoczyłem do ziemi cuchnące cielsko. Jedno kłapnięcie szczekami, mocny cios łapa, w który włożyłem wszystkie siły. Odyniec legł nieruchomo ze złamanym karkiem. Zginał w jednej chwili.

Na odgłos chrzakania podniosłem łeb i warknałem ostrzegawczo. Naprzeciwko mnie stała locha, potomstwo stoczyło się w tyle. Najwyraźniej była rozwścieczona.

Znow warknałem, obserwując małe, czerwone oczka. Czyżby zamierzała mnie atakować? Choć słabsza od odynca, osaczona stawała się groźnym przeciwnikiem. Pochyliłem się nad cielskim odynca, szykując się do odparcia szarży.

Warchlaki zakwiczwały przeraźliwie, a dwa roczniaki zatupały racicami w ziemię. Nie ruszyły się z miejsca, zda się czekały na rozkaz matki.

Locha nie atakowała, widocznie chciała tylko zapewnić bezpieczeństwo swoim młodym. Chrzakała tylko i ryła ziemię. Mimo że wyglądała na rozwścieczoną, nie atakowała.

Wreszcie uniosła ryj, chrzakała po raz ostatni i odwróciwszy się zaskakująco szybko, ruszyła naprzód zagarniając przed sobą warchlaki. Starsze rodzeństwo ochraniało maluchy z boków. Mogłem teraz zaciągnąć zabitego odynca na szczyt wzgórza i zaspokoić głód. Wyparłem ludzki umysł, dałem lampartowi wolną rękę.

Jeszcze jadłem, gdy usłyszałem cichy szelest. W bezpiecznej ode mnie odległości gromadziły się scierwojady, które przyciągnął zapach mojej uczy. Po moim odejściu będą kłócić się i walczyć o resztki, aż w końcu wśród skal pozostaną tylko ogryzione do czysta kości.

Najadłem się i teraz chciało mi się pic. Nie zamierzałem jednak znowu spotykać się z lochą i jej potomstwem, gdyż wtedy musiałbym stoczyć z nią walkę, a to mogłoby źle się dla mnie skończyć. Los pozwolił mi na szybkie polowanie, z którego wyszedłem bez szwanku. Lepiej nie kusić licha.

Ksieżyc wschodził powoli. Jego odbicie jeszcze nie migotało na wodzie, kiedy piliem i wylizywałem futro. Po zaspokojeniu głodu i pragnienia osłabły we mnie zwierzęce instynkty. Znowu mogłem myśleć.

Znalezienie jakiegokolwiek czarownicy lub czarownika wydawało mi się mało prawdopodobne i trudne do wykonania. Nie odważyłem się tak wcześnie wrócić w pobliże Zamku, gdzie

zapewne czyhają Maughus i jego myśliwi. A może moja matka i Ursilla zmuszą go do zarzucenia jego niecznych zamiarów? Trudno było odgadnąć, co teraz tam się dzieje. Powinienem raczej zainteresować się swoim obecnym otoczeniem.

Kiedy tak leżałem nad strumieniem, moje zmysły odbierały najrozwniejsze sygnały. Słyszałem jakieś ruchy wśród drzew, wyczuwałem zapachy. Wielkie nocne cmy unosiły się nad powierzchnią wody i pozeraly mniejsze od siebie skrzydlate stworzenia, które nadlatywały spomiedzy trzciny. Czasem jakiś uskrzydłony myśliwy zlatywał w dół, wybierając sobie spośród ciemności ofiarę. Ziemia, powietrze i woda wokół mnie aż kipiały życiem, którego nie zauważałem, gdy byłem człowiekiem.

W braku jakiegokolwiek przewodnika, postanowiłem wędrować brzegiem lesnego strumienia. Tu i owdzie dostrzegałem prowadzące do wody tropy zwierzyny. Może trafię na jakieś zwierze służące ludziom lub istotę na tyle bliską człowiekowi, bym mógł zwrócić się o pomoc. Musiałem się czepiać choćby tak nikłej nadziei.

Docierało do mnie mnóstwo zapachów, ale wszystkie były pochodzenia zwierzęcego lub roślinnego. Jeżeli nawet przemierzałem terytorium któregoś z lesnych plemion, nie powiadomiły mnie o tym moje ostrzejsze od ludzkich zmysły. W końcu zacząłem myśleć, że nie znajdzie żadnego rozumnego stworzenia, które mogłoby zrozumieć moje kłopoty.

I kiedy już prawie straciłem nadzieję, usłyszałem cichy śpiew. Nie zrodziła go szemrząca na prawo ode mnie woda. Unoszące się i opadające dźwięki przypominały mi piosenkę i jakby przyzywały.

Podniosłem wysoko głowę i wciągnąłem powietrze. Znowu poczułem ostry ból w poranionym grzbiecie. Człowiek! To był ktoś z gatunku, do którego sam należałem, zanim przeklęty pas mnie nie uwięził. A każdy człowiek, który mieszkał w lesie, musiał być w kontakcie z Moca!

Skradałem się między drzewami, a śpiew rozbrzmiewał coraz głośniej. Teraz rozróżniałem nawet słowa, ale nic dla mnie nie znaczyły. Na pewno były związane z Moca, świadczyło o tym mrowienie ciała i narastające podniecenie. Żaden człowiek nie pozostanie spokojny, gdy w pobliżu uprawia się magię.

Przyczałem się za zwalonym drzewem i wyjrzałem na polanę. Księżyc oświetlał jasno kolumnę z połyskującego jak drogocenne kamienie, rzucającego ognie kwarcu. Kolumna wydawała się żywą w jego promieniach. I rzeczywiście, coś jakby żywego wilo się i pelzało w jej wnętrzu, zmiennego jak uwięziony płomień.

Kolumna stała w gąszczu jakichś roślin, wśród srebrzystobiałych kwiatów, miniaturowych wiszących na niebie księżyców. Kwiaty rozchyłaly płatki, zdając się chłonąć jego światło, rozciągając wokół subtelny zapach, świeży jak wiosenny wiatr.

Spoza kolumny zimnego płomienia wyszła śpiewaczka. Opierała o biodro szeroki, płaski

koszyk i wkładala tam zerwane glowki kwiatow. Spiewala przy tej czynnosci.

W ksiezycowej poswiacie jej cialo bylo rownie biale i piekne jak kwiaty, wsrod ktorych krazyla. Miala na sobie tylko spodniczke z fredzli zwieszajacych sie z paska otaczajacego jej smukla kibic. Spodniczka dzwonila przy kazdym ruchu: owe fredzle skladaly sie ze srebrnych dyskow nanizanych na cienkie lancuszki.

Pomiedzy jej malymi, mlodymi piersiami zwisal polksiezyc, wyrzezbiony z tego samego plonacego kryształu co kolumna, wokol ktorej krazyla. Ciemne wlosy spiewala srebrna spinka u nasady karku. Byly tak dlugie, ze fala splywaly ponizej spodniczki.

Nigdy kogos takiego nie spotkalem, nawet wsrod lesnych ludzi. Moj lamparci nos potwierdzal, ze nieznanoma pachnie czlowiekiem, ale zadna dziewczyna z Czterech Klanow nie chodzila sama po lesie ani nie dokonywala obrzedow w blasku ksiezycy. Musiala wiec byc Madra Kobieta. Lecz tak roznila sie od Ursilli jak pierwszy brzask od zmierzchu dlugiego, upalnego dnia.

Trzykrotnie okrazyla kolumny, zrywajac glowki kwiatow, az napelnila koszyk po brzegi. Potem go uniosla i zwrocila twarz ku ksiezycowi, spiewajac glosniej. Moze dziekowala za obfity zbior.

Czy byla piekna? Nie wiedzialem, gdyz nie umialbym ocenic jej urody wedle pojec Car Do Prawn. W kazdym razie obudzilo sie we mnie cos, co za wszelka cene chcialo wyzwolic sie z wlochatego ciala. W chwili gdy na nia spojrzalem, stalem sie mezczyzna, mezczyzna, ktorego pociaga to, co jest najpiekniejsze w kobiecie.

Tak wielki wywarla na mnie wplyw, ze bez namyslu wyszedlem na zalana ksiezycem polane, zapominajac o wszystkim: o swojej postaci i wszelkich klopotach. Dziewczyna opuscila koszyk i spojrzala prosto na mnie.

Na jej twarzy odmalowalo sie zaskoczenie.

Otrzezwialem w jednej chwili. Powinienem byl dac nura w krzaki. Spiewaczka spokojnie oparlą koszyk na biodrze, wolna zas reka nakreslila w powietrzu znak, ktorym wtajemniczeni wzajemnie sie rozpoznaja lub chronia.

Linie te swiecily przez moment tak jasno jak pochodnia. Dziewczyna przemowila glosno, jakby o cos pytala. Nie zrozumialem jednak jej slow i nic nie odpowiedzialem. Najwyrazniej sie zaniepokoilą. Znowu nakreslila ow znak, jakby chcąc sie upewnic, ze sie nie pomyllila. A gdy zgasl, odezwała sie tym razem w jezyku Czterech Klanow i rownin Arvonu.

-Kim jestes, nocny wedrowcze?

Usilowalem wymowic swoje imie. Ale z piersi wyrwal mi sie tylko dziwaczny, gardlowy okrzyk.

Teraz spiewaczka wycelowała we mnie dwa palce i wymówiła jakieś inne czarodziejские słowa, przez cały czas obserwując mnie pilnie.

Spróbowałem się odezwać, lecz teraz, ku swojemu przerażeniu, nie mogłem nawet otworzyć paszczy. Rzuciła na mnie jakieś czary. Obojętnie odwróciła ode mnie spojrzenie, uznawszy widac, że nie będę już jej przeszkadzać. Odeszła na skraj polany, odstawiła na chwilę koszyk, podniosła z ziemi oponczkę i narzuciła na ramiona. W jednej chwili ze srebrzystobiałej jak księżyc stała się szarym cieniem.

Podniosła koszyk i zniknęła wśród drzew. Chciałem płakać jak człowiek, który stracił nadzieję, lub wyc jak zwierzę, któremu odebrano jego zdobycz. Ale nieznajoma rzuciła na mnie tak mocny czar, jakby uwięziła mnie w kryształowej kolumnie.

Szamotałem się ze wszystkich sił i po pewnym czasie niewidzialne pęta rozluźniły się. Choć bardzo powoli, ale mogłem się poruszać. Stopniowo wróciły mi siły. Dowlokłem się do miejsca, gdzie zniknęła mi z oczu, i odszukałem jej trop.

Początkowo ślaniałem się i obijałem o pnie, z czasem mój krok stał się pewniejszy. Musiałem jednak iść powoli, żeby nie zgubić jej śladów. Zapach był tak bardzo słaby, że odniosłem wrażenie, jakby próbowała zatrzeć swój trop.

Później jednak rozplynął się wśród mnóstwa innych woni: słodkich, drażniących, ostrych, nigdy dotąd takich nie znalazłem. Znalazłem się na skraju polany wielokrotnie większej niż ta, na której moja młodzianka Madra Kobieta rzucała swoje czary. Rozejrzałem się. To wcale nie była lesna polana, raczej dobrze utrzymany ogród.

Istotnie. Grządki roślin (całkiem innych niż te, które pomagałem zbierać z pol otaczających Zamek) rozchodziły się na wszystkie strony od podnoża Wieży. W blasku księżyca spostrzegłem, że całkowicie różniła się od budowli mojego klanu, zwykle okrągłych lub kwadratowych.

Las otaczał tu Wieżę piecioramienna jak gwiazda w tajemnej komnacie Ursilli.

Pomiędzy ramionami gwiazdy stały smukłe słupy sięgające aż do wąskich okien widocznych na drugim i trzecim piętrze. Owe słupy świeciły słabym blaskiem, który lekka mgiełka wiał się wokół Wieży. Kamienne bloki, z których ją zbudowano, miały niezwykle, zielononiebieski połysk.

Skradając się brzegiem polany, żeby obejrzeć Wieżę ze wszystkich stron, dojrzałem światło w kilku oknach. Niewątpliwie był to dom mojej Księżycowej Czarodziejki i na pewno nie mieszkała tu sama. Okrążyłem tę dziwną budowlę i znalazłem się blisko miejsca, w którym ujrzałem ją po raz pierwszy, natknąłem się na okólnik i stajnię. Na okólniku pasły się konie. W stadzie dojrzałem dwie klacze ze zrebietami u boku.

Wierzchowcemusiały wyczuć mój zapach, gdyż podniosły lby, a ogier zarżał głośno. Nie

podszedłem bliżej i przewodnik uspokoił się i tylko klusował wzdłuż plotu oddzielającego mnie od stada. Konie - o dziwo - nie wpadły w panikę jak inne w mojej obecności. Zaczęły znów się pasc, ogier zaś zatrzymał się i tylko obserwował każdy mój ruch. Nie okazywał strachu.

Wieża miała wejście od północy, małe drzwi, ledwie widoczne na tle ścian, w zalocie pomiędzy ramionami gwiazdy. Otaczała ją aura tajemniczości - tylko to słowo przyszło mi na myśl - jak gdyby mieszkańcy z wyboru mieli niewiele do czynienia z innymi ludźmi.

Na pewno dysponowali sposobami i środkami, żeby zapewnić sobie odosobnienie. My, ludzie ze Starej Rasy, wyczuwamy wszystko, co ma coś wspólnego z Cieniem. A Gwiezdnej Wieży nie otaczał odor Zła. Na zewnątrz ogrodu znalazłem miejsce pod krzakiem, skąd mogłem wygodnie obserwować drzwi. Zakolatała we mnie słaba nadzieja.

Co jakiś czas spoglądałem na widoczne z mojej kryjówki oświetlone okno i zastanawiałem się, czy tam właśnie przebywa Księżycowa Czarodziejka. Dlaczego zrywała księżycowe kwiaty? Jakie czary rzucała teraz z ich pomocą? Gdybym zdołał odpowiedzieć wtedy na jej pytanie!

Wstałem, przespacerowałem się i znów się położyłem. Była późna noc. Księżyc nie wisiał już nad moją głową, lecz na zachodniej stronie nieba. Słabe światelko w oknie zgasło. Tylko jasna mgielka wiała się wokół Gwiezdnej Wieży.

Oparłem głowę na przednich łapach. Nadleciał lekki wiaterek, niosąc z nad ogrodu zapach ziół. Był to więc ziółowy ogrod, większy niż wszystkie znane mi ogrody. Rosło tu wiele takich roślin, których nie umiałbym nazwać. Między grządkami biegły drożki wykładane wygładzonymi przez wodę kamieniami.

Niektóre rośliny już wiedły w chłodnych podmuchach zbliżającej się zimy, od której dzieliło nas około miesiąca. Inne zaś nabierały siły, jakby koniec jesieni był porą właściwą do wydania jak największych plonów.

Widziałem, jak Ursilla rzucała czary. Używała do tego ziół i korzeni, w niewielkich ilościach kupowanych od wędrownych handlarzy. W porównaniu z obfitością zgromadzona w ogrodzie używała tylko małej garstki ziół. Księżycowa Czarodziejka zbierała kwiaty... Czyżby praktykowała magię roślin, Zieloną Magię?

Osoby nie wtajemniczone mówią o Białej Magii, mając na myśli czary wykorzystywane dla dobra ludzi, i o Czarnej w służbie Wielkiego Cienia, który stale zagraża człowiekowi. Lecz wtajemniczeni w misteria twierdzą raczej, iż Magia dzieli się na wiele rodzajów i każdy ma swoją ciemną i jasną stronę.

Czerwona Magia dotyczy zdrowia fizycznego, siły, a także sztuki wojennej. Pomarańczowa ma budzić ufność we własne siły i silne pragnienia. Żółta jest Magia umysłu, wymaga użycia logiki i znajomości filozofii i najczęściej posługują się nią cudotwórcy.



Zielen jest nie tylko barwa natury i plodności, jest też barwa piękna, zwłaszcza piękna stworzonego przez człowieka. Niebieska zaś kieruje uczuciami, dotyczy kultu bogów, w których wierzą ludzie, oraz rzadzi proroctwami. Indygo natomiast - to pogoda, burze i wrozenie z gwiazd.

Purpurowa Magia jest siła, która należy czerpać ostrożnie, ponieważ zawiera zalazki zady, nienawisci, strachu i pragnienia władzy, a zbyt łatwo można jej nadużyć. Fioletowa jest czysta moca duchów i nieliczni, nawet spośród Głosów, mogą twierdzić, że ją opanowali. Tymczasem Brazowa to Magia lasów i polan, całego świata zwierząt.

Znani mi mieszkańcy lasów posługiwali się Zieloną i Brazową Magią. Ze wszystkich Magii są one najbliższe Ziemi i najtrudniej je niewłaściwie wykorzystać.

Zielona Magia tego ogrodu uspokoiła mnie; wdychałem zapachy ziół, a wraz z nimi subtelna prawota wielkiego ogrodu. Gdybym w jakiś sposób zdołał powiadomić mieszkańców Gwiazdnej Wieży o ciąży na mnie przekleństwie, może zechcieliby mi pomóc.

Z tą nadzieją zapadłem w sen. Niebo już pojaśniało na wschodzie, a szary brzask rozpraszał mgiełkę wokół Wieży, świat zaczynał się budzić. Uczępiłem się jednej myśli, jednej nadziei: że znajdzie tutaj może nawet nie przyjaciół, ale choćby kogoś, kto zrozumie... i może (tylko "może") zaproponuje mi pomoc.

O tym, co mi się sniło i co tego wynikło

Znalazłem się w jakimś odległym miejscu całkowicie obcym komuś takiemu jak ja... Takim jak ja? Z jakim gatunkiem byłem teraz spokrewniony? Uświadomiłem sobie, że mam dwie natury, bynajmniej nie współistniejące spokojnie obok siebie, ale walczące ze sobą o zwierzchnictwo. To jedna, to druga na krótko przejmowała władzę. Teraz jednak obie zawarły rozejm, gdyż obie były zagrożone. Nie wiem, skąd o tym wiedziałem. Te oddzielne osobowości splotły się i połączyły na chwilę w jedną, która była mną, Kethanem...

W tym przekraczającym ludzkie zrozumienie miejscu czułem się bezcielesnie. Jak liść niesiony przez silny wiatr, któremu nic nie może się oprzeć.

Nie patrzyłem oczami człowieka ani zwierzęcia. Raczej postrzegałem otoczenie jakimś zmysłem, którego nie potrafiłbym nazwać. Tak właśnie zorientowałem się, iż przebywam w szarym świecie, w którym nie istnieje nic materialnego, tylko same cienie. Niektóre z tych cieni miały wygląd zwierząt, inne monstrów, jeszcze inne przybrały postaci mężczyzn i kobiet. Przerazala mnie emanująca od nich aura, więc unikałem jakiegokolwiek kontaktu z nimi.

Wydawało się, że cienie mnie nie zauważyły, że nawet wzajemnie się nie zauważały. Każdy tkwił we własnym kokonie strachu i rozpacz. Mknęły czy fruwały swobodnie to tu, to tam, jakby czegoś szukały, a poszukiwania te nie miały końca.

Im dalej sie zaglebiam w ow dziwny swiat, tym wiekszej nabieraly wyrazistosci i jakby sie materializowaly. Pociemniały i zgestniały. Teraz już nie dryfowały nad ziemią, lecz biegły co sił, nagle zatrzymując się, to znow mknąc w innym kierunku. Niektóre wlokły się, jakby ich ciemne ciało było brzemieniem, od którego nie mogą się uwolnić.

Widziałem je wyraźnie, gdyż towarzyszyła mi świetlna iskierka. To właśnie ona mnie przyciągała, a pozostałe cienie zdawały się jej nie widzieć. Nie miałem wyboru i żadnej szansy ucieczki. Ludzki strach walczył we mnie ze zwierzęcym przerażeniem, jakby dwie cząstki mojej istoty znow wydały sobie wojnę. Ale to było tylko złudzenie, bo człowiek i zwierze na równi obawiali się tego, co mogła znaczyć owa iskra.

Świeciła coraz jasniej. Jej promienie rozjaśniły mrok i mogłem zapuścić wzrok w te niesamowite, szara kraina: były tam ostre jak noż turnie rozdzielone głębokimi dolinami, wypełnionymi najczarniejszymi ciemnościami. Nie wspiałem się na owe szczyty, ani nie opuściłem w doliny. Szczęśliwie dla siebie, gdyż widziałem, jak niektóre cienie zostały przez nie wchłonięte bez śladu. Prąd powietrza niosł mnie wciąż dalej i dalej. Uczępione kamieni stwory skreśliły się, wyrzucając do góry długie wici. Widmowe postacie unikały ich jak trujących roślin.

Niesamowite światło najpierw rozjarzyło się oslepiająco, a potem zaczęło pulsować. Wtedy zrozumiałem, że rozpały je słowa i że ktoś mnie wzywa. Nie mogłem uciec, gdyż byłem zakuty w czarodziejskie pęta. Niewidzialna siła ciągnęła mnie do źródła światła. Zawisłem przed nim bezsilnie, zmuszony patrzeć w jego oslepiająca głębie. Dopiero potem zauważyłem, że było to okno, okno w tkance szarego świata. Czary zmusiły mnie, żebym na nie spojrział...

Oslepiający blask był piecioramienna gwiazda, a jej kontury plonęły pomarańczowym ogniem. W środku stał ktoś, kogo w tym blasku nie mogłem rozpoznać. Dosięgły mnie jej czary. Ursilla!

Więc znow chciała mna rzadzić... Walczyłem jak oszalały. Człowiek i zwierze zjednoczyli się we wspólnym oporze. Nie miałem żadnej broni, która mogłbym przeciwstawić jej czarom. Tylko moja wola. Może wzmocniło ją to, co kryje się w każdej żywej istocie: pragnienie życia. Ono sprawia, iż nigdy nie kapituluje się przed śmiercią bez walki. Możliwe, że w owej chwili wola ta była znacznie silniejsza za przyczyną mojej podwójnej natury. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli odpowiem na wezwanie Ursilli, prawdziwy Kethan przestanie istnieć. Pozostanie tylko ta cząstka mojej istoty, która będzie jej słuchać bez szemrania.

Gwiazda stała się rozpalonym piecem, wprost mnie parzyła. Gniew Ursilli pobudzony moim uporem podsycił ogień. Byłem pewien, że w obliczu niepowodzenia sięgnie po jakąś inną broni, a miała je wszystkie pod ręką, w pogotowiu. Milczała, ale i tak wiedziałem, o co chodzi. Jeżeli teraz posłucham jej wezwania, jakaś część Kethana - ta posłuszna - przeżyje. Jeżeli zaś zmuszę ją, by użyła wszystkich sił potrzebnych do podporządkowania mnie bez

reszty, wtedy moje całkowite "ja" stanie się jedna z owych zjaw, widmowych poszukiwaczy błądzących w tej obcej ludzkiej krainie. Do mojego czasu i miejsca powróci tylko lupina, która Ursilla wypełni jakąś inną istotą, we wszystkim jej posłuszna.

Pomarańczowy ogień dominacji i władzy zmieniał się, nabierał niepokojącego odcienia. Fale odmiennej barwy wypływały z jednego z ramion gwiazdy. Pozostał już tylko skrawek o pomarańczowym zabarwieniu, reszta ogarniała niebezpieczna purpura.

Ale moja podwójna osobowość, choć przerażona i pełna obaw, nie mogła się poddać. Wiedziałem, co mnie czeka, lecz jakaś cząstka Kethana nie była w stanie posłuchać i nie chciała Ursilli pozwolić na realizację planów. Nie wiedziałem, skąd wziął się we mnie wstret do umowy, jaka mi proponowała, ale to właśnie on umacniał mnie w uporze.

A potem...

W całej złowieszczo purpurowej gwiazdzie pojawiły się ciemne plamy, jakby dziury, i już po chwili gwiazda rozpadła się na strzępy. Wraz z nią zniknęła kraina cieni. W tymże momencie spadłem do jednej z wypełnionych najczarniejszym mrokiem szczelin.

Nadal było mi gorąco, lecz już nie czułem palącego żaru purpurowej gwiazdy. Otworzyłem oczy. Było południe upalnego dnia i ognista kula słońca wisiała mi nad głową.

Przejście od jednego do drugiego świata okazało się zbyt gwałtowne. Byłem całkiem oszłomiony i powoli odzyskiwałem świadomość. Na jednej z drożek rozchodzących się od ramion Gwiazdnej Wieży, które dzieliły ten ogród zielony na sektory, zobaczyłem kobietę.

Wroczyła mi pamięć. Podniosłem głowę i zrozumiałem, że niestety nadal jestem uwięziony w ciele lamparta. Ale ktoś ocalił mnie z sidła Ursilli. Spojrzałem ze zdumieniem na nieznajomą. Z pewnością to ona umożliwiła mi ucieczkę.

Nie była to moja Księżycowa Czarodziejka, choć równie smukła jak tamta. W młodej twarzy świeciły mądrością dojrzałych lat ciemne oczy. Na sobie miała spodnie i kaftan w takim odcieniu zieleni, że zlewał się z sięgającymi jej do kolan roślinami.

Splecione w warkocze włosy okrecone były wokół głowy i tworzyły ciemnokasztanową koronę, w której połyskiwały rudawe plomyki. Cere miała ogorzałą, jakby całe dni spędzała pod gołym niebem.

Obok jej stopy, na ziemi, stał koszyk wypełniony wiązkami świeżo zerwanych ziół. Ale ja utkwilem spojrzenie w tym, co oburacz kierowała ku mnie takim gestem, jakim wojownik trzymający włócznię odgania wroga lub się przed nim broni.

To była rozdzka mocy! Od razu ją rozpoznałem, choć wcale nie przypominała rozdzki, którą Ursilla trzymała w swojej najczujniej strzeżonej skrzynce. Nie wyrzeźbiono jej w kości i nie wryto w niej tajemnych słów, nie zabarwiono run czerwienią i czernią. Rozdzka tej

kobiety wygladała jak zwykle, swiezo obdarta z kory galazka. Na zwroconym ku mnie wierzchołku tkwil jeden jaskrawo zielony listek w ksztalcie grotu wloczni.

Patrzyłem na nieznajoma, ona tez przygladala mi sie bacznie. Tak moglaby patrzec Ursilla. Ta kobieta rowniez byla Madra, lecz wyczulem, ze nie sluzы tym samym Mocom, ktorым sklada hold Ursilla.

-Kim jestes?

Nieznajoma nie opuscila rozdzki. Gdybym uczynil jakis nieprzyjazny gest, szybko przekonalbym sie, ze nie jest to zwykla, obdarta z kory galazka z listkiem na czubku.

Nie mogłem wydobyć zadnego dzwieku. Wreszcie wydałem z siebie cos w rodzaju zduszonego chrzakniecia.

Madra Kobieta przechylila lekko glowe, jakby nasluchiwala.

-Czary - powiedziala. - Silne moce, ale w zlej intencji. Poczulam w nocy, ze tu przybyles. A teraz przyciagasz sily nie pochodzace z naszego swiata. Nie mozemy na to pozwolic. Nawet cien Ciemnosci nie moze sie do nas zbliczyc. Nigdy! - Potrzasnala energicznie glowa.

Znowu zawolalem o pomoc. Jezeli ta Madra Kobieta pokrzyzowala szyki Ursilli (byłem pewny, ze to ona rozdarla swiat cieni), to moze moglaby mnie uratowac, wskazac droge ucieczki ze zwierzecego ciala.

Wyczolgałem sie powoli spod krzaka. Moze swoim ciałem zdolam wyrazic blaganie o pomoc. Wiec upokorzylem sie najbardziej jak potrafilem: na brzuchu pelzałem po ziemi.

Czubek rozdzki juz nie mierzyl w moja glowe, ale kolysal sie lekko na boki. Kreslil w powietrzu jasnego dnia symbole zielonym dymem, który szybko sie rozwiewal.

-Nie - powiedziala czarownica. - Kiedy Ciemnosc atakuje i Zlo krazy po kraju, nie otwieramy naszych bram przed czarami, od ktorych cuchnie Cieniem. Nie wiem, kim jestes, ani dlaczego az tutaj dotarles ze swymi kłopotami. Nic nie moze dla ciebie zrobic. Nie mozesz tu pozostac... nawet - zawahala sie - nawet gdyby ci sie udalo. Nie sadze, zeby ktos taki jak ty zdolal wejsc do naszej twierdzy. Jesli jednak ci sie powiedzie, wtedy zobaczymy...

Nie odmawiala juz tak stanowczo jak na poczatku. Pelzałem dalej. Lecz gdy juz stawialem lape na drozce, oslepil mnie zielonkawy blysk tryskajacy z ziemi. Jednoczesnie poczulem silny bol w lapie. Uderzylem nia w jakis niewidzialny mur obronny. Madra Kobieta powiedziala prawde, krag Zielonej Magii odtracil mnie.

Wywolany tym szok rozluznil kontrole czlowieka nad zwierzeciem. Przestalem byc Kethanem, a stalem sie lampartem, ktorego rozwscieczyla odmowa. Smagajac ziemie

ogonem, ryknalem gniewnie. Skoczyłem, uderzając znow w niewidzialną zapórę.

Wyraz twarzy czarownicy zmienił się. Podniosła rękę i jak batem smagnęła nią powietrze. Na mój poraniony grzbiet spadło bolesne uderzenie, a przecież rękę nawet mnie nie musnęła.

Zaryczałem na cały głos, a ból tylko podsycał mój gniew. Człowiek został uwieczony w jakimś zakamarku zwierzęcej czaszki. Zabij! Zabij! Słyszałem te słowa tak wyraźnie, jakby ktoś krzyknął mi je do stulonych uszu. Ryknalem i zaatakowałem zapórę oddzielającą mnie od zdobyczy.

Znow czarodziejska rękę przecięła powietrze i piekący ból przeorał mi grzbiet i boki. Nawet dominująca teraz we mnie nierozumna bestia pojęła, że dalsza walka nie ma sensu, gdyż tylko naraziła na karzące ciosy. Warknąwszy po raz ostatni, wycofałem się do lasu. Nie obejrzałem się za siebie.

Wśród drzew i krzewów człowieczy umysł odzyskał wolność i podporządkował sobie lampartę. Poczucie poniesionej klęski sprawiało mi taki sam ból jak ciosy ręki. Mój nieudany atak na Madra Kobietę na pewno zniweczył szanse porozumienia z mieszkańcami Gwiezdnej Wieży. Wierzyłem, że tylko tam mogłbym znaleźć pomoc. Tak byłem tego pewien, jak gdyby owa czarownica przysięgła mi to na jedno z Imion Mocy.

Nie obchodziło mnie, gdzie szedłem. Nie ludziłem się nadzieją, że jakiś mieszkaniec lasu zechce stać się moim przyjacielem. Byli tu tacy, którzy mogli dać mi schronienie, ale we własnym interesie. A ja muszę unikać ich tak samo jak Ursillę.

Mieszkaniec Gwiezdnej Wieży ocalił mnie przed atakiem rozszalonej wiedźmy, lecz zrobiła to tylko dlatego, że złe i obce czary w jakiś sposób zagroziły jej domowi. Nie wolno mi liczyć na podobny uśmiech losu. Ursilla niezawodnie rzuci inny czar, tak samo potężny. Zna tak wiele czarów...

Wedrując bez celu po lesie trafiłem znow na małą polankę, gdzie stała znajoma kolumna i rosły księżycowe kwiaty. W blasku słońca ich płatki były mocno stulone. Widziałem tylko szarzielone paki i kilka uschłych, martwych głów kwiatów, a we wnętrzu kolumny nie plonął ogień. Zawahałem się i zatrzymałem pod galeziami drzew otaczających zaklęte miejsce. Czy ono też jest dla mnie niedostępne? Przez moment wierzyłem, że jakaś zycząca moc mogłaby ukryć mnie przed Ursillą. Gdzie mogłbym ją znaleźć...?

Przysiadłem na łapach, jakbym szykował się do skoku. Po namyśle jednak przypadłem brzuchem do ziemi i powolutku, nieznacznie zacząłem się czolgac.

Tym razem nie poczułem upajającego zapachu kwiatów, mrowienia na grzbiecie wywołanego czarami, ani nie dostrzegłem uosobionego piękna. Wydawało się, że magia opuściła ten zakątek; wszedłem do księżycowego ogrodu, zbliżyłem się do kolumny - i nic. Nie czułem wyladowanej energii jak ostatniej nocy.

Tracilem nosem kolumnie. Była z kamienia, z martwego, zwykłego kamienia. Nie zostało tu nic, co mogłoby podtrzymać we mnie nadzieję.

Wycofałem się powoli. Musiałem wrócić nad rzekę: poczułem głód. Ale oprócz głodu dokuczala mi samotność. Przez całe życie - chociaż przebywałem wśród ludzi - zawsze byłem samotny. Teraz jednak samotność przygniotła mnie ciężkim brzemieniem. Czy nigdy nie znajdzie kogoś takiego jak ja, Kethan?

Wprawdzie byli Jeźdźcy Zwierzęcy...

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem ich odszukać. Może by mnie zaakceptowali ci, którzy przez całe życie mają dwie postacie? Lecz oni byli zmiennokształtni z urodzenia i z własnego wyboru, podczas gdy na mnie - jak ostrzegła mnie matka - ciążyło przekleństwo, które miało odgradzić mnie od świata.

Czy na tym polegał plan pani Eldris? Czy w ten sposób chciała usunąć mnie Maughusowi z drogi? Mogłem się z tym pogodzić, tak jak pogodziłem się z okrzykiem Thaney "Zabij!", gdy spojrzała na mnie ponad ramieniem swego brata trzymającego obnazony miecz. Nic mnie nie łączyło z moją narzeczoną.

Obraz Thaney takiej, jaka widziałem po raz ostatni, zniknął bez śladu. Zastąpił go inny, głęboko wryty w moją pamięć. Widziałem ją tak jak wtedy, w blasku księżyca, wyciągająca ku niebu koszyk z kwiatami. Panna Czarodziejka, Księżycowa Śpiewaczka... Lecz ona mieszkała w Gwiezdnej Wieży, a ja nie miałem tam wstępu.

W dole płynęła rzeka. Zszedłem na mieliznę wysuniętą w nurt jak palec i piliem łapczywie. Zaspokoiwszy pragnienie, przestałem snuć fantastyczne rojenia. Uświadomiłem sobie, że muszę żyć dniem dzisiejszym, a nie przeszłością czy oczekiwaniem ponurej przyszłości.

Byłem głodny. Zanurzyłem łapę w fale rzeki i oto los ofiarował mi ryby, które pożarłem z apetytem, nie zostawiając nawet kawałka ostro zakończonej pletwy. Wokół mnie tętniło zwyczajne życie zwykłego lasu. Nie wyczuwałem żadnego wroga, ani myśliwego, ani władcy mocy.

Znalazłem wystającą ukośnie z ziemi skałę, która mogła osłonić mnie przed gorącymi promieniami słońca. Położyłem się pod nią, ale bałem się zasnąć. Lekłem się powrotu do snu, który utkala Ursilla. Jeżeli Kethan się tego obawiał, to ciało lamparta nie zwracało uwagi na takie niebezpieczeństwa. Wszystkie koty małe czy duże śpią dłużej niż człowiek. Musiałem ulec zadaniom mojego nowego ciała.

Obudziłem się o zmierzchu. Przypuszczalnie to zwierzęce instynkty wyrwały mnie ze snu, tym razem na szczęście nie rojącego się od koszmarów. Kiedy podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła, wyczułem niebezpieczeństwo.

Nie mogłem go określić, ani jego rodzaju, ani kierunku. Wiedziałem tylko, że serce wali mi

jak młotem, a wargi wykrzywia bezgłosne warkniecie, naturalna reakcja lamparta. Dopiero po kilku chwilach zorientowałem się, że groźba nie pochodzi z mojego naturalnego świata, ale z innej płaszczyzny istnienia. Ursilla! Odnalazła mnie i chciała pokonać!

Rzuciłem się do ucieczki. Wyskoczyłem z mojego schronienia i pomknąłem wielkimi, kocimi susami. Naraz zorientowałem się, że chyba chodzi o coś innego... Na otwartej przestrzeni zauważyłem inne, też uciekające zwierzęta.

Nie zwracając uwagi na mnie - naturalnego wroga - biegły z tyłu dwie małe lesne sarny, dogoniły mnie i odskoczyły, błyskając ze strachu białkami. Za nimi pedzily ocieziały trzy wilki, które ludzie z Czterech Klanów widują tak rzadko, że stały się prawie legenda. Z krzaków i wysokiej trawy, która w tym miejscu porastała brzegi rzeki, dobiegał szelest i rumor robiony przez mniejsze zwierzęta, podczas ucieczki tylko migające wlochatymi zadkami.

Nagle odkryłem ze zdumieniem, że na mnie nikt nie poluje. Zawahałem się w biegu. Może to nie jest jednak gierka Ursilli? Ale kiedy spróbowałem się zatrzymać, zalała mnie fala strachu. I to wyłącznie zwierzęcy strach mna kierował, gdy tak pedziłem na oslep obok innych uciekinierów.

Wiedziałem, że czasami urządzano polowania na otwartej przestrzeni. Naganiacze straszili wtedy zwierzyne i oszalała ze strachu pedzili w stronę czekających myśliwych. Ten obecny atak trochę mi przypominał takie polowanie. Nie usłyszałem jednak głosu rogów czy walenia w kotły. Zresztą nie uciekałbym wtedy na złamanie karku.

Polowano na nas, lecz psem, który nas scigał, był stwor służyący Ciemności. Jego emanacja wystarczyła, żebyśmy wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki. Kiedy to sobie wyjaśniłem, uspokoiłem się nieco i zdołałem, choć w małym stopniu, zapanować nad strachem.

Nie tyle zacząłem zwalniać bieg - bo wkrótce przekonałem się, że to było niemożliwe - ile skrecać na prawo. Zauważyłem bowiem dziwną rzecz: uciekające zwierzęta biegły jedną ścieżką - jak gdyby musiały trzymać się wyznaczonej z góry drogi.

Biegłem coraz bardziej na prawo, aż dotarłem do miejsca, które uznałem za brzeg owej drogi. Sprezylem się do jednego długiego skoku... Nie do przodu, lecz w bok...

Moje ciało wygięło się łukiem w powietrzu. A potem...

Straciłem panowanie nad swoimi mięśniami. Znow ogarnęła mnie panika, która wypełniła cały mój umysł, wyparła żen rozum, a pozostawiła tylko zwierzęcy strach. Za sekunde rozbije się o ziemię...

Coś zacisnęło się wokół mnie! Rzuciłem się do przodu, skreśliłem i przekonałem się, że wpadłem w sieć. Omotały mnie lepkie liny.

O śnieżnym kocie i o tym, co się wydarzyło

w starożytnej ruinie

Moja szarpanina na nic się nie zdawała, gdyż sieć zaciskała się coraz mocniej. A tam, gdzie dotykała moich ran, czułem palący ból tak straszny, że aż zaryczałem z bólu i przerażenia. Zostałem więc uwieczony w jakiejś sieci. Usiłując myśleć spokojnie i zapanować nad bezmyślnym strachem, zauważyłem pewne podobieństwo miejscami poszarpanej przeze mnie sieci do małych pajęczyn, które znaleźć można każdego poranka w ogrodzie i na polu. Są podobne do delikatnych koronek, a ozdobione kropelkami rosy.

Jakie stworzenie potrafiło utkwić sieć tak dużą, że nie mogłem się z niej uwolnić szamocząc się ze wszystkich sił lampart? Ta myśl mnie zmroziła. W miarę jak umysł Kethana odzyskiwał kontrolę, przestałem się szarpać.

Nikt z nas nigdy się nie zapuszczał ani do tego lasu, ani na rozciągające się za nim wzgorza. Nasza wiedza o tej krainie ograniczała się do garści wrażeń z drugiej ręki i nie sprawdzonych opowieści. Większość wierzyła, że można tam spotkać mnóstwo dziwnych stworzeń. I tylko nieliczne z nich powitałyby u siebie ludzi z Czterech Klanów. No, chyba że jako zdobycz!

Walcząc z siecią przyczepiłem się jakos niechcący do wysokiej skały. Zauważyłem na jej powierzchni płaskorzeźby tak stare i zniszczone przez czas, że nie dawała się określić żadna prawidłowość ich konturów.

Drugi taki kamienny słup wznosił się o parę stop od pierwszego, a sieć rozciągała się między nimi. Szarpiąc się rozerwałem część sznurów, które pozlepiały się ze sobą w pasma i uwieczili mnie bliżej jednej, z podpor. Sznury wyglądały na bardzo cienkie i delikatne, ale poznałem już ich wytrzymałość.

Przyglądając się uważnie pulapce, wyczułem jeszcze coś. Podobnie jak od razu wiedziałem, że we wnętrzu Gwiezdnej Wieży nie kryje się zło i że może stać się schronieniem przed slugami Cienia, tak tutaj rozpoznałem wręcz odwrotną sytuację. Z kamiennego słupa, do którego byłem przywiązany, dotarła do mnie fala zimna, śmiertelnego mrozu, zdolnego zmienić umysł i serce człowieka w bryły lodu. Poczulem, jak zalewa mnie ohyda, ukryte w zimnie zło. Odniosłem wrażenie, że pograzam się w jakimś potwornym bagnie.

Początkowo zło wydawało się bezcielesne, było jak chmura, bez kształtu ani osobowości. Lecz im dłużej mnie lizalo, tym silniej uswiadamialem sobie, że w jakiś sposób jest namacalne. I że będę musiał stawić czoło temu czemuś - stworowi? - i to niezadługo.

Wstrzaszały mnie dreszcze, których nie mogłem kontrolować. Futro nie chroniło mnie przed lodowatymi wyziewami slugi Zła, który schwytał mnie w pulapkę. Nie mogłem nic zrobić, tylko bezsilnie zwisając w petach czekać, aż przyjdzie...



Jakis ruch!

Spróbowałem obrócić choć głowę, żeby lepiej dojrzec to, co dostrzegłem tylko przelotnie kątem oka, a co wzbudziło moje obawy. Z trudem, ale mi się udało.

Za kamiennymi słupami zauważyłem rumowisko skalne. Nie... to nie były skały. Mimo wywołanych erozją zniszczeń, miały zbyt regularne kształty. Kiedyś musiał tam stać jakiś budynek, a rzeźbione filary strzegły wejścia.

Starożytne bloki runęły na ziemię, tworząc wysoka pryzmę. Szpary wypełniła biaława ziemia, ale nie porosła ani jednym źdźbłem trawy. W istocie na dość dużym obszarze wokół starożytnej ruiny nic nie rosło. A w środku sterty kamieni ziała ciemna jama.

Cos się tam poruszyło. Wreszcie odnalazłem źródło zła. To tam gnieździł się stwor, który utkał niesamowitą sieć. Przyglądał mi się. Odniosłem wrażenie, że z zadowoleniem, i poraziło mnie to jak grom. Byłem zdobycza!

Z jamy wynurzyła się w rytmicznych drgawkach łapa podzielona na coś w rodzaju segmentów. Na jej końcu tkwił pazur tak wielki, że mogłoby rozerwać mi gardło. I chociaż owa kończyna pokrywał pancerz podobny do owadziego, pomiędzy segmentów sterczały peki sztywnych, białoszarych klaków.

Pazur zacisnął się na jednym z lepkich sznurow przymocowanych do kamiennego słupa i potrząsnął nim energicznie. Próbowałem się jakos przeciwstawić narastającemu uciskowi sznurow. Taki właśnie mój ruch zapewne poinformował stwor, że w jego sieć wpadło żywe stworzenie. Noga i pazur natychmiast się cofnęły. Dobrze wiedziałem, że nie na długo. Od niewygodnej pozycji rozbolą mnie szyja, ale nie wolno mi było odwracać się od wroga.

Kiedy tak wpatrywałem się w otwór jamy, zauważyłem w niej prawie niewidoczne małe, żółtawe punkciki. Naliczyłem ich osiem w dwóch rzędach. Oczy! Przyglądały mi się i śledziły każde moje poruszenie.

Odgłosy uciekających w poplochu zwierząt ucichły w oddali. Przez chwilę zawisłem w grobowej ciszy czekając... Potem z jamy ponownie wysunęła się ta potworna łapa, po niej druga! W głębi widziałem tylko oczy, gdyż ciało potwora nadal ukryte było w jego legowisku.

Wydawało mi się, że zaryczałem na cały głos. Lecz to było złudzenie: żaden gniewny dźwięk nie wydobył mi się z piersi. Nagle pojawiło się jakieś zwierze, które skoczyło na szczyt stosu kamiennych bloków. Straszne kończyny natychmiast schowały się w dziurze.

Śnieżny kot! Nigdy jeszcze nie spotkałem tego ogromnego drapieżnika. Wściekle warczał, jego zielone oczy ciskały błyskawice, a ogon smagał boki. Utkwił we mnie wzrok i ryknął.

Dobrze znałem reputację gigantycznych gorskich kotów. Zazdrośnie strzegły swoich

terytoriów łowieckich, często staczając o nie walki na śmierć i życie. Poza okresem rui nie utrzymywały żadnych kontaktów ze swoimi pobratymcami, samotne, aroganckie i dumne.

Snieżny kot uznałby za intruza każdego lamparta, który osmieliłby się wtargnąć na jego teren. Ale ja byłem już zdobywcą kryjącego się w jamie stworza i w niczym nie mogłem zagrozić przybyszowi. Więc dlaczego chciał mnie zaatakować?

Snieżny kot był samcem, jak osadziłem, u szczytu sił. W innych okolicznościach uznałbym, że wygląda wręcz wspaniale. Może szybka śmierć, jaka mi zada, będzie lepsza od tego, co zaplanował dla mnie kryjący się w jamie potwór. Tylko że nikt nie wita śmierci z radością.

A później...

Znow miauknąłem przeraźliwie. Nie z bólu, lecz ze strachu, który poraził mnie bardziej niż rozdzierające ciało pazury. W moim umyśle odezwał się jakiś głos!

Wiadomo, że czarownicy i czarownice mogą się w ten sposób porozumiewać między sobą. Lecz do tego trzeba mieć odpowiednie wykształcenie i pewne konieczne zabezpieczenia, żeby kontrolować i złagodzić każdą taką inwazję. Żaden normalny człowiek nie ma takiego talentu, a zresztą nie chciałby pewnie nawet o czymś takim myśleć.

-Nie ruszaj się!

Czy to ostrzegł mnie nieznany potwór? Czy może śnieżny kot? Czyżby ludzie nie wiedzieli, że te wielkie koty umieją w ten sposób komunikować się między sobą?

-Nie ruszaj się! - Ktoś znow powtórzył rozkaz. Snieżny kot! To na pewno był śnieżny kot!

Leżąc teraz na brzuchu na jednym z głazów, centymetr po centymetrze pełził w stronę położonego nieco niżej bloku, który spoczywał bezpośrednio nad ciemną jamą. Doszedł go wreszcie i kamień lekko się poruszył. Snieżny kot szybko cofnął łapę. Pochylił głowę, obwąchując dolną krawędź głazu. A może tylko się z bliska przyglądał, jak był osadzony?

Nie wiem, co tam zauważył. W każdym razie szykował się teraz do skoku. Muskulary grały mu pod skórą, a czarny koniuszek srebrzystobiałego ogona poruszał się wymownie. Skoczył, całym ciężarem opadając na podejrzany głaz. Ten z łoskotem runął w dół zamykając wejście do nory potwora. Snieżny kot, który spychając głaz ledwie go musnął, przekreślił się w powietrzu i spadł na ziemię.

Zaczął przednią łapą o jedną z lepkich lin ogromnej sieci. Nie szamotał się tak jak ja. Bardzo ostrożnie i powoli cofnął łapę naciągając przyklejony sznur. Potem postawił ją na ziemi i jął delikatnie pocierać o piasek otaczający ruiny.

Podczas gdy moja szalencza szarpanina sprawiała, że wieży tylko mocniej się zaciskały, jego delikatne obchodzenie się z nimi rozerwało je i obłuzowało. Chciałem go nasładować,

ale na to byłem zbyt mocno skrepowany.

-Nie ruszaj się! - Wielki kot chodził tam i z powrotem tuż przed platanina porwanej sieci, uważnie oglądając moje lepkie pęta. Potem odwrócił się i zniknął jak srebrna błyskawica.

Zostałem sam. Śnieżny kot pod jednym względem poprawił mój los: przywalił głazem jamę potwora i nie sięgały już po mnie straszne łapy. Ale co zyskałem? Zamiast szybkiej zagłady czekała mnie teraz powolna śmierć z głodu i pragnienia albo z przerażenia, gdyby znaleźli mnie padlinozercy. Musiałem się z tym pogodzić.

Moje przednie łapy były gesto i ciasno omotane. Poraniony grzbiet i boki, na które opadła lepka sieć, już mnie nie bolały, ale zad i tylne łapy miałem zupełnie zdrtewiałe. Śnieżny kot znowu pojawił się przede mną. Trzymał w pysku rozszczępioną gałąź. Zapewne odgryzł ją sam. Zmiżdżone liście wydawały ostry, drażniący zapach, aż tak przykry, że oczy zaszyły mi łzami i zacząłem kaszleć.

Położył gałąź pilnie bacząc, żeby liście nie dotknęły przypadkiem jego skóry. Zbliżył się do mnie i uważnie przyjrzał się spletanym linom.

-Niebezpieczeństwo... - Zabrzmiła mi w mózgu jego myśl. - Jest tylko jeden sposób. Nie ruszaj się!

Z wyraźnym wysiłkiem podniósł gałąź z ziemi i ostrożnie, by mnie nie dotknęła, położył w poprzek sieci. Z lepkich lin buchnął kłęb pary.

Tam, gdzie ociekające sokiem liście dotknęły pozostałości gigantycznej pajeczyny, sznury schły i czerniały, wydając obrzydliwy smród. Krepujące mnie liny usychały, jakby coś je wypalało. Wreszcie odpadły z mojego ciała czarnymi strzepami. Osunąłem się na ziemię.

Byłem wolny i tylko to się liczyło. Odskokczyłem od kamiennego słupa. A raczej spróbowałem odskoczyć, gdyż z trudem mogłem się poruszać. Tylne łapy nadal miałem sparalizowane. Zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby śnieżny kot nie podparł mnie barkiem. Tylko dzięki jego sile utrzymałem się na nogach.

Mój domysł był słuszny: to nie był prawdziwy kot. Kiedy powoli oddalaliśmy się od siedziby sługi Zła, nie wyczułem w nim skazy Ciemności. Czy był to zmiennokształtny? Czyżbym naprawdę znalazł kogoś takiego?

Kiedy mój towarzysz podpierając mnie, wyprowadził na drogę, która niedawno uciekały spłoszone zwierzęta, przekonałem się, że tamten mój strach znikł. Nie wierzę, że to potwór ukryty w ruinach wywołał panikę w mieszkańcach lasu. Byłem pewny, że spowodował to jakiś szukający ofiary pies Ciemności.

Śnieżny kot zaprowadził mnie nad rzekę. Moje tylne łapy powoli odzyskiwały sprawność, ale za to znowu zaczęły mi dokuczać rany na grzbiecie. Przy każdym kroku ból coraz

mocniej zatapiał we mnie szpony, aż wreszcie stał się tak straszny, że szedłem półprzytomny, prawie nic nie widząc.

Nie wiem, dlaczego nie osunąłem się na ziemię. Czulem tylko, że tak jak przedtem kierowała mną wola jakiegoś sługi Ciemności, tak teraz utrzymywała mnie na nogach determinacja śnieżnego kota. Nie odezwał się już do mnie w myśli, ale emanowała od niego wzmacniająca mnie siła.

Na widok rzeki zatrzymał się, unosił głowę i zaczął weszyc. Otaczały nas skały pełne rozpadlin i szczelin. Wepchnął mnie w pierwszą lepszą. Wpełzłem powoli, tak wyczerpany, że każde podniesienie i opuszczenie łapy wydawało mi się ostatnim moim wysiłkiem.

Skuliłem się spragniony, marzący o wodzie, której szmer słyszałem w mojej kryjówce, ale do której nie mogłem dotrzeć. Śnieżny kot zagrażał wejściu. Zdawało mi się, że na coś czeka. Wyczulem drżenie ziemi i poprzez oszłomienie bólem usłyszałem tetent konskich kopyt. Ludzie? Myśliwi z Zamku? Jeśli zobaczą śnieżnego kota, to niewątpliwie nań zapolują. Trafia im się dwa łupy zamiast jednego! Muszę go ostrzec... Nie umiem porozumiewać się za pomocą myśli, mogłem tylko cicho warknąć.

-Nie ci, których się obawiasz. - Nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć, ale usłyszałem go wyraźnie. - Badz cicho.

Zobaczyłem teraz jeźdźcę... Był sam. Miał na sobie kolczugę, a na głowie ozdobny hełm z osadzonym na szczycie orłem naturalnej wielkości z uniesionymi skrzydłami, jakby zrywał się do lotu. Jego kon nie przypominał z wyglądu naszych wierzchowców, lecz najwyraźniej należał do tej samej odmiany, którą widziałem na pastwisku pod Gwiezdną Wieżą, z plamista sierścią i wyższymi niż zwykle nogami.

Kiedy jeździec ujrzał śnieżnego kota, nie sięgnął po miecz. Podniósł rękę w luskowej rekawicy, jakby witał kogoś znajomego. Kot zbliżył się do niego i wskoczył na sterczącą obok skałę. Jego łeb znalazł się prawie na tym samym poziomie, co głowa jeźdźcy.

Twarzy jeźdźcy nie widziałem wyraźnie spod hełmu. Nie słyszałem też toczącej się rozmowy, prowadzili ją widac w sobie tylko znany sposób.

Nie widziałem na ciele kota żadnego pasa. Jeżeli należał do zmiennokształtnych, to może nie potrzebował takiego klucza do zmiany postaci. Czy wywodził się z Jeźdźców Zwierząt? Ich terytorium ponoc miało leżeć na południowy wschód od ziem naszego klanu, ale to oczywiście nie przeszkodziłoby im poruszać się wszędzie, gdzie zechcą.

Wreszcie jeździec unosił rękę w pożegnalnym geście. Zawrócił i odjechał tam, skąd przybył. Czyżby przywiózł jakieś posłanie?

Śnieżny kot nie spoglądając nawet za nim zawrócił w miejscu i zbliżył się do mnie.

-Musimy sie pospieszyc. Sily Ciemnosci atakuja! - uslyszalem w mysli rozkaz.

Czlowiek we mnie zareagowal na jego slowa. Zdolalem stanac na nogach, lecz moje lamparcie cialo bylo prawie u kresu sil. Jakos zdolalem dowlec sie do rzeki. Wszedlem do wody, napilem sie i bezsilnie przygladalem, jak woda sie podnosi i zlepia mi futro. Jedynie dzieki pomocy mojego towarzysza przebrnałem przez slaby prad i dostalem sie na drugi brzeg.

Tam osunalem sie na ziemie z wyczerpania. Kot trafil mnie nosem, starajac sie mnie podniesc. Bez skutku. Ponownie rozlegl sie tetent kopyt. Sniezny kot pozostawil mnie i skierowal sie w strone lasu. Nie wiedzialem, czy to wracal jezdziec w orlim helmie, czy tez zblizal sie jakis myśliwy, i moj towarzysz, zrobiwszy dla mnie co mogle, przezornie sie wycofal?

W owej chwili wszystko bylo mi obojetne. Bylem zbyt zmeczony. Z apatia spogladałem przed siebie, nie probujac nawet podniesc glowy. Kot zatrzymal sie przy pierwszym drzewie i znow czekal.

Z lasu wynurzyl sie jakis jezdziec prowadzacy za wodze konia z pustym siodlem. To byla Ksiezycowa Czarodziejka, lecz tym razem miala na sobie spodnie, buty, koszule i kaftan w kryjacych zielonobrazowych kolorach. Wyraznie ja zobaczylem dopiero wtedy, gdy wyjechala na otwarta przestrzen.

Sniezny kot stanal na tylnych lapach i oparl przednie na jej siodle. Kon nie okazywal najmniejszego strachu i stal spokojnie. Dziewczyna nachylila sie lekko ku memu towarzyszowi i spojrzeli sobie w oczy. Skinela glowa.

Wyjela zza pazuchy jakis niewielki przedmiot. Trzymajac go jak bron w wysunietej do przodu rece, podjechala do mnie, a kot biegł za nia. Zeskoczyla z lekkiego siodla, puscivszy luzem wodze, a jej wierzchowiec stanal w miejscu jak wryty. W jej reku kolysala sie zawieszona na lancuszkach kryształowa kula. W srodku kuli zobaczylem galazke jakiejś rosliny, zielona i swiecaca.

Ksiezycowa Czarodziejka zarzucila mi lancuszek na szyje w chwili, gdy z trudem podnosilem glowe na jej powitanie. Kula z

galazka zawisla na mojej szyi. I oto...

Stalem sie czlowiekiem!

Moja siersc gdzies zniknela. Wrocilem! A przeciez nie odzyskalem czarodziejskiego pasa.

Szok tej gwałtownej przemiany byl tak wielki, ze zakrecilo mi sie w glowie. Poczulem na sobie dotkniecie czyjejs dloni, zdalem sobie sprawe, ze mnie podniesiono i przerzucono przez siodlo.

Ktos wsiadl na konia. Czujac dotyk na poranionych plecach o malo nie zawylem z meki. Zaparlo mi dech z bolu, ktory sprawial mi kazdy konski krok. Zajal sie mna jakis mezczyzna, ktory nie wiadomo skad sie wzial.

Jak przez mgle zobaczylem pochylona nad soba ogorzala, szczupla twarz i rosnace stozkowato nad czolem ciemne wlosy. Bylo to oblicze czlowieka skrytego, ktory nie ujawnia swoich mysli. Podobnie jak kobiete z Gwiezdnej Wiezy, tego mezczyzne tez moglbym uznac za mlodziencza. Tylko jego zielone jak u kota oczy byly stare - stare i zmeczone. Utkwil we mnie wzrok. Nic w mysli nie mowil, ale w jakis sposob dodal mi sil, przeniosl mnie w ciemnosc, gdzie nie bylo bolu i czas sie nie liczył.

Jednak niecalkowicie uleglem woli nieznajomego. Jakby z wielkiej odleglosci wyczuwalem, ze jedziemy przez las. Mialem przekonanie, ze nie zyczy mi zle. Zdalem sobie sprawe, ze nie powinienem sie teraz tym przejmowac - powinienem odzyskac sily i wole. Nie opuszczalo mnie zdumienie nad cudem, ktorego dokonala Ksiezykowa Panna: znow bylem czlowiekiem. Czulem cieplo rozprzestrzeniajace sie od kuli, ktora zawiesila mi na szyi.

Jesli chce pozostac w ludzkiej postaci, nie moze utracic tego talizmanu.

O mieszkancach Gwiezdnej Wiezy i o tym,

jak wybralem niebezpieczenstwo

Lezałem na brzuchu ze zwrócona w bok głowa; przed sobą widziałem tylko sciane z kamiennych blokow. Na moich plecach spoczywalo cos chlodnego, kojacego bol, wyciagajacego z ran goraczke, ktora tkwila w nabrzmiyalych sladach po wiezach od chwili, gdy wydostalem sie z sieci nieznanego potwora.

Uslyszalem za soba glosy, tym razem prawdziwe, a nie tamte, rozbrzmiewajace, w glebi umyslu.-Moly\* [\*Moly (ang.) - dziki czosnek (przyp. tłum.)] wkrótce straci swa moc. Co wtedy, panie? To byl kobiecy glos, juz mi wczesniej znany. Brzmialo w nim wyzwanie.

-Musimy dowiedziec sie, kim jest i skad przybyl. Nie wierze, ze z Szarych Wiez. Ale czy w Arvonie jest inne plemie zmiennokształtnych? Nie sluzyci Ciemnosci. Jezeli ocknie sie przed zmiana postaci, moze sam to powie...

Czy mowil to mezczyzna, ktory trzymal mnie przed soba na siodle, kiedy odjezdzalismy znad rzeki? I gdzie sie znajdowalem? Kim byli ludzie, ktorzy mna sie zajeli? Rozbudzilem sie calkowicie, czujac palaca ciekawosc.

Unioslem sie lekko i odwrocilem glowe, chcac oboje zobaczyc.

Tak, to byl mezczyzna, ktory mnie uratowal. Niestety, nie towarzyszyla mu Ksiezycowa Czarodziejka, jak mialem nadzieje.



Stala tam kobieta, ktora przepedzila mnie z ogrodu. Dlaczego teraz nie tylko dala mi schronienie, ale rowniez opatrzyła moje rany? Musialem przebywac we wnetrzu Gwiezdnej Wiezy; swiadczyly o tym dziwnie wygięte sciany komnaty, ktora prawdopodobnie miescila sie w jednym z ramion gwiazdy.

-Kim jestescie wy, ktorzy udzieliliscie mi schronienia? - zapytalem, gdy zadne z nich sie nie odezwalo.

Kobieta dotknela mojego czola chlodnymi palcami. Od jej reki wional slaby zapach roslin, jak gdyby przed chwila wrocila z ogrodu.

-Goraczka opadla - powiedziala. Zdjela okrycie z moich plecow i poczulem chlod powietrza na ramionach i biodrach. Dotknela miejsc przy ranach, ktore zadal mi sokol. - Dobrze sie goi, trucizna sie cofa. Pytasz, kim jestesmy? - Stanela tak, ze mialem ja przed oczami. - Trzymamy sie z dala od innych, nikogo o nic nie prosimy i chcemy tylko, zeby pozostawiono nas w spokoju.

Na jej twarzy nie bylo zyczliwosci, ale nie bylo tez wrogosci. Zdawala sie teraz czekac na jakis moj gest lub slowo, zeby osadzić, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem. Lecz mimo tej jej powsciagliwosci wiedzialem, ze nigdy nie nazwe jej nieprzyjaciolka, poniewaz miala w sobie cos, co wskazywalo, ze brzydila sie Ciemnoscia pod kazda postacia.

-A kim ty jestes? - zapytal mezczyzna. Podeszedl i stanal obok nieznajomej.

-Jestem... to znaczy... bylem Kethanem, dziedzicem Car Do Prawn z Klanu Czerwonych Plaszczy. Kim jestem teraz, nie

mam pojecia.

Byłem pewny, że na mgnienie zmieniła mu się twarz, kiedy to mowilem. Przemknęła mi myśl, że to myśliwi Maughusa rozniesli wszędzie wieść o mojej ucieczce, aż dotarła do tego spokojnego miejsca. Jednak trudno mi było zaakceptować fakt, że ktoreś z tych dwojga uległo naciskom kogoś takiego jak Maughus.

Otaczała ich bowiem, jak płaszcz w chłodnych miesiącach roku, nieuchwytna aura mocy. Wyczuwałem, że podobnie jak Ursilla widzieli i robili rzeczy niemożliwe dla zwykłych ludzi.

-Car Do Prawn... - powtórzył z namysłem mężczyzna. - Rządzi tam pan Erach, ale jeśli jesteś jego następcą... - Spojrzał na mnie pytająco.

-Jestem synem jego siostry, pani Heroise.

-To czysto ludzka rodzina - ciągnął nieznajomy. - Jak więc doszło do tego, że zmieniłeś postać? Czy rzucono na ciebie czary?

-Z powodu mojej głupoty, jak powiedzialaby Ursilla i moja matka, za pomocą pasa...

-Niech później opowie swoją historię - przerwała mi kobieta. - Myślę, że powinien teraz wypić lekarstwo. Musi nabrać sił albo moly przestanie działać wcześniej.

Nie rozumiałem, co miała na myśli. Lecz gdy mężczyzna pomógł mi usiąść, a kobieta przyniosła kubek z jakimś dymiącym i gorzkim napojem, posłusznie wypilem go duszkiem. Kiedy pilem, ktoś wszedł do komnaty.

Moja Ksiezycowa Czarodziejka! Wciaz miala na sobie stroj do konnej jazdy, w ktorym widzialem ja nad rzeka. Za nia szly dwa plowe zwierzaki, w ktorych rozpoznałem jeszcze nie wyrosniete zbiki. Zdumialo mnie, ze ktos zdolal je oswoic, poniewaz znane sa ze swej dzikosci. Te tutaj ocieraly sie o jej nogi i przeszkadzaly w chodzeniu, az wreszcie wziala smielszego na rece i trzymajac w zgieciu ramienia, podrapala za uszami.

-W powietrzu lata pstrokaty sokol - powiedziala. - Cztery razy okrazyl grod. Nie sadze, zeby polowal. Przypuszczam, ze raczej obserwuje.

-Wiec to tak... - Kobieta skinela glowa, a potem spojrzala na mnie i zapytala: - Rany, ktore masz na plecach, zostaly zadane sokolimi szponami. Jakich masz wrogow?

-Tylko jednego, wladczyni mocy, Madra Kobieta imieniem Ursilla - wymamrotalem. Ksiezycowa Panna tak byla pochlonieta swoimi myslami, ze na mnie nawet nie popatrzyla. Dopiero po chwili zwrocila na mnie wzrok. We mnie zas zaczela dzialac jakas inna magia, nie majaca nic wspolnego z moca.

Po raz pierwszy zobaczylem ja w majestacie przyodzianej w moc czarownicy, rozmawiajacej z silami znacznie potezniejszymi od najwiekszych sposrod nas. Pozniej spogladałem na nia zamglonymi goraczka oczami nad bezimienna rzeka. Widzialem ja tylko trzy razy - a wydawalo mi sie, ze znam ja przez cale zycie. Kto wie, moze wyczuwalem, ze jest ktos taki na swiecie, i podswiadomie jej szukalem? Ona jednak patrzyła na mnie obojetnie. Kociak, ktorego glaskala, pewnie wiecej dla niej znaczył.

-Ta Madra Kobieta Ursilla... Czy ona mieszka w Car Do Prawn? - zapytał mężczyzna.

-Tak. Odkąd moja matka wrocila z Garth Howel... - Zawahalem sie. Nie chcialem wyjawic w obecności Ksiezycowej Panny, ze tylko w niewielkim stopniu bylem panem mojego losu. Wiedzialem jednak, ze tej trojce musze powiedziec cala prawde.

-Ursilla nie do konca jest moja nieprzyjaciolka. Chcialaby, zebym byl jej posluszny. Dlatego jej sluga, a jestem pewny, ze to byl jej sokol, zabral pas. Moze teraz znow mnie szuka.

-Opowiedz mi cos wiecej o tym pasie - rozkazal mężczyzna, a w jego glosie dzwieczaly te same stalowe nutki, co u Pergvina, kiedy uczyl mnie szermierki.

I opowiedzialem mu wszystko, o otrzymaniu pasa w darze i o przemianie, jakiej dokonalem, o tym, jak Maughus to wykorzystal, jak wypedzil mnie z Zamku i wreszcie o ataku sokola.

-Przypuszczasz zatem, ze bez pasa nie zdołasz odzyskac ludzkiej postaci? - zapytal, gdy skonczylem.

-Myslalem, ze nie, az do tej chwili. Ale co zrobilas, pani - odwazylem sie zwrocic bezposrednio do dziewczyny - ze znow stalem sie czlowiekiem?

Spojrzala wymownie, a ja opuscilem oczy na wieszaca mi na piersi kryształowa kule z zielona galazka, ktora wydala mi sie teraz lekko przywiedla.

-To moly - odrzekla Ksiezycowa Czarodziejka. - Ziele, ktore

niweczy każdy czar, ale tylko na czas swojej świeżości. Lecz kiedy zwiednie - wzruszyła ramionami - znow zamienisz się w lampart, chyba że się dowiesz, jak masz się obronić.

Odniosłem wrażenie, że spogląda na mnie z lekką pogardą, jakby uważała mnie za tak głupiego, że nie warto się mną zajmować. Uczucie, jakie do niej żywiłem, ochłodziło nieco i zmieszało się z gniewem. Kim była, żeby mnie tak osadzać?

Nieznajomy mężczyzna odwrócił od niej oczy i rozkazał:

-Wyciągnij rękę!

Wyciągnąłem, a on położył swoją dłoń pod moją i podniósł ją ku oczom. Uważnie przyjrzał się liniom, które spotykały się i krzyżowały na mej ręce. I oto znow zobaczyłem, jak zmienił się na twarzy.

-To nie pas spowodował twoją przemianę - powiedział otwarcie. - Stał się tylko kluczem, który otworzył drzwi. Niestety, ponieważ jest kluczem, słusznie przypuszczasz, że owa Madra Kobieta może posłużyć się nim, by cię kontrolować. A gdyby ponadto pas został zniszczony... - zawahał się.

-Będzie tylko lampartem? - zapytałem.

-W obecnym stanie rzeczy, tak - przyznał.

-Jeśli zaś Maughus zdobędzie lamparci pas, właśnie to będzie chciał zrobić. Zniszczyć go! - Nagle wróciły mi siły. Chciałem zeskoczyć z posłania, bezzwłocznie wrócić do Zamku. Gdybym stawiał mu czoło jako człowiek, mogłbym wyzwac go na pojedynek

i... Ale co Ksiezycowa Panna powiedziala o moly? Przyjrzałem się kryształowej kuli. Widac było, jak w srodku schnie galazka.

-Czy moglbym dostac inna? - unioslem kule i zapytałem trojke stojaca obok mnie.

-Ten czar dziala tylko raz dla tej samej osoby. - Kobieta pokrecila glowa.

-A tymczasem... - Dziewczyna mowiac to nadal glaskala trzymanego na rekach zbika. Drugi wspial sie do jej kolan i drapal spodnie. - Sokol krazy w gorze. W ten sposob ktos moze sie dowiedziec, kim sa mieszkancy...

-Nie, jeszcze... nie - zaprzeczyla kobieta. - Rzucilam czar...

-Nie dziala - odparla dziewczyna kategorycznie, zaskakujac tym starszych towarzyszy.

Kobieta wybiegla z pokoju, a dziewczyna za nia. Spojrzałem pytajaco na mezczyzne, ktory wpatrywাল sie we mnie.

-A wiec jest to czarodziejska wiez - powiedzial powoli.

-Co przez to rozumiesz?

-Wlasnie to - jestes przywiazany do tego pasa. A ow pas znajduje sie daleko stad, w rekach wladczyni mocy.

-Wiec przez caly ten czas, jaki tu jestem... - Zrozumialem, co mial na mysli. - Jestem wylomem w waszym systemie obronnym...?

-Na razie to nie ma znaczenia. - Wzruszył ramionami, jakby to była prawda. - Opowiedz mi coś więcej o tym wędrownym kupcu, tym Ibycusie. Co to był za człowiek?

-Moja matka powiedziała, że był kims więcej, niż się wydawało. Przypuszczała, że powierzył pani Eldris tajemnice pasa po to, by mogła go użyć przeciwko mnie. Ja... ja również myślałem, że handel był dla niego tylko zasłona.

-Jeśli tak sądzisz, to dlaczego przyjąłeś zaczarowany pas?

-Ponieważ... Jak tylko na niego popatrzyłem, zapragnąłem go mieć tak bardzo, że nie mogłem się opanować. - Powiedziałem prawdę, choć mogło mi to zaszkodzić w jego oczach: mógł uznać mnie za słabeusza łatwo ulegającego zachciankom. Nie wiem, dlaczego chciałem, żeby ten nieznajomy miał o mnie dobrą opinię. Od początku naszej znajomości ratował mnie przed rezultatami mojej głupoty.

Sądziłem, że wszyscy mieszkańcy Gwiezdnej Wieży uważają mnie za gorszą od siebie istotę i że moje zachowanie ich niecierpliwi. Pragnąłem w jakiś sposób udowodnić, że są w błędzie.

-Ten pas... - Ująłem w słowa to, co czułem pamiętnej nocy. - Uczynił mnie... wolnym...

-Ale teraz tę wolność ci odebrał - zauważył mój rozmowca. - A na takie pety jest tylko jeden sposób.

-Jaki? Odebrać pas Ursilli? Odzyskać dawną postać i zniszczyć go? - Zarzuciłem go pytaniami.

-Pas jest kluczem. Musisz nauczyć się nim posługiwać.

-Jak?

-Odpowiedz kryje się w tobie i tylko ty możesz ją odnaleźć - odparł dwuznacznie. - Ale jednego jestem pewny: w Car Do Prawn grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

-Muszę tam wrócić, jeśli chce odzyskać pas - powiedziałem powoli. - A jeżeli mój nie przetrwa dostatecznie długo... - Wciągnąłem głęboko powietrze, przypatrując się uschniętej już galaktyce w kryształowej kuli. - Będzie musiał wrócić jako lampart.

Spojrzał mi w oczy. W ich zielonej glebi było coś, co...

-To ty jesteś śnieżnym kotem!

Nie skinął głową ani inaczej nie potwierdził mojego odkrycia. Wiedziałem jednak, że mój domysł był prawdziwy.

-Lecz... - Przeniosłem spojrzenie na pas, który nosił na kaftanie. Był ze zwykłej skóry, jaki mogłby nosić każdy mężczyzna. - Ty nie masz pasa... - Było to stwierdzenie faktu a nie pytanie. - Wiec w jaki sposób...?

Teraz on pokręcił milczaco głową. Nie mógł mi nic wyjawić przez wzgląd na prawa Mocy, zrozumiałem to, podobnie, jak pojąłem, czemu nikt z tej trojki nie powiedział mi swego imienia.

Najstarsze prawo głosi: nie należy podawać swego imienia obcym, gdyż mogliby je wykorzystać przy rzucaniu czarów. Nie musiałem obawiać się mieszkańców Gwiezdnej Wieży. Nie wzięłem jednak, że nie udzieli mi schronienia, gdy będzie mi



grozić jakies niebezpieczeństwo.

-Ciemność rośnie w siłę. - Przerwał zapadłe milczenie mówiąc o sprawach, które mnie bezpośrednio nie obchodziły. - Ci, którzy wybrali Drogę Mroku, przygotowują się znowu do ataku. Chce cię zapytać o tego kupca Ibycusa. Czy nie wyczujesz w nim skazy Ciemności?

Potrzasałem przecząco głową.

-Nie, wręcz przeciwnie. Zastanawiałem się nawet, czy nie był on wysłannikiem czy zwiadowcą Głosów Mocy.

-Głosy Mocy, nad tym warto pomyśleć. - Oparł dłoń na rekojesci długiego myśliwskiego noża, wysunął go lekko z pochwy, po czym z chrzestem wepchnął z powrotem. - Możliwe, że blisko jest czas, kiedy my, mieszkańcy Arvonu, jeszcze raz będziemy musieli wybierać, po której stronie stanąć. Tak, pokój naprawdę trwał krótko.

Zacisnął usta i przysłonił oczy powiekami. W owej chwili maska młodości zsunęła się nieco z jego twarzy. Może nieco dłużej, niż myślałem, żył w Arvonie...

-A poza tym - odwrócił się ode mnie twarzą - uprawianie gierki z Mocą w takich czasach grozi nieobliczalnymi konsekwencjami i jest bardzo niebezpieczne. Nie podoba mi się sokoł krazacy teraz w gorze, który może być sługą twojej Matki Kobiety!

W jego głosie zabrzmiało zdecydowanie, a może groźba (gdybym tak chciał ją odczytać). Odszedł bez pożegnania, ja zaś siedziałem na posłaniu, trzymając w ręce moly, które na jakiś

czas uwolniło mnie od przekleństwa lamparciego pasa, i zastanawiałem się, jak długo ta wolność jeszcze potrwa.

Kiedy nieznajomy wyszedł, rozejrzałem się dookoła. Komnata wydała mi się dziwna, gdyż jeden jej narożnik miał kształt grotu, formę narzuconej konstrukcji budowli-gwiazdy. Ściany były gołe, nie wisiały tu ani obrazy, ani gobeliny tak jak w Car Do Prawn. Leżałem na wąskim, podobnym do polki łożu. Pod ścianą stała bogato rzezbiona skrzynia, a naprzeciwko mnie stolik z dzbankiem i miską. Wyglądało to ubogo.

Na ścianach rozlewały się plamy wilgoci. Świadczyły o zamierzchłej przeszłości tej budowli, tak jak butwiejące gobeliny o starożytności Zamku, w którym się wychowałem. Lecz, o dziwo, tutaj wcale nie czułem się nic nie znaczącym intruzem, ale doznawałem czegoś w rodzaju wewnętrznej jedności z Gwiezdną Wieżą.

Takie uczucie w miejscu, gdzie najwyraźniej nie byłem mile widziany, było zaskakujące. Nie kształciłem się we władaniu moca i nie miałem takiego daru. A to najwyraźniej była siedziba, może nawet twierdza, przesiąknięta siłami, które niewielu z nas może zrozumieć. Więc dlaczego nigdy nie chciałbym opuścić Gwiezdnej Wieży?

Wrocily mi sily i wstalem z posłania. Na próbie zrobiłem kilka skłonów i nie poczułem już bólu w poranionych plecach. Siegnąłem ręką do pleców, a potem wykrecając szyję, usiłowałem obejrzieć rany. Okazało się, że zarosły nową, różową skórą i bliskie były zabliznienia. Nie mogłem więc dłużej nadużywać gościnności mieszkańców Gwiezdnej Wieży. Krazacy w gorze sokoł był ostrzeżeniem. Nie chciałem też sciągnąć

nieszczęścia na tych, którzy dali mi schronienie, nawet jeśli uważali mnie za godnego pogardy.

To najbardziej mnie gryzło. Nie dawała mi spokoju całkowita obojętność Księżycowej Czarodziejki. Dlaczego pragnąłem ponad wszystko, żeby dobrze o mnie myślała? Było to równie szalone jak oczekiwanie czułości od Thaney! Trzeba przegnać takie rojenia. Nagle...

Tak szybko, jak odzyskałem ludzką postać, tak teraz ją utraciłem. Kryształowa kula, która przedtem trzymałem w ręku, wyslizgnęła się z łapy. Ponownie stałem się lampartem. Moly we wnętrzu kuli zupełnie wyschło.

Usłyszawszy warkniecie, odwróciłem się błyskawicznie. Jeden zbik warknął na mnie, a drugi syknął. Księżycowa Czarodziejka i jej ulubienicy wrócili.

Mój wygląd jej nie zaskoczył. Może już wcześniej odgadła, że moly przestało działać, i dlatego do mnie spieszyła? Im szybciej opuści Gwiazdną Wieżę i pójdzie do lasu...

Po raz pierwszy jej spojrzenie zmiekło, a wargi drgnęły w uśmiechu, na którego widok zaskomlilem. Ten uśmiech w jednej chwili obalił mur, który zbudowałem w sobie w obronie przed jej obojętnością. Postawiła na podłodze prychającego i syczącego kociaka, a podniosła kryształową kulę.

-Posłuchaj - powiedziała dotykając lekko mojej głowy i zaraz cofając rękę. A ja wciąż czułem dotyk jej dłoni. - Chcesz odejść, to dobrze. Ale prócz zaklętego pasa istnieje jeszcze inny klucz. Nie możemy ci o tym opowiedzieć, gdyż jest to geas, czyli

rozkaz, który należy wykonać. Jeżeli zdołasz poznać te tajemnice, staniesz się kims większym, niż uważasz za możliwe. Nie, nie mogę powiedzieć nic więcej przez wzgląd na Moc, której cząstka władam. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz swój klucz!

Odsunęła się, gdy ja mijalem. Niedaleko były drzwi. Wybiegłem na otwartą przestrzeń, przemknąłem między grządkami ziół i skierowałem się do lasu. Dopiero gdy znalazłem się w cieniu rosnących na skraju drzew, odwróciłem się i spojrzałem na Gwiezdna Wieżę.

Oczekiwałem, że zobaczę krazacego nad nią sokola, ale niebo było puste. Zobaczyłem jednak, że choć był jeszcze dzień, z ramion budowli, które w nocy świeciły bladym blaskiem, wydobywała się mgła podobna do klebow dymu z przenośnych piecyków Ursilli. Obserwując te gromadzące się obłoki podszedłem bliżej i przekonałem się, że - tak jak zgadywałem - nie mogę przekroczyć bariery. Ludzie, którzy ocalili mi życie i na krótki czas uwolnili od czaru, ukryli się znowu za murem obronnym.

Na nic się nie zda pozostawanie w pobliżu Wieży. Nie otworzą się powtórnie przed mną drzwi. Może gdybym jakimś cudem odzyskał ludzką postać, stał się Kethanem nie wplatanym w żadne knowania Ursilli, mogłbym tu wrócić i przejść przez czarodziejską zapórę. Ale to było mało prawdopodobne.

Utkwiły mi w pamięci słowa Księżycowej Czarodziejki (jakże pragnąłem poznać jej imię!). Zarówno ona jak i Zwierzolak, który ocalił mi życie, napomknęli, że istnieje jeszcze jeden sposób na odzyskanie dawnej postaci. Nie byłem czarodziejem i oboje musieli o tym wiedzieć, gdyż żaden władca mocy nie zdoła ukryć

się przed innym władcą. Dając mi nadzieję, na pewno wiedzieli, co mówią. Powinienem więc zająć się tą sprawą, choć nie miałem najmniejszego o tym wszystkim pojęcia. Przedtem jednak potrzebowałem dobrej kryjówki, żeby ukryć się, by nie odnalazł mnie sokoł Ursilli. Dopiero później będę mógł skupić się na zagadce, którą mi zadali mieszkańcy Gwiezdnej Wieży.

O odkryciu, którego dokonałem,

i jak zamierzałem je wykorzystać

Nie mając gdzie pójść, wróciłem nad rzekę, złowiłem kilka ryb, posiłkiem się i wyruszyłem na poszukiwania kryjówki, której nie będzie można wypatrzeć z góry. Zbliżając się do znanej sobie grupy skał, skradalem się ostrożnie, mając nadzieję, iż nie dostrzeże mnie żaden skrzydlaty szpieg. Nie przestawałem myśleć o zagadce, którą zadali mi ludzie, którzy ocalili mi życie. Nie byli złośliwi i nie próbowali mnie oszukać. Skoro uważali, że istnieje sposób na odzyskanie własnej postaci, to z pewnością tak było. Mężczyzna, który zamienił się w śnieżnego kota, nie nosił czarodziejskiego pasa. Bardzo możliwe, że był zmiennokształtny z urodzenia.

Czy powinienem poszukać podobnej rośliny jak moly?

Znalezienie czegoś takiego wydało mi się tak

nieprawdopodobne, że przedko zarzuciłem ten pomysł. Może jakiś obrzęd...? Ale tylko wykształceni czarownicy mieli odwagę przywoływać Moc.

Raz po raz powtarzałem w myśli ostatnie słowa Księżycowej Czarodziejki. Istniał pewien klucz... jeśli nie znajde go na zewnątrz, to powinienem poszukać go... wewnątrz siebie

samego! Wewnątrz siebie samego! Czyżby to znaczyło, że miałem czarodziejski talent, tylko o tym nie wiedziałem? Lecz jeśli to prawda... czyż Ursilla by tego nie wykryła już wcześniej?

Przypomniałem sobie tamtą dziwną noc, kiedy to Madra Kobieta i moja matka rzuciły na mnie jakiś czar. Przypuszcmy, że Ursilla wyczuła te cząstki talentu... Mogła więc sprawić, że czar, który utkały wokół mnie, zgasił lub zniewolił te moje iskry...

Magia jest wiedza, ale do jej zdobycia i stosowania potrzebne są wrodzone zdolności. Każdy, mężczyzna lub kobieta, może napelnić swój umysł starożytną wiedzą, a mimo to nie być zdolny do wprowadzenia jej w życie. A jednak... Przypomniało mi się, że kiedy Ursilla mnie uczyła, dawała mi do czytania tylko pewne wybrane zwoje runiczne. Inne trzymała pod kluczem w swoich kufrach. Czy te zakazane zapiski zawierały wiadomości, z którymi bała się mnie zapoznać? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej rosło we mnie podejrzenie, że celowo ukrywała przede mną wiedzę, która umożliwiłaby mi uwolnienie się spod jej wpływu.

Nieważne, czy miałem talent, czy też nie. Mieszkańcy Gwiezdnej Wieży uważali, że mogę uwolnić się od przekleństwa, jeśli znajdę na to sposób. Postanowiłem oprzeć się na ich opinii.

Nic poza mną... Coraz bardziej byłem o tym przekonany. Odpowiedź kryła się w moim umyśle, może uwieziona czarami Ursilli, a może tylko nigdy się nią nie posłużyłem, gdyż nie wiedziałem o jej istnieniu.

Kim byłem? Dla mieszkańców Zamku byłem Kethanem, następcą Eracha. Dla Ursilli i mojej matki byłem narzędziem do

zdobycia władzy. Dla Maughusa, Thaney, pani Eldris byłem zawada, przeszkoda na drodze do tego, czego pragneli - również władzy. Dla nich wszystkich w istocie nie byłem osoba, tylko rzecz, która mogła pomóc lub przeszkodzić w realizacji ich celów. Czy kogokolwiek z nich obchodziło, że miałem własne życzenia czy pragnienia?

Lamparci pas... Dlaczego Ibycus przywiozł go do Zamku? Byłem głęboko przekonany, że ow kupiec (który mógł być kims więcej niż kupcem) miał swoje powody, żeby to zrobić. Kim był Ibycus i dlaczego chciał pokierować moim losem?

Może za dużo wyczytałem z krótkiej wymiany zdań owego pamiętnego poranka. Ale dobrze wszystko pamiętałem. Kupiec nie miał w sobie Ciemności. Moja matka napomknęła, że zamierzał mi zaszkodzić, sprzedając pas pani Eldris. Byłem przekonany, że nie. Jego słowa zawierały obietnice, a nie ostrzeżenie.

W takim razie - pas miał do spełnienia jeszcze inne zadanie poza zrobieniem ze mnie narzędzia Ursilli. Obiecując swobodę nie klamał. Tylko że go teraz nie miałem.

Wrocilem więc do niepodważalnego faktu, że jeśli istnieje jakiś klucz, to nie znalazłem go i nie znajdę bez wskazówki, która posłuży mi za przewodnika.

Leżałem spoglądając na skały i na plynącą poniżej rzekę. Raz czy dwa przelatywał nade mną jakiś ptak i wtedy nieruchomiałem. Zaden jednak nie przypominał sługi Madrej Kobiety. Klucz... we mnie samym...

To, że mam podwojną naturę, odkryłem wcześniej. Był we mnie człowiek, który potrafił przewidywać, układać plany, mieć nadzieję i wpadać w rozpacz, oraz jego przeciwieństwo - lampart, który kierował się instynktem, wybuchał gniewem, czuł głód i miał odmienną niż ludzka inteligencję. Przypuszcmy, że to w niej krył się klucz...

Ale pozwolić, żeby człowiek bez oporu pograził się w lamparcie? Wzdragalem się przed tym. Obawialem się zagubić w zwierze. No cóż, jeśli miałem odnaleźć ten klucz - muszę go szukać na kretych, tajemnych ścieżkach w sobie samym.

I oto świadomie pozwoliłem, by człowiek spotkał się z lampartem, by ukrył się w nim jak ja w mojej kryjówce. W dół, w dół, poniżej warstwy instynktu łowieckiego, poniżej walki, obrony, w dół, jeszcze głębiej. Kethan znalazł się w labiryncie myśli całkowicie obcych człowiekowi - zagubił się już na tej drodze, której w pełni nie rozumiał - i pograżał się coraz głębiej.

Człowiek dotarł do miejsca, w którym znajdowała się pułapka. Nie, nie pozostane tutaj! Walczyłem, by się wynurzyć, by odzyskać wolność. Stoczyłem taką walkę, jakiej nigdy nie dorówna żadne fizyczne działanie. Do góry, do góry, i na zewnątrz! Tak jak tonący człowiek walczy, żeby wydostać się na powierzchnię i napelnić obolałe płuca powietrzem, tak osobowość Kethana przedzierała się do górnych warstw umysłu. Do góry i na zewnątrz!

Leżałem dysząc ciężko, jak gdybym naprawdę stoczył bój z wrogiem. Kethan panował nad sytuacją. To, czego szukałem, nie kryło się w głębinach umysłu lamparta. Dowiedziałem się o tym niemal za cenę zagłady. Wobec tego to coś musi kryć się



wewnątrz Kethana.

Jak mam odszukać to w sobie? Czy mam odwrócić ten proces: pozwolić, żeby znalazł to lampart, czyli zwierze idące tropem zdobyczy? Nie wiedziałem, jak to zrobić. To, co znalazłem w naturze zwierzęcia: energię, cierpliwość drapieżnika, chęć obrony zagrożonego terytorium, sam instynkt życia, składało się na siłę tak samo wielką jak wola człowieka. Jeslibym mógł posłużyć się nimi nie uwalniając jednocześnie osobowości lamparta...

Przekonałem się już, że pamięć na nic się nie przyda, w każdym razie nie pamięć, do której mogłbym sięgnąć świadomie. Czy istnieje też nieswiadoma pamięć, która kryje w sobie znacznie więcej wspomnień, niż mi się wydaje? Naszkicowałem w myśli pokój, w którym stoja wysokie szafy wypełnione szczelnie zapisanymi zwojami. Każdy zawierał jakąś część mojej pamięci. Który wziąć do ręki, żeby odszukać potrzebną wiedzę?

Mysłowy obraz nabrał wyrazistości, gdy wsparłem go całą siłą woli. Powoli, ostrożnie czerpałem energię lamparta, żeby wzmocnić wolę. To właśnie tak wygląda: zwoje runiczne mojego umysłu leżą przede mną. Teraz wystarczy, że wybiorę odpowiedni, rozwinię i przeczytam.

Byłem pochłonięty zbudowanym w wyobraźni obrazem. To, co było Kethanem, krążyło między tymi szafami jak po prawdziwym pokoju. Zatrzymywałem się co krok, lecz nigdy nie rozgorzał we mnie żar mowiacy, że to właśnie ten zwoj, który powinienem wybrać. Czyżbym się pomylił? Przegnałem tę myśl. Nie, gdzieś tu jest ukryta potrzebna mi wiedza. A ja muszę ją znaleźć!

Coraz więcej energii czerpałem z natury lamparta, pokój

pojasniał, wydawał się coraz prawdziwszy i coraz wyraźniejsze stawały się runy identyfikujące zwoje. Siegałem coraz dalej pamięcia, aż zobaczyłem ciemny cien przegradzający Kethanowi drogę. Zrozumiałem, że jest to umieszczona przez Ursillę zapora, która mnie wiezi.

Sam Kethan nie miał dość sił, żeby ja przelamać. Ale razem z lampartem - tak! Wydawało mi się, że brnę po kolana w potwornym bagnie i że każdy krok posuwa mnie tylko o palec do przodu. Mimo to walczyłem, a lampart dawał mi wole zwycięstwa. Wtem zapora znalazła się poza mną. W tej części mojej pamięci znajdowało się coś, co Ursilla uznała za niebezpieczne dla siebie. Wobec tego mógł być to klucz, którego szukałem. Który to zwoj?

Szedłem wciąż do przodu - i w miarę jak poszukiwania się przedłużały, gasła we mnie nadzieja. Zwojów pamięci było coraz mniej. Jakie wspomnienia z bardzo wczesnego dzieciństwa mogły mi się teraz przydać?

Dotarłem do ostatniej szafy. Leżały tam tylko trzy zwoje. Wyciągnąłem rękę po ostatni zwoj. Wyjąłem go, rozwinałem...

Był tam tylko jeden obraz - wyraźny, namalowany jaskrawymi kolorami. Ciało lamparta na ziemi, człowiek biorący początek z jego głowy, a w oczach lamparta... Teraz - już wiedziałem!

Przestałem wspominać, usunąłem obraz pokoju, przestałem czerpać energię lamparta. Rozłożyłem się na ziemi jak długi, nie mając sił, by podnieść głowę, tak wyczerpany, jakbym przebiegł wiele mil bez odpoczynku. Ale zwyciężyłem!

Chciałem się teraz przekonać, czy potrafię wykorzystać  
znalezioną wiedzę. Lecz to musi poczekać. Poszukiwania  
zbyt mi zmęczyły. Zapadał zmierzch, a mój mały światek  
załudnił się w owej chwili. Tak głęboko pograżyłem się w otchłani  
pamięci, że nie ostrzegły mnie inne zmysły poza wzrokiem.  
Zobaczyłem bowiem jeźdźcę klusującego brzegiem strumienia w  
poblizu mojej kryjówki.

Tak, już go przedtem widziałem. To ten, który nosi helm z orłem  
na szczycie, gdzieś tu w poblizu rozmawiał bezgłośnie ze  
śnieżnym kotem. Kon pewnie stapał po piaszczystym brzegu, a  
jeździec trzymał luzno wodze, jakby pozostawiał swemu  
wierzchowcowi wybór drogi.

Im bardziej się do mnie zbliżał, tym głębiej wciskałem się w  
skalną szczelinę. Bo chociaż tamto spotkanie ze śnieżnym  
kotem miało przyjazny charakter, nie znaczyło to, iż teraz  
dostrzegłby we mnie coś więcej poza niebezpiecznym  
drapieżnikiem. Zresztą, w ogóle nie chciałem zwracać na siebie  
jego uwagi.

Usiłowałem rozróżnić rysy jego ocienionej helmem twarzy, a było  
to trudne nawet dla oczu lamparta. Wydała mi się w pewien  
nieokreślony sposób znajoma, ale dopiero gdy mnie minal,  
zdałem sobie sprawę, kogo mi przypominała. Ten jeździec z  
orłem na szlomie był bardzo podobny do mieszkańca Gwiezdnej  
Wieży... Czyżbym spotkał jeszcze jednego Zwierzolaka?

Zgrzyt kopyt o zwir, cichy chrzest kolczugi ocierającej się o siodło  
ucichły w oddali. Mimo to nie odważyłem się wypelznąć z  
kryjówki i spojrzeć w dół. Kon wszedł w płytkie wody strumienia,  
kierował się w stronę Gwiezdnej Wieży. Zgarbiony patrzyłem za

nim, aż zniknął mi z oczu.

Zabilem przed nocą jakieś powolne stworzenie, którego jeszcze nigdy nie spotkałem ani nie umiałbym podać jego nazwy. Przypominało z wyglądu domową jaszczurkę, ale było wielokrotnie od niej większe. Poza tym miało dziwny, jaskrawo zabarwiony ogon, któremu nie dowierzała moja lamparcia natura, więc pozarłem jedynie część zdobyczy.

Wracały mi siły. Teraz trzeba było poddać się tylko próbie. Dobrze wiedziałem, co muszę zrobić. Jeżeli rzeczywiście znalazłem klucz, powinienem spróbować dostać się do Zamku. Tak długo bowiem nie będę pewny, że odzyskałem wolność, dopóki nie odbiorę pasa. A wyprawa do serca nieprzyjacielskiego terytorium musi być dobrze zaplanowana.

Tej nocy zaczęły ubywać księżyca. Tym samym zmniejszył się jego wpływ, który wywołał zmianę postaci. Nie mogłem wybrać lepszego czasu na wyprobowanie klucza.

Przystąpiłem do dzieła w blasku księżyca, wśród skał. Tak samo jak wówczas, gdy starałem się odnaleźć zapomnianą wiedzę, tak teraz budowałem w myśli obraz Kethana człowieka. Obraz stawał się coraz bardziej szczegółowy. Wreszcie go skończyłem. Kethan był taki!

Naprawdę przypominało to wkładanie klucza do zamka. A później...

Zimny wiatr zmroził moje nagie ciało, nie chronione teraz futrem. Wstałem i wyciągnąłem ramiona do księżyca, nie posiadając się z radości. Chciałem nawet wydać okrzyk triumfu. Niestety, ta

chwila nie trwala dlugo. Nie moglem utrzymac ludzkiej postaci dluzej niz kilka chwil, po czym znow zamienilem sie w lamparta.

Ale udalo mi sie! Odkrylem tajemnice Zwierzolakow. Nie wiedzialem tylko, w jaki sposob mogli sie tak zmieniac ktos z nimi nie spokrewniony. Ale osiagnalem tyle, ze przez chwile zdolalem zapanowac nad lampartem. Musze zaczerpnac wewnetrznej energii, podporzadkowac zwierze woli czlowieka, zeby zachowac ludzka postac przynajmniej na tak dlugo, by zdazyc wejsc do Zamku. Ursilla i Maughus beda oczekiwali zwierzecia. Uporam sie z nimi jako czlowiek, gdyz wtedy nie osmiela sie podporzadkowac mnie sobie ani zranic. Grozilaby im za to odwieczna, zwyczajowa kara za skrzywdzenie krewnego.

Jeszcze niedostatecznie jednak opanowalem sztuke zmiany ksztaltu. Istnialo niebezpieczenstwo, ze za krotko bede w ludzkiej postaci, zeby zrealizowac wszystkie swoje zamiary. Nie chcialem zas na terenie Zamku dzialac pochopnie.

Zaczalem wiec cwiczyc nowo nabyta umiejetnosc. Lezalem w ukryciu przez caly dzien, a w nocy, gdy ubywalo ksiezycy, przekrecalem klucz - i za kazdym razem dluzej pozostawalem Kethanem. Uwazalem, ze podczas nowiu ksiezycy bede juz mogl sprobowac przedostac sie do Zamku. Wedrowalem zatem lasem w strone Car Do Prawn, ukrywajac sie za dnia i idac noca.

Oczywiscie fakt, ze w cieniu wielkich drzew nie wszystko bylo w porzadku, moglby wyczuc kazdy, kto chocby na krotko zapuscilby sie w nieznane. Z daleka okrazylem Gwiezdna Wieze; wiedzialem, ze nie wpuszcza mnie tam nawet teraz, kiedy nauczylem sie zmieniac wedle woli postac. W lesie wiecznie cos sie dzialo, jedne stworzenia odchodzily, inne przychodzily, ale

raczej jedynie wyczuwalem to wszystko, niz slyszalem czy widzialem. Nie mam tez pojecia, czy zawdzieczalem to nadludzkiemu zmyslowi lamparta, czy tez ja sam stalem sie bardziej wyczulony na przejawy Mocy.

Spotykalem tam miejsca, ktore omijalem z drzeniem serca. I wydawalo mi sie, ze co noc bylo ich coraz wiecej, jak gdyby niegdys zasiane ziarna zla teraz kielkowaly, rosly i zagarnialy coraz wiecej obszary. Kiedy pierwszy raz przekraczalem granice lasu, nie odczuwalem ich istnienia. Wydawalo mi sie, ze byl to przyplyw Ciemnosci, o ktorym mowil Pergvin. Jesli to prawda, wzmocni go ubywajacy ksiezyc. Sily Ciemnosci rosna w mroku i swiatlo jest dla nich nieznosne, nawet zabojcze.

Do otaczajacych Zamek pol dotarlem zgodnie ze swym planem. Coraz bardziej niepokoily mnie zmiany zachodzace w lesie. A dzisiejszego wieczora wydawalo sie, ze zmrok wpelzl na pola kryjac w sobie nieznanne niebezpieczenstwo. Swiatla zablyslly w oknach wioski i w Wiezach znacznie wczesniej niz zwykle. Zbilo mnie to z tropu, gdyz oznaczalo, ze w bramie Zamku prawie na pewno beda straze. Nie zdolam tam wejsc, ot, tak po prostu wejsc, nawet jako czlowiek. No i musze zdobyc jakies ubranie. "Zauwazylem tez cos niezwyklego: sztandar Pana Na Zamku nie powiewal z najwyzszej Wiezy, a to znaczylo, ze moj wuj byl nieobecny. Niejasno, jakby dzialo sie to przed rokiem, przypomnialem sobie rozmowe o przegladzie wojsk w Zamku naszego Naczelnego Wodzina i o zebraniu calego Klanu Czerwonych Plaszczy. Przebywajac w lesie nie liczylem dni - moze termin juz minal? Czy nieobecność znacznej czesci garnizonu ulatwi mi zadanie? Czy ci, ktorzy pozostali, nie podwoja czujnosci? Pytan mialem wiele.

Pod lasem stal szalasz pasterski. Podkradłem się do niego i obwachalem szczeliny w drzwiach. Zapach owiec, człowieka, oba stare i zwietrzale. Wsadziłem pazury w szpare i szarpnałem. Drzwi się otworzyły na pustą izbę. Los mi sprzyjał: na haku wisiał kosmaty kaftan z owczej skóry, pozostawiony po zimie przez pasterzy.

Tej nocy mrok był jakby gęstszy, a może tak mi się tylko wydawało, bo tego pragnąłem? Nie wolno mi pozwolić, żebym sam siebie wprowadził w błąd. Skoncentrowałem się i oto w pasterskim szalasz stanął Kethan.

Zarzucając na siebie owczy kaftan ruszyłem do Zamku. Przy bramie stał strażnik i czujnie wpatrywał się w mrok, jakby niewidzialny wrog miał w tejże chwili zmaterializować się na jego oczach.

Zgarbiłem się. Może zaatakować strażnika? W ostateczności mogłem nawet wrócić do postaci lamparta. Zastanawiałem się przez moment i zrezygnowałem z tego pomysłu. Nie potrafiłem zabić człowieka, który spełniał swój obowiązek. Gdybym w ten sposób przelał krew, byłbym zgubiony. Nie wolno mi zachowywać się jak zwierze.

Nie potrafiłbym też znieść porażki, gdybym teraz musiał - dotarłszy tak daleko - zawrócić. Nie wiedziałem, co począć. Narastała we mnie świadomość bezowocności moich wysiłków. Nagle coś mnie zaalarmowało! To zmysł, który odbierał lesne emanacje. Nie wyczuwałem jednak Zła, tylko obecność mocy.

Do glebi wstrzasnięty zobaczyłem, jak strażnik zeszywniał i utkwil wzrok w jednym punkcie. Nie wiedziałem, skąd pochodziła

sila sprawiajaca, ze przestal mi zagrazac. Skorzystalem z okazji i przemknalem sie na dziedziniec.

Uslyszawszy za soba ruch, skulilem sie i odwrocilem, gotow stanac do walki z tym uzbrojonym w miecz przeciwnikiem. Ale straznik nadal stal odwrocony plecami do dziedzinca. Obudzil sie widac z transu i zapewne nawet nie wiedzial, ze na jakis czas zaniedbal swoje obowiazki.

Co sie dzieje? Uczucie ulgi zniklo, zaczelo rosnac podejrzenie. Nieznana sila nie byla wprawdzie zla, lecz jakby zbyt szybko przyszla mi z pomoca. Nie mialem w Zamku tak dobrego przyjaciela.

Ursilla!

Przeczenie mnie nie mylilo; trzeba bedzie stawic jej czolo. Ale nie bylem juz tym zoltodziobem, ktorym tak latwo mozna bylo rzadzic. Odkad poznalem zwyczajnie lamparta i cofnalem sie do pierwszych dziecinnych wspomnien, stalem sie innym czlowiekiem. Jesli zas bede mial sie na baczności... Z drugiej strony, nie moze nie doceniac Madrej Kobiety.

-Witaj w Zamku, Kethanie.

Nie zdziwily mnie te slowa. Przeciez to Ursilla byla tym cieniem poruszajacym sie tuz przy Wiezy Dam. Ruszyłem ku niej krokiem idacego na pole walki wojownika.

Tymczasem Ursilla wslizgnela sie do sieni. Zza drzwi bil slaby blask lampy. Nie mialem odwrotu - musialem za nia pojsc. Tam, gdzie bedzie Ursilla, tam bedzie czlowiek-lampart. Na razie nie



wiedzialem, jak sie z nia uporac. W kazdym razie ukladal sie nie bede...

Wszedlem do Wiezy i zobaczylem ja na schodach. Trzymala w reku lampe, ktorej swiatlo padalo na mnie. Na moj widok jej oczy rozszerzyly sie, jakby nie spodziewala sie, ze ujrzy Kethana we własnej osobie. Czyzby nie dojrzala mnie na dziedzincu? A moze dostrzegla tylko niewyraźny kształt, który rozpoznała dzięki swym zdolnościom?

W drugiej rece miala swoja kosciana rozdzka z zabarwionymi czerwienią i czernią runami. Przypuszczam, ze pokazala mi ja umyślnie. Maughus w podobnej sytuacji postaralby sie, zebym zobaczył obnazony, gotowy do ciosu miecz.

-Witaj, Madra Kobieto!

Nie odpowiedziala. Potem zrobila gwałtowny gest rozdzka.

Poczulem, jak budzi sie we mnie lampart. Nie probowalem sie przed tym bronic. Ursilla nie moze sie jeszcze dowiedziec, co umiem. Powinna nabrac pewności, ze ledwie, ledwie kontroluje swoje przemiany. Musze sie skoncentrowac. Uderzyc moze tylko raz i musi to byc cios zwycięski, zadany w ostateczności.

Wszedlem za nia po schodach jako zwierze.

o tym, jak postalem wiezniem Ursilli

i jak moja matka przepowiedziala mi przyszłosc

Ursilla odwrocila sie do mnie dopiero w swojej komnacie. Poza przenosnalamпка, ktora trzymala w dloni, palily sie tam trzy

duże lampy. W ich świetle widzieliśmy się wyraźnie. Ursilla uśmiechnęła się.-Wiem już wiesz, Kethanie, że nie należy mi się sprzeciwiać? - zapytała powoli. Zdawała się rozkoszować każdym słowem, jak człowiek rozkoszuje się zapachem lub ulubionym daniem, które nieczęsto pojawia się na stole.

Pomyślałem, że nigdy nie przeciwstawiłem się jej mocy. Ale w postaci zwierza nie mogłem odpowiedzieć ludzkim głosem.

Madra Kobieta usiadła na jedynym tu krześle, równie wspaniałym jak te, do których miały prawo moja matka i pani Eldris. Na jej twarzy malowało się zadowolenie. Wyczuwałem jej pewność siebie i wiarę nie tylko we własny talent, ale i w przyszłość. Oto znowu miała mnie w reku.

-Wzywalam cie dwukrotnie - ciagnela. - A ty, w swej glupocie, nie posluchales. We wlasciwym czasie zostaniesz za to ukarany. Lecz najpierw...

Wyciagnela ku mnie rozdzke. Krzyknalem w odpowiedzi, gdyz wydalo mi sie, ze kosciany pret zaglebil mi sie w ciele, dzgnal i szarpnal za gardlo. Poczulem mdlosci i gorzka wydzielina pociekla mi z pyska.

Ursilla pochytila sie, patrzac mi w oczy.

-Czy mnie rozumiesz, Kethanie? Moge zrobic z toba, co zechce. Odpowiedz mi!

Jej rozkaz zabrzmial tak ostro, ze moj jezyk i gardlo posluchaly.

-Ja... rozumiem... - Brzmienie slow bylo zniekształcone.

Zwierzeza gardziel nie jest przystosowana do ludzkiej mowy. Widocznie jednak mnie zrozumiała, bo skinęła głową.

-Wystarczy! A teraz powiedz mi... Jaka moc nas rozdzieliła, gdy spotkaliśmy się ostatnio?

Chodziło jej o moją wędrówkę po skazonym Ciemnością obszarze. Ale - miałem już tę pewność - w przeciwieństwie do śnieżnego kota nie potrafiła porozumiewać się za pomocą myśli. Inaczej nie obdarzyłaby mnie ludzkim głosem. A z tego wynikało, że nie mogła też czytać w moich myślach. Należało zatem tak dobrać słowa, by zadowolona się połprawda, a zarazem nie powiedzieć jej wszystkiego.

-Kiedy... mnie... wezwalas... - Wymawiałem ludzkie słowa z wielkim trudem i wkrótce rozboleło mnie gardło. - Byłem... na... skraju... miejsca... Mocy... mogłem... się... bronić... więc... użyłem... jej... do zerwania... kontaktu...

-Miejsce Mocy - powtórzyła Ursilla. - Są takie w lesie, o niektórych dawno zapomniano. Jakiego rodzaju było to miejsce, które odkryłeś?

Nie odważyłem się opowiedzieć jej o Gwiezdnej Wieży ani nawet o polanie, na której rosły księżycowe kwiaty. Chociaż nie znalazłem tam schronienia, jej mieszkańcy opatrzyli mi rany. A śnieżny kot uratował mi życie (może nie tylko ciało, ale i duszę), kiedy rozerwał sieć kryjącego się w ruinie potwora. Ruina! Nie zaszkodzi poinformować ją o ruinie!

-Dwie kolumny... na nich starożytne płaskorzeźby... lecz prawie zatarte... strzeża ruin... kamienne bloki... zwalone na stos... ja

nie... wiem... co to za miejsce...

Zakolysała rozdzka i poczułem dziwny ból między oczami. Zrozumiałem, że w jakiś sposób sprawdzała, czy powiedziałem prawdę. Ogarnął mnie lek, że wyciągnęła ze mnie to, czego nie chciałem wyjawic.

-Nie sklamales. Później opowiesz mi dokładniej o tym miejscu. Jeśli ta ruina ma dość mocy, żeby rozerwać czar drzwi, to ongiś musiała przesiąknąć energią kogoś bardzo potężnego. Czy to miejsce również przywróciło ci ludzką postać, Kethanie?

-Tak.

Zebrałem wszystkie siły, szykując się do następnej próby. Co zrobi, kiedy przekona się, że tym razem sklamalem? Ale odetchnałem z ulgą, gdy uwierzyła w moją prawdopodobność.

-To wielka moc! Musimy znaleźć to miejsce! - Jej palce zakrzywiły się, jakby chciała coś schwycić. Potem westchnęła. - Ale to musi poczekać. A co do ciebie, zmiennokształtny... - Skupiła na mnie całą uwagę. - Zrobisz, co ci rozkaże. Mój wysłannik, który pozostawił ślady na twoich łydźwiach, dobrze się spisał. Mam twój pas, a za jego pośrednictwem można wiele zdziałać. Sam się przekonasz, jeżeli spróbujesz się przeciwstawić mojej woli! - powiedziała zimno.

Nie groziła, ale obiecywała. Najgorsze było to, iż nie wiedziałem, czy miała rację, czy też nie. Czy w zasięgu jej mocy mogłem odzyskać ludzką postać, choćby na krótko? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję. Nie mogę zaś podjąć takiego ryzyka, jeśli się nie upewnię, że to jedyny sposób obrony.

-Pan Erach pojechał na zgromadzenie Czterech Klanów i Zamkiem rządzi Maughus - ciagnęła Ursilla. - Kiedy nie udało mu się pierwsze polowanie, rozkazał wykuc srebrne strzaly i przysięgł, że cie zabije. Nikt mu się nie sprzeciwił słowem ani czynem. Wszyscy bowiem obawiają się nadejścia Ciemności, a on łatwo ich przekonał, że zmiennokształtny wśród nas może stać się drzwiami, przez które wejdą znacznie gorsze stworzy. Zamierza... - Urwała i zagryzła wargi, jakby powiedziała za dużo.

Bez trudu mogłbym dokończyć za nią zdanie. Maughus zamierzał wystąpić również przeciwko Ursilli. Nie sądziłem, by to było mądre posunięcie z jego strony. Przekonawszy się na własnej skórze, jak potrafiła realizować swoje plany, wiedziałem, że mój kuzyn miałby niewielkie szanse, gdyby otwarcie sprowokował Madra Kobietę. Na jego miejscu postępowałbym bardzo ostrożnie, bo gdyby Ursilla poczuła się zagrożona, stałaby się niezwykle niebezpieczna.

-Tylko tutaj jesteś bezpieczny - dodała i choć wyraz jej twarzy się nie zmienił, czułem, że jest zadowolona. - Nie masz tutaj przyjaciół, Kethanie. Twoja piękna narzeczona - uśmiechnęła się tryumfująco - zerwała zaręczyny, a jej ojciec nic na to nie powiedział, bo wysłuchał świadectwa ludzi, którzy polowali na lamparta w murach Zamku.

-Skoro pan Erach - wydusiłem te słowa ze zmaltretowanego gardła - nie protestował, to do czego ci się przydam? Nigdy nie podniosła mnie na tarczy jako jego dziedzica...

Ursilla nadal się uśmiechała.

-Nie jest tak, jak myślisz. Czary mogą naprawić to, co inne czary

zmieniły. Przysięgam, że odzyskasz swoją prawdziwą postać - i odzyskasz, jeśli będziesz mi posłuszny. Wtedy ja tu będę rządzić...

Tego zdania również nie musiała kończyć. Znałem dobrze jej zamysły. Jeżeli uwolni mnie od - jak to nazywała - klatwy, rzuconej wspólnie przez panią Eldris i Maughusa, wtedy zajmie w Zamku znakomitą pozycję. Nie tylko wszyscy będą się obawiali jej mocy, ale i ja sam stanę się jej niewolnikiem, którego w każdej chwili będzie mogła ponownie zamienić w zwierzę. O tak, zapewni sobie miejsce w Car Do Prawn... Jeżeli zdoła utrzymać mnie przy życiu, nie dopuści, żebym wpadł w ręce Maughusa, i jeśli pokona pas i uczyni mnie znowu człowiekiem.

W owej chwili zrozumiałem, że nie chcę odzyskać ludzkiego ciała za cenę, jaką wyznaczy Ursilla. Od wielu już lat zdawałem sobie sprawę, że choć popierała ambicje mojej matki, to miała własne plany. Teraz wszystkie te podejrzania się potwierdziły. Jeśli po śmierci pana Eracha zostanie podniesiony na tarczy, to będzie tu rządzić Madra Kobieta.

-A teraz - wstała z krzesła i strzeliła palcami jak ktoś, kto przywołuje psa - potrzymamy cię jakiś czas w ukryciu. Trzeba przygotować pewien obrzęd, który pozwoli mi poznać przyszłość. Swoje plany muszę oprzeć na solidnej podstawie i przygotować się na wszelkie możliwości.

Poszedłem więc za nią potulnie do komnaty z gwiazdą wymalowaną na podłodze. Na gest rozdzka stanąłem w środku gwiazdy. Wówczas Czarownica skierowała rozdzkę po kolei na świece osadzone na krancach ramion. Zapaliły się, a przecież nie dotknął ich żaden płomień.

-Jestes bezpieczny - powiedziala oschle. - Nikt tu do ciebie nie moze przyjsc, zmiennokształtny, i sam rowniez nie mozesz opuscic tego miejsca. Poczekasz wiec, az bedziesz mi potrzebny.

Odwrocila sie i odeszla, pozostawiajac mnie otoczonego zewszad swiecami. Calym ciałem wyczuwalem obecność uwolnionej Mocy. Rownie dobrze gwiazde mogl wypelniac tłum niewidzialnych istot.

W swoich zmaganiach z Ursilla jak dotad niczego nie dokonalem. Nadal miala lamparci pas, a w Zamku bylo przynajmniej pol setki miejsc, w ktorych mogla go ukryc.

Uwiezila mnie, unieruchomila i nie moglem go szukac. Czym dysponowalem? Jedynie umiejtnoscia przemiany w czlowieka na zbyt krotki czas, by cos zdazyc zrobic!

Krazylem wokol kamiennego oltarza umieszczonego wewnatrz gwiazdy - tego samego, na ktorym pani Heroise polozyla mnie owej nocy, gdy Ursilla umiescila blokade w moim umysle. Moja matka? Czy wiedziala, ze wrocilem do Car Do Prawn? A moze tak sie juz podporzadkowala Madrej Kobiecie, ze ta nie uwazala za stosowne nawet pobieznie zapoznac pani Heroise ze swymi planami wobec mojej osoby?

Zreszta stosunki pomiedzy nimi niewiele mnie obecnie obchodzily. Wazne bylo tylko to, ze uwieziono mnie za pomocą czarow. Ostroznie podszedlem do najblizszej czesci konturu gwiazdy. Dotkniecie lapa linii wywolalo taki sam wstrzas, jak wtedy, gdy sprobowalem wejsc do ogrodu otaczajacego lesna Wieze.

Gwiezdna Wieża! Usiadłem na zadzie. Za rada Księżycowej Panny rozpocząłem poszukiwania i znalazłem klucz do przemian postaci. Nie nabyłem jeszcze wprawy i służył mi w ograniczonym zakresie, ale jednak służył. A w takim razie... Czy mogłbym ten sam klucz zastosować do innych spraw? Czy mogłbym za pomocą woli zniszczyć zapórę, która otoczyła mnie Ursilla? Czy mogłbym...

Nie dane mi było rozpocząć próby, gdyż drzwi komnaty otworzyły się i weszła moja matka, zamiatając podłogę bogato haftowaną suknią i szukając mnie wzrokiem. Uśmiechała się tak jak Ursilla. Nie był to miły, radosny uśmiech: po prostu cieszyła się, że zostałem uwięziony.

-No i masz, czego chciales, głupcze - powiedziała stając między dwiema świecami. W ich nieruchomych płomieniach zabłysły naszyjnik, pas, pierścienie, kolczyki i wysadzana drogimi kamieniami siatka na włosach. Była ubrana, jakby podążała na wielką ucztę. - I jak na tym wyszedles?

Nie miałem ochoty odpowiadać swym kraczącym, chrapliwym półgłosem, jakim obdarzyła mnie Ursilla. Chciałem, żeby ominęła ją ta przyjemność.

Teraz pani Heroise rozesmiała się głośno:

-I to ty, ty próbujesz się przeciwstawić naszej mocy! Czy wydaje ci się, że masz jakakolwiek szansę?

"Naszej mocy" powiedziała. Madra Kobieta nie potwierdziłaby jej słów. Jeżeli moja matka istotnie wierzy, że Ursilla jest tylko jej służką i że poskromiła mnie na jej rachunek, to może zdołam je



poroznic samym cieniem prawdy. Wykrztusiłem:

-To Ursilla mnie sprowadziła - powiedziałem. - Chce mnie wykorzystać. O tobie nie było mowy...

-Ursilla jest bardzo potężna, Kethanie - odparła pani Heroise, wciąż się uśmiechając. - Ale może nie jest tak wszechwiedząca i wszechmocna, jak chcielibyśmy, żebyśmy myśleli. Porzuciliśmy teraz spory, ponieważ dążymy do tego samego celu.

Pełnym wdzięku ruchem odwróciła się i podeszła do stołu, nad którym wisiała pojedyncza lampa. Wskazała na nią palcem, tak jak przedtem Madra Kobieta, chcąc ją zapalić. Myślałem, że tym gestem chciała mi pokazać, że i ona potrafi przywołać pewne siły. Nie wiedziała, że takimi sztuczkami popisują się co słabsi czarownicy.

W tej komnacie nie było wygodnych krzeseł, tylko stół na trzech nogach; można takie spotkać w wiejskich kuchniach. Był rzezbiony i bardzo zniszczony przez czas. Moja matka usiadła na nim i odczepiła od pasa lancuszek z puzderkiem. W słabym świetle świec udało mi się dostrzec runy na wieczku.

Z puzderka wysypała na dłoń talie kart z usztywnionego pergaminu. Uważała je za swój największy skarb, ponieważ pomagały przy wrozie. Nie były powszechnie używane wśród mieszkańców Arvonu. Mówiono, że nie pochodzą z naszego świata, ale są narzędziem, które jeden z Wielkich Adeptów sprowadził zza otwartej przez siebie Bramy. Niewielu spośród nas wiedziało, jak odczytywać ich przesłanie.

Moja matka była bardzo dumna, iż posiadała te umiejętności. Ten

talent ujawnił się w Garth Howel i trochę zakłopotał jej nauczycielki, gdyż poza nim nie miała zbyt wielkich zdolności. Patrzac na nie usmiechnęła się ciepło.

-Niestety, Kethanie, nie możesz ich przetasować ani przelożyć, jak powinieneś zrobić, gdyż nie masz rak. Ale właśnie w tej chwili jest pora odpowiednia do wrozb i zastępując cie, będę o tobie myślała.

Szybko przetasowała karty, wybrała jedną i uniosła do góry, pokazując mi, co przedstawia.

-Ta będzie reprezentować ciebie. Jest to Giermek Mieczy, oznacza młodzieńca władającego jakąś siłą.

Położyła kartę na stole. Teraz zrezygnowała z gracją znowu przetasowała karty, trzykrotnie lewa ręka przelożyła ku mnie, jeszcze raz przetasowała, ponownie przelożyła, a w końcu znowu przetasowała. Na jej twarzy malowało się głębokie skupienie. Obserwowałem ją czekając, co dalej zrobi. Czulem się tak, jakbym naprawdę siedział z drugiej strony stołu, wierząc, iż może odczytać najbliższą przyszłość.

Teraz ułożyła karty koliscie, zaczynając od lewej, potem ku dołowi i w końcu w górę. Wydawało się, że omija je wzrokiem, nie patrzy na nie. Następnie odsunęła na bok te, których nie użyła, i pochyliła się nad rozłożoną na stole dwunastką.

-Demon w Pierwszym Domu; twoim Domu. Ach... - Odetchnęła głęboko. Mówiła powoli, z długimi przerwami. - Niewola; Magia dla ciebie; Dwojka Bulaw w twoim Domu Posiadłości; Pan Na Zamku; Bogactwo; władza...

-Trzeci Dom; tutaj znajduje się Księżyc; niebezpieczeństwo; sny; Czworka Bulaw jest w twoim Czwartym Domu; nadejście spokoju i doskonalenie pracy; schronienie... -

Zaczęła mówić szybciej, na jej twarzy ujawniły się uczucia, których nie umiałem odczytać.

-W Piątym Domu: As Bulaw; narodziny, tak, początek Bogactwa; dziedzictwo; tak, to wszystko prawda! - Stukała lekko palcami przed każdą z kart, gdy wyjaśniała ich znaczenie.

-Dla Szóstego Domu: sukces; ostrożność; bezpieczeństwo! - Z każdą chwilą coraz bardziej podnosiła głos i nie kryła rosnącego podniecenia: - Siódmy Dom: tutaj leży Szóstka Mieczy, która oznacza przejściowe kłopoty; sukces po okresie niepokoju...

-A teraz Ośmy Dom, w którym znajdują się twoje wrodzone zdolności... Czarodziej!

Przez długą chwilę wpatrywała się w kartę i na jej twarzy zadowolenie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

-Mistrzostwo, mądrość, dar czerpania Mocy i władanie nią dzięki pragnieniu... Ale jak to możliwe?! Och, to nie może dotyczyć ciebie. Nie, oczywiście, że nie. Jesteś narzędziem, którym posługują się inni. - Nie sądzę jednak, by całkowicie uwierzyła w to pośpieszne wyjaśnienie problemu, który ukazały karty. Ja zaś po raz pierwszy zainteresowałem się jej słowami.

Zdolność czerpania Mocy z góry, władanie nią dzięki pragnieniu. Czyż nie tego właśnie nauczyłem się przy okazji zmiany postaci? A jeśli to była prawdziwa wroźba, to co z resztą, która mi tak

lekką przepowiedziałą: sukcesem, spokojem? Gdybym tylko mógł uwierzyć, że to wszystko było prawdą!

-Dziewiąty Dom - ciągnęła moja matka, jakby chciała czym prędzej pozostawić za sobą kłopotliwą ósmą kartę. - Piątka Bulaw... Ach, to prawda. Walka o sukces; utrata; chyba że zachowa się czujność. Lecz my będziemy czujni! Nie ma wątpliwości.

-A teraz Jedenasty Dom. Co tam mamy? Siedemka Mieczy; plan, który może się nie powieść; niepewność.

Znow ostrzeżenie i to takie, którego nie potrzebujemy. Wreszcie Dwunasty Dom: Arcykapłan kierujący Mocą wiary; potrzeba połączenia się z innymi...

Uniosła ponad kartami ręce i już nie patrzyła na karty, ale przyglądała mi się w blasku zaczarowanych świec.

-Czy zdajesz sobie sprawę, że ta wroźba jest prawdziwa, Kethanie? W zasięgu ręki masz wielką przyszłość. Będziesz musiał pokonać niemal trudności, ale droga do rządów nigdy nie jest łatwa. Masz być ostrożny, lecz karty obiecują ci sukces i połączenie się z innymi. To dobra przepowiednia. Tylko... - Jeszcze raz spojrzała na kartę, która nazwała Czarodziejem znajdującym się w Osmym Domu. - Nie całkiem to rozumiem. No cóż, czasami jakaś część przepowiedni pozostaje ukryta. Reszta w pełni zgadza się z moją wiedzą. Jeszcze będziesz - rzadził w Car Do Prawn, mój synu, i może nie tylko w tym jednym Zamku...

Zwróciła oczy na ścianę z miną człowieka zagubionego w jakimś

fantastycznym marzeniu. Pokiwala glowa jakby w odpowiedzi na zadane w mysli pytanie. Potem szybko oburacz zgarnela karty, schowala je do puzderka i wstala od stolu.

-Ciesz sie, ze Ursilla zapewnila ci bezpieczenstwo - powiedziala, odwracajac sie do drzwi. - Maughus polecil wykuc srebrne strzaly, przysiega, ze cie zastrzeli... a srebro jest smiertelnie niebezpieczne dla kazdego zmiennokształtnego. Niech sie panoszy, poki moze. Nie bedzie tu dlugo rzadzil.

Uslyszalem szelest jej sukni, a potem zostalem sam. Jej przepowiednia dala mi wiele do myslenia. Sprobowalem przypomniec sobie kazda karte i przeslanie, jakie z niej odczytala. Nie wywarloby to na mnie takiego wrazenia, gdyby nie porazila mnie wrozza z karty Czarodzieja. Ona zreszta tez byla zaskoczona. Mistrzostwo i madrosc - daleko mi do tego. Owszem, byli tacy ludzie, slyszalem o nich opowiesci: Glosy Mocy, Wielcy Adepcci, niektorzy sludzy Ciemnosci, inni zas Swiatla. Ale oni trzymali sie z dala od reszty ludzi i nawet dlugo zyjac mozna bylo ich nie spotkac. Trudno tez bylo spotkac kogos, kto ich widzial.

Krazylem niespokojnie wokol oltarza. Nie dokuczal mi glod ani pragnienie, nie czulem tez zmeczenia. Moze jakas wlasciwosc muru, ktory Ursilla wzniosla wokol mnie, zapobiegala temu.

Mialem doskonala okazje do cwiczen w cierpliwosci. Nie chcialem jednak czekac. Chcialem robic to, po co przybylem do Car Do Prawn.

Zaczalem wiec przygladac sie komnacie byстрым wzrokiem lamparta. Wydawalo mi sie, ze gdyby Ursilla ukryla pas,

trzymałaby go gdzieś tutaj, gdzie przechowywała wszystkie swoje czarodziejskie przybory. Pod ścianą stała szafka z zamkniętymi naглуcho drzwiczkami, w niej Madra Kobieta gromadziła naczynia z ziołami, różnymi płynami i proszkami używanymi do rzucania czarów. Nie, to byłoby miejsce zbyt widoczne. W szafce w pobliżu drzwi trzymała runiczne zwoje, których nigdy nie pozwalała mi dotykać. Czy pas mógł być we wnętrzu któregoś z nich? Jeśli tak, to mógł z identycznym skutkiem znajdować się na księżycu!

Kreciłem się w kołko wewnątrz gwiazdy, a zniecierpliwienie smagało mnie jak bicz i szarpało wewnętrzną niczym dotkliwy głód. Mimo upływu czasu świece tylko trochę się skrocily. Zanim wosk się stopi, uplynie wiele godzin. Zatechła won zioł wisiała w powietrzu, odczuwałem lekki ból głowy i ogarniało mnie coraz większe przygnębienie. Ursilla na pewno dopnie swego. Żeby osiągnąć sukces, złożyłaby w ofierze nawet mnie. Jesliby zdołała.

O tym, jak mieszkańcy Gwiazdnej Wieży

zainteresowali się moim losem

Nie wiem, w jakim momencie zorientowałem się, że przygnębienie jest moim wrogiem. Może w czasie, gdy szukałem sił niezbędnych do zmiany postaci i je wypróbowałem, przebudziłem jakąś uspijoną od dawna część mózgu? Takie próżne rozważania do niczego nie prowadziły. Kethan przejął kontrolę nad moją podwójną naturą. Pokonałem niecierpliwą lampartę i wyciągnąłem się obok ołtarza. Ktokolwiek by mnie szpiegował, powinien myśleć, że pogodziłem się z przeznaczeniem i uległem losowi zgotowanemu mi przez Ursillę.

I bardzo by się pomylił. Po prostu badałem nadal otoczenie, tylko inaczej. Najpierw przyjrzałem się świecom palącym się na końcach ramion gwiazdy. Doszedłem do wniosku, że w jakiś sposób kontrolowały barierę, która trzymała mnie wewnątrz rysunku. Były pomarańczowo-czerwone. Mieszanka tych kolorów wiązała się z siłą fizyczną i wiarą w siebie. Tak, Madra Kobieta wykorzystywała teraz Magię Barw!

Co mogłem im przeciwstawić? Nigdy przed zmianą postaci nie interesowałem się magią ani mocą. Postanowiłem teraz to nadrobić. Mimo że Ursilla starannie wyselekcjonowała Kroniki, które pozwoliła mi przeczytać, wiele zawartych w nich opowieści omawiało szczegółowo bohaterские czyny mieszkańców Arvonu, kiedy to toczono boje z siłami nie mającymi nic wspólnego z uzbrojeniem czy liczebnością wojsk.

Ponownie przywołałem obraz swej pamięci jako biblioteki ze zwojami runicznymi, z takim trudem zbudowany za pierwszym razem. Teraz skonstruowałem go szybko i realistycznie. Nie szukałem bowiem czegoś nieznanego. Byłem niemal pewny, gdzie znajdował się materiał, który chciałem przejrzeć.

Czy czerwieni ciała przeciwstawia się zółć umysłu? Nie, nie tego szukam, Żółta Magia stosuje logikę, której nie znam. Więc co takiego jest przeciwieństwem taumaturgii - nauka? Teurgia\* [\*taumaturgia, teurgia - różne dziedziny okultyzmu (przyp. tłum.)], która dotyczy uczuć, wiary i przesad? Zatem... blekit!

A co stawiloby czoło pomarańczowemu odcieniowi pewności siebie, głębokiemu zaufaniu we własne moce? Moje poszukiwania trwały...

W naturalnym swiecie czlowiek tworzy wszystko na swoj obraz i podobienstwo. A moze nie? Ten, kto stwarza piekno, robi to z pokora, wiedzac, iz jest tylko narzedziem, nie zas prawdziwym stworca. Mozna wypiescic piekno i kochac je. Lecz rezultat tych wysilkow nigdy nie jest taki wspanialy, jaki wydawal sie przed urzeczywistnieniem. Wobec tego tworca jest zawsze poszukiwaczem, nigdy zas pelnym samozadowolenia adeptem, ktory osiagnal doskonalosc wszystkiego.

Tych poszukiwan, zwiazanych ze wszystkim, co wyrasta z ziemi, dotyczyla Zielona Magia.

Blekit i zielen!

Jesli to jest wlasciwa odpowiedz, to jak teraz zastosowac ja w praktyce? Zaraz... Juz gdzies, kiedys widzialem te kolory i byly one wyznacznikiem mocy!

Obraz sie zmienil. Znow kulilem sie na skraju ogrodowej drozki przy Gwiezdnej Wiezy, poprzez wonna gestwe ziol spogladalem na jej wysokie niebieskozielone mury. Tajemnica byla ukryta wlasnie tam, a ja nie mialem do niej dostepu!

Tak bardzo pragnalem poznac ow sekret, ze zatrzymalem w myslach obraz Wiezy. Wyobrazilem sobie, ze ide tamta drozka i wchodze do znajomej komnaty. Zaczalem teraz konstruowac jej wizje. Wygladala tak i tak... Nie moglem uczynic obrazu wyraznym. Falowal jak powierzchnia wody, gdy slizgaja sie po niej wodne muchy. Ta komnata... ona byla wlasnie taka...! Wlozylem cala sile woli w ten jeden wysilek wyobrazni. Daremnie...



To nie była ta komnata, która znalazłem. Wszystko było inne, niż zapamiętałem. Nie zobaczyłem tam loża. Na ścianach wisiały girlandy błyszczących dysków mrugających jakimś wewnętrznym światłem. Trzy osoby stały w środku kregu utworzonego z nanizanych na lancuch takich samych dysków. Linie kregu rozrywały w pięciu miejscach wysokie srebrne świeczniki z zielonymi świecami. Ich płomienie były niebieskozielone, tak jak mury Wieży.

Początkowo postacie wewnątrz kregu były zamglone i niewyraźne. Spojrzałem na płomienie świec, potem znowu na ludzi. Dopiero teraz ich zobaczyłem. Było to tak, jakby rozerwała się jakaś dzieląca nas kurtyna lub zasłona.

Księżycowa Panna! To ona najpierw przyciągnęła moją uwagę. Znowu nosiła spodnice z księżycowych dysków i wisior w kształcie księżycy w nowiu. Jej ciało było równie białe jak linia kregu, w którym stała. W ręku trzymała srebrny pret opleciony księżycowymi kwiatami, które zbierała, gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem.

Obok niej stał nieznajomy, który przedtem miał postać śnieżnego kota. Jego ogorzale ciało było obnażone do pasa. Trzymał w rękach nagi miecz oparty czubkiem o podłogę. Po brzeszczocie przebiegały małymi falami stalowoniebieskie blaski.

Trzecia osoba była kobieta, która najpierw odmówiła mi wstępu do Gwiezdnej Wieży, a potem opatrzyła mi rany. Nie nosiła teraz męskiego stroju, lecz zieloną suknię nowicjuszki, przepasana świeżym pedem winnej latorosli. Takie same pedy z wciąż zielonymi liśćmi wplotła w warkocze spadające jej na plecy.

Wzrok tych trojga kierowal sie do centrum kregu. Podobnie znana mi rozdzka z listkiem na czubku w rece kobiety, ktorej usta sie poruszaly. Pomyslalem, ze spiewa jakis czar lub przyzywala te czastke Mocy, ktora wlada.

Poczulem naraz przemozna potrzebe powiadomienia ich o swoim istnieniu, gdyz czulem sie tak, jakbym stal w tym samym pokoju, wyrzucony na zewnatrz ich czarodziejskiego kregu. Zawolalem wiec... - Spojrzcie na mnie! Jestem tutaj! Ksiezycowa Czarodziejka poruszyla glowa, widocznie uslyszawszy moj niemy krzyk. Zobaczylem, ze mowi, ale nie uslyszalem jej slow, nie zabrzmialy mi tez w myslach tak jak mowa snieznego kota.

Jej towarzysze spojrzeli w moja strone. Na twarzy kobiety odmalowalo sie zdumienie, a mezczyzna uniosl nieco miecz. Pozniej kobieta skierowala na mnie rozdzke i cos powiedziala.

I wtedy zobaczylem owe slowa. Wygladaly jak swiecace skrzydlate owady lecace ku mnie. Potem zgasly i zniknely.

Zdumiala sie jeszcze bardziej. Pospiesznie spojrzala na rozdzke kreslaca w powietrzu jakis wzor. Z zachowania kobiety wywnioskowalem, ze rozdzka dziala niezaleznie od jej woli.

Znow przemowila i mezczyzna zrobil krok do przodu. Podniosl miecz i zwrocil go ku mnie. Nie czulem najmniejszego zagrozenia. Wizja ta wydala mi sie pelna prawdy i autentyzmu. Czulem sie, jakbym byl czescia Gwiezdnej Wiezy, jakby mnie witano z otwartymi ramionami. Musialem tylko tym trojgu dac czas, by to zrozumieli.

Falujace swietlne linie na brzeszczocie rozblysy jeszcze jasniej.

Mknęły coraz szybciej i skapywały z czubka miecza jak małe strużyny. Mężczyzna trzymał poziomo miecz tylko przez moment, po czym opuścił go ku ziemi. Wyglądał na zamyszonego. Potem skinął głową, dając znak Księżycowej Czarodziejce, która podniosła ukwieconą rozdzkę.

Z wnętrza kamiennych kwiatów wytrysły białe kwiatki. Wyglądało to tak, jakby w każdym rozgorzał płomień.

Rozbłysły i zgasły.

Zostałem chyba poddany jakiejś próbie i jej wynik okazał się dla mnie korzystny. Nie bałem się ani nie czułem potrzeby zachowania ostrożności. Rozpaczliwie pragnąłem teraz ich przychylności.

-Jestes tutaj. Czego od nas chcesz? - odezwała się kobieta, a jej słowa zabrzmiały w moim umyśle.

-Chciałbym odwołać się do Niebieskiej i Zielonej Magii, którym służycie i które kontrolujecie, albowiem są również moimi...

Te słowa wyrwały się z najgłębszych otchłani osobowości Kethana.

-Podaj nam swoje imię.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Imię w jakiejś części jest osoba. Nieprzyjaciół może posłużyć się nim jako bronią lub petami.

Od urodzenia nazywano mnie Kethanem. Gdyby Ursilla przeszła na służbę Ciemności, bez trudu mogłaby mnie kontrolować za pomocą mojego imienia. Czy naprawdę jestem Kethanem?

Przez chwile nie bylem tego pewny. Imie to wydalo mi sie niewlasciwe, jakby nie okreslalo mnie prawdziwego. Ale nie znalazem innego.

-Jestem Kethan.

-Gdzie sie znajdujesz? - pytala dalej.

-W Car Do Prawn, w petach czarow Madrej Kobiety.

-Czego od nas chcesz?

-Dowiedziec sie, jak moze sie uwolnic.

-Sadze, ze juz sie wiele nauczyles, odkad stad odszedles - zauwazyla kobieta.

-Powiedziano mi, ze jest klucz i ze mozna go znalezc. Szukalem wiec i odkrylem, ze nie jest nim pas. Znalazlem go w sobie samym.

Kobieta skinela glowa.

-Dobrze sie spisales, Kethanie. - Jej twarz utracila podobienstwo do maski, choc dotad zawsze przybierala taki wyraz, ilekroc sie do mnie zwracala. - Zaszedles daleko i dziwna droga, nie majaca jednak nic wspolnego z Ciemnoscia, Nie wiem, dlaczego twój los zwiazal sie z naszym - musimy sie tego dowiedziec. Lecz to, ze zdolales przybyc do nas w transie wlasnie wtedy, gdy przyzywalismy Moc, dowodzi, iz musimy wedrowac razem, przynajmniej przez jakis czas. Mowisz wiec, ze znalazles sie w petach czarow Madrej Kobiety. - Moja rozmowczyni zmarszczyla lekko brwi. - Opowiedz nam, w jaki sposob cie uwiezila.

Opowiedziałem wtedy o dziwnych świecach w komnacie Ursilli, które - jak przypuszczałem - działały niczym prety klatki.

-Widzę, że zaszedłeś dalej, niż przypuszczaliśmy - zwrócił się do mnie mężczyzna - jeżeli szukasz czegoś, co może pomóc ci uwolnić się z więzienia, i znajdziesz to tutaj. Co zrobisz, jeśli odzyskasz wolność?

-Muszę znaleźć pas...

-To prawda - przytaknął. - Za jego pomocą Ursilla może zrobić z tobą, co zechce, i panować nad każdym twoim ruchem. Czy wiesz, gdzie jest schowany?

-Jeszcze nie. Poszukam go, gdy odzyskam wolność.

-Jeśli będziesz miał czas - powiedziała ostrzegawczo Księżycowa Czarodziejka.

-Muszę choćby spróbować - odparłem.

-Damy ci trochę czasu i pomożemy na tyle, na ile będziemy mogli. - Kobieta spojrzała Zwirolakowi w oczy i przez chwilę wydawali się jednym umysłem i wola. Potem dodała: - Odejdź od nas i spojrż na zaczarowane świece. Posłuż się kluczem, który sam znalazłeś...

Otworzyłem oczy. Byłem znów we wnętrzu gwiazdy, w której zamknęła mnie Ursilla. Odwróciłem głowę i utkwilem wzrok w świecy. Plomien był pomarańczowy... czerwony... ale... Musi się zmienić!

Tak jak przedtem sięgnąłem do wewnętrznych rezerw lamparta,

zeby zmienic postac, tak teraz skupilem cala sile woli na pragnieniu, zeby niebieskozielony plomien zastapil inne odcienie.

Przywolalem sile Kethana i sile lamparta, nakierowalem obie za pomoca woli. Siegnalem az do granic tej mocy... Lecz plomienie nie zmienily barwy. Ja., musze... zrobic... to...

Stalem sie ogniskiem skupionej woli i sil obu mych natur. Daremnie...

Nagle...

Wezbrala we mnie sila. Czulem, ze jestem teraz tylko kanalem, przez ktory plynie. Doznalem dziwnego uczucia, jakby cos sie we mnie laczylo czy mieszalo: bylem Kethanem. Bylem tez lampartem. Bylem jeszcze kims innym: trojgiem ludzi, ktorych zobaczylem w wizji. Spotkaly sie we mnie rozne prady energii, tak odmienne jak ci, ktorzy wyslali je do mnie na pomoc. Nigdy w zyciu nie czulem takiego poparcia innych osob.

Plomien swiecy sciemnial... stal sie purpurowy... Nabieral barwy Ciemnosci? Nie, zmienial kolor, ale od wierzcholka w dol. Niebieskozielona fala splynela wzdluz plomienia, az wreszcie cala swieca przybrala barwe, ktora miala mi przywrocic wolnosc.

Popelzlem ostroznie w strone swiecy. Czy rzeczywiscie rozerwalem zaczarowany krag? Teraz naprzod!

Bylem wolny!

Sprzymierzency, ktorzy napelnili mnie swoja energia, znikneli. Nie moglem ich zatrzymac i gdy mnie opuscili, poczulem sie

dziwnie osamotniony i osierocony. Nie miałem jednak czasu na takie rozmyślenia - powinienem odzyskać pas do powrotu Ursilli. Kiedy go odzyskam, Ursilla nadal będzie groźna, ale wtedy będę już mógł stawiać jej czoło.

Podszedłem do szafki, otworzyłem pazurami drzwiczki. Znalazłem tam tylko to, czego się spodziewałem - skrzynki, butelki, jakies osobliwości, których zastosowania nie znałem. Lecz z wnętrza emanowała aura, która sprawiała, że czulem mrowienie na skórze, moje uszy tuliły się do głowy, a futro na grzbiecie się jeżyło. Nigdy dotychczas nie byłem tak wrażliwy na przedmioty związane z Moca... Wyczułem jednak, że chociaż Ursilla nie przyłączyła się do slug Ciemności, to zapuszczała się dostatecznie blisko ich szeregów w swych poszukiwaniach starożytnej wiedzy, która raczej powinna pozostać w ukryciu.

Nie spodziewałem się bynajmniej, że znajdzie tam lamparci pas, ale było to pierwsze miejsce, które należało przeszukać. Inna możliwa skrytka w zasięgu wzroku wydała mi się szafka ze zwojami runicznymi i podszedłem do niej.

Mimo że posiadałem już pewną wiedzę (może większą niż przeciętny mieszkaniec Arvonu z któregoś z Czterech Klanów, ponieważ lubiłem się uczyć), nie umiałem przetłumaczyć wielu znaków na tych zwojach. W Arvonie istnieją tajemne języki, stworzone przez wieki kontaktów z Moca. Większa część zbioru Ursilli dotyczyła bardzo starożytnej wiedzy.

Mogłem od razu pominąć wszystkie mniejsze zwoje, ponieważ pas można było ukryć tylko w większym. Zacząłem przetrząsać zawartość szafki, rozwijając łapa zwoje, nie zwracając uwagi na ich wiek czy wartość. Gdyby Ursilla ukryła go tutaj, postąpiłaby

bardzo przebiegle, lecz w trakcie poszukiwan uznałem, że jej nie doceniłem. Nie schowała tu pasa. Kiedy wyrzuciłem na podłogę ostatni zwoj, usłyszałem zgrzyt klucza. Odwrocilem się waczac.

Drzwi otworzyły się. Ursilla zrobiła krok do przodu i stanęła jak wryta. Zmrużyła oczy. Popatrzyła na mnie, na zaczarowany krag, gdzie niebieskozielona świeca nadal wskazywała, w jaki sposób się uwolniłem, potem na rozsypane zwoje i... wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się bezgłośnie, trzęsła się cała i wykrzywiła twarz. Poczulem się, jakby z całej siły uderzyła mnie w pysk. Cały mój wysiłek poszedł na marne, a w dodatku się zdradziłem. Odtąd jeszcze łatwiej będzie mogła mna pomiatać.

-Twoje poszukiwania są daremne, Kethanie - odezwiała się w końcu. - Czy sądzisz, biedny głupcze, że tutaj ukryłabym bicz na ciebie? Po tych wszystkich latach nauki u mnie mogłabyś lepiej mnie znać. Chociaż... - Urwała i znowu spojrzała na niebieskozielony płomień świecy - może trochę cie nie doceniłam... Zastanawiam się, gdzie się nauczyłaś tej sztuczki? - Jej wargi wykrzywił grymas, który pewnie uważała za uśmiech. - Nie, nie mamy dość czasu, żeby zająć się tą sprawą. Mam nowiny: panicz Maughus wie, że wszedłeś do Zamku. Przeszukuje pokój za pokojem. Na szczęście...

Nagle szarpnięcie drzwi przerwało jej wypowiedź. Ktoś wszedł do komnaty.

W blasku świec stanęła pani Eldris, patrząc z takim wyrazem twarzy na rozgrywającą się przed nią scenę, jakby na jawie zobaczyła swe najgorsze senne koszmary. Prawa ręka nakreśliła



w powietrzu jedne z tych usuwających moc znaków, których używają pozbawieni magicznego talentu ludzie. Czasami, jeśli wspiera je odpowiedni amulet, mogą chronić przed głębszymi przejawami sił Ciemności.

-Jakie czary rzucasz? - zapytała cienkim, przeraźliwym głosem Madra Kobiete.

-Posługuje się mocą w służbie twego Domu, pani. Przyjrzyj się temu biednemu zwierzęciu, dobrze przyjrzyj! - Ursilla z uśmiechem wskazała na mnie. - Czy możesz nazwać go po imieniu? - Blyszczącymi groźnie oczami obserwowała pani Eldris, jak pies myśliwski spogląda na bezbronna zdobycz. - Myślę, że możesz. To ty jesteś odpowiedzialna za to, że znalazł się pod wpływem czaru. I nie tłumaczy cię, pani, brak talentu. Wiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale to, czego dokonała Moc, Moc może zmienić. Kethan znów stanie się Kethanem. A wtedy uważaj na siebie, pani. Zniszczony czar często poraża osobę, która za czar odpowiada, nawet gdy w jej imieniu zrobił to ktoś inny. Czy chciałabyś pobiec na czterech łapach do lasu, pokryć się sierścią, ratować ucieczką przed myśliwymi? - Podeszła tak blisko do pani Eldris, że prawie dotknęła jej twarzy.

Pani Eldris cofnęła się, nie odrywając wzroku od oczu Ursilli. Wyciągnęła przed siebie bezsilnie ramiona i rzuciła się do drzwi.

-Nie! - wrzasnęła.

Na progu komnaty ktoś stał. W blasku świec zabłysnął obnazony miecz.

-Maughusie! - Pani Eldris przywarła do niego jak oszalała.

Obserwowałem, jak próbuje ją odepchnąć i wymachuje mieczem.

Pragnął mojej śmierci. Warknąłem, przeczając się do skoku. Ursilla odwróciła się ku mnie. Cofnęła się do ściany i zaczęła przemykać się wzdłuż niej, zmierzając w stronę narożnej szafki. Zaglebiła rękę w szafce, w której przechowywała rozrzucone teraz na środku podłogi zwoje.

-Zabij! - smagnęła mnie krzykiem jak batem. - Zabij albo ciebie zabija, głupcze!

Pani Eldris wrzasnęła, rozpaczliwie czepiając się Maughusa, który się szamotał, usiłując uwolnić się z jej uścisku.

-Nie! - krzyknęła. - Ona porazi cię mocą! Maughusie, wezwij łuczników ze srebrnymi strzałami. Stal nic nie robi zmiennokształtnemu...

Przestał się szarpać. Wyrachowanie odbiło się na jego twarzy. Natomiast ja wcale nie byłem przekonany o prawdziwości tego starego wierzenia. Miecz wydawał mi się wystarczająco niebezpieczny i śmiertelny.

-Zabij! - Znowu usłyszałem krzyk Ursilli.

Oburacz szarpnęła narożnik szafki ze zwojami runicznymi. Zaskoczyło mnie to wszystko. Nie rozumiałem, dlaczego nie skorzystała ze swojej mocy. Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie: przed laty jej nauczycielki nałożyły na nią geas, zabraniające krzywdzić kogokolwiek z rodu, który tak długo udzielał jej schronienia. Wiedziałem o istnieniu takich wiezów.

-Zabij! - Kiedy krzyknęła po raz trzeci, straciłem kontrolę nad szalejącym we mnie lampartem. W obliczu niebezpieczeństwa tylko zwierzęce instynkty mogły mnie kierować.

O tym, jak odzegnałem się

od zwierzęcych obyczajów,

i o sekrecie Ursilli

Ursilla rozkazała mi zabić. I gniew ogarnął lamparta. Ale kiedy skuliłem się, szykując się do skoku, w moim umyśle ocknął się znowu człowiek. Jeśli dam się ponieść emocjom zwierzęcym i zabiję... O tak, taki czyn stałby się jeszcze jednym łańcuchem, który skuliłby mnie ze zwierzęcą postacią. Maughus był moim wrogiem i chciał mnie zabić - zgadza się. Lecz takie sprawy należy rozstrzygać w walce, jak człowiek z człowiekiem. Gdybym usmiercił go za pomocą kłów i pazurów, przestałbym być Kethanem. Pani Eldris wrzeszczała na całe gardło. Nawet jeżeli Maughus nie polecił swoim ludziom iść za sobą, to te krzyki na pewno ich sprowadza. Czekala mnie pewna śmierć. A mimo to ukryty wewnątrz lamparta człowiek nie zgadzał się na atak.

Ryknąłem wściekle, gdyż lamparcia natura starała się wyrwać spod kontroli człowieka. Żadne stworzenie nie umiera bez walki. Czy ten stalowy brzeszczot przetrze nic mojego życia? A może w ostatniej chwili będę się jednak bronił?

Tylko fakt, że Maughus musiał podeprzec chwiejącą się na nogach panią Eldris, zaoszczędził mi dalszej rozterki. Z wykrzywioną grymasem nienawiści twarzą, nienawiści równie głębokiej i zapiekłej jak targające lampartem uczucie, wycofał się

z komnaty. Pani Eldris czepiała się go, płacząc i krzycząc, żeby zaczekał, żeby pozwolił, żeby słudzy się ze mną rozprawili.

Szamotała się i ciągnęła go do tyłu. Uwolniłby się, gdyby ją uderzył, ale na to nie pozwoliłby sobie nawet w gniewie. Gdy oboje znaleźli się za progiem, usłyszałem wypowiedziane przez Ursillę zaklecie. Drzwi zatrzasnęły się same.

-Dlaczego nie zabijesz?

Odwrociłem głowę. Madra Kobieta uparcie szarpała ciężką szafkę ze zwojami. Ciało miała aż wygięte z wysiłku, gdy próbowała odsunąć od ściany wysoki mebel.

Warknałem, gdyż nie mogłem już odpowiedzieć jej ludzkimi słowami. Przynajmniej ta część jej czaru zawiodła.

-Teraz musisz zabić, albo ciebie zabiją - ciągnęła Ursilla. - Chociaż Maughus popełnił dzisiaj błąd większy, niż mu się wydaje. A Eldris... Tak, pani Eldris również za to odpowie!

Nagle rozległ się głośny zgrzyt, który na chwilę zagłuszył nawet rosnący hałas za potężnymi drzwiami. To ludzie Maughusa szykowali się do wylamania przeszkody.

Skupiłem swoją uwagę na Ursilli. Jakis ukryty zatrząsk zareagował wreszcie na jej szarpanie i szafka otworzyła się, a wewnątrz, zamiast zwojów, ujrzałem następne drzwi. Teraz Ursilla pospieszyła do szafki pod ścianą. Do podolka zaczęła wrzucać różne skrzyneczki, flaszki, zawiniatka, dokonując zarazem błyskawicznego wyboru w swoich zbiorach.

Na samym koncu schwycila rozdzke. Wskazala nia najpierw na mnie, a pozniej na ukryte w szafie drzwi.

-Wejdz tam! - rozkazala.

Juz od dawna przypuszczalem, ze kazdy Zamek, a zwlaszcza tak stary jak Car Do Prawn ma wlasne sekrety, nie mialem jednak na to zadnych dowodow. Ursilla dobrze wykorzystala spedzone tutaj lata i doskonale wiedziala, dokad idziemy.

Ludzie Maughusa coraz mocniej walili w drzwi. Klamka juz wypadla. Tylko czar Ursilli je trzymal w miejscu. Kto wie, jak dlugo sie utrzyma?

Wsunalem sie do szafy i jednym skokiem znalazlem sie na prowadzacych w dol schodach. Tunel byl ciasny i waski, widocznie biegł wnetrzem muru. Idac muskalem barkami sciany. Zobaczylem za soba swiatlo: to swiecil czubek rozdzki Madrej Kobiety. Nie bylo tu nic godnego uwagi, tylko chropowate, ciemne, kamienne bloki i zdajace sie bez konca stopnie schodow.

Bardzo szybko znalezlismy sie pod powierzchnia ziemi, poza obrebem Zamku. Tunel wciaz sie obnizal. Uslyszalem za soba odbijajacy sie echem, przygluszony glos Ursilli:

-Dzielny Maughus! Wlamie sie do srodka i nic nie znajdzie. Jego poplecznicy wtedy zaczną szeptać, że Madra Kobieta może wymknąć się takim niezdarom wyłącznie dzięki mocy. Bada patrzyli na Maughusa z ukosa i wypatrywac cieni w jasny dzien. Czlowiek bowiem marzy o cudach i zapelnia nimi swoj swiat dopoty, dopoki nie zobaczy ich na wlasne oczy. Nie, nie sadze,

by Maughus miał spokojny sen tej nocy.

Wydusiła z siebie zgrzytliwy chichot, który wydał mi się gorszy od przekleństw. To był jej śmiech.

-Tak" tak. Ani Maughus nie zazna odpoczynku, ani zaden z mieszkancow Zamku. Sprawie, ze zaznaja niepokoju na wiele sposobow.

Później przestałem ją rozumieć, gdyż jej mamrotanie przeszło w dziwną monotonna piosenkę. Włosy zjeżyły mi się na grzbiecie i omal nie zamiauczałem na znak protestu. Powstrzymałem się w ostatniej chwili, bo uznałem, że im dłużej będzie wykorzystywała swoje umiejętności do unieszczęśliwiania Maughusa, tym lepiej dla mnie. Da mi spokój i nie będzie się starała jeszcze bardziej mnie podporządkować.

Dobrze widziałem jej niezadowolenie, gdy nie zaatakowałem Maughusa. Czekaj mnie za to kara. Odtąd będzie podejrzliwie śledzić każdy mój ruch i nigdy w pełni nie zaufa swej władzy nade mną. A to może w końcu spowodować, że rzuci na mnie takie czary, iż już nigdy nie zdołam się wyzwolić. Jeśli o mnie chodziło, to ta wędrówka przez podziemia Car Do Prawn była tylko krótkim wytchnieniem między naszymi potyczkami.

Byliśmy już tak głęboko pod ziemią (nawet poniżej urządzonych w piwnicach spichlerzy Car Do Prawn), że nie mogłem sobie wyobrazić, co znajdziemy na końcu. Ten sekretny tunel z pewnością nie służył jako droga ucieczki dla obleżonych, gdyż miałby jakieś wyjście bliżej powierzchni ziemi.

Podłoga wydawała się wilgotna, a w powietrzu wisiał dżazniacy

zapach, który stawał się coraz mocniejszy. Można było jednak swobodnie oddychać. Najwyraźniej znajdowały się tu ukryte przewody wentylacyjne. Im dłużej szliśmy, tym większej nabierałem pewności, że zbliżamy się do jakiegoś miejsca Mocy.

Nie wyczuwałem ani zła emanującego z każdej siedziby sług Ciemności, ani spokoju promieniującego z takich miejsc jak Gwiezdna Wieża. Było to coś zupełnie innego, coś wywołującego przygnębienie i rozpacz. Miałem wrażenie, że w tym jednym miejscu koncentruje się ciężar niezliczonych stuleci.

Ursilla przestała śpiewać i szła w milczeniu. Słyszałem tylko szelest jej sukni muskającej ściany. Świecąca bladym blaskiem rozdzka nadal oświetlała drogę.

Kiedy już zacząłem wierzyć, że schody zaprowadzą nas do legendarnego Środka Ziemi, z którego dawno temu miało wyjść wszelkie życie, zakończyły się korytarzem.

Korytarz był niewiele szerszy od schodów i powoli się obniżał. Gładkie ściany zdobiły rzeźbione kasetony. W żadnym z kasetonów nie dostrzegłem nic znajomego. Zresztą, nawet moje lamparcie oczy nie zdawały egzaminu w tym półmroku.

W zagłębieniach i wyzłobieniach płaskorzeźb zgromadził się kurz. Korytarz też był nim pokryty, ale dostrzegłem w pyłach krzyżujące się ślady. Nie byliśmy pierwszymi osobami, które szły tu. Rosło we mnie przekonanie, że jest to obce miejsce, które źle przywita intruzów. Musiało być znacznie starsze od Car Do Prawn, może powstało w Pierwszej Epoce Arvonu, przed wojną Ostatnich Władców. Myślałem, że niewielu ludzi umiałoby obliczyć jego prawdziwy wiek.

-Zatrzymaj sie! - Glos Ursilli zaskoczył mnie, gdyż zdążyłem już przywyknąć do jej milczenia i do panującej w tym miejscu ciszy. - Tutaj ja muszę prowadzić.

Przebiegła obok mnie i poszła przodem. Szła zwawym krokiem, jakby długa droga wcale jej nie zmęczyła, mimo że w podolku dźwigała duży ciężar. Kiedy ustawiła rozdżkę prawie poziomo, zobaczyłem w bladym świetle, że przed nami są rzezbione odrzwia, a za nimi mrok.

Dalej rozciągała się, jak osadziłem, wielka przestrzeń. Blask rozdżki sięgał tylko na odległość ramienia, a reszta toniła w aksamitnych ciemnościach. Moje łapy zaszurały na niewidocznej podłodze, kroki Ursilli zaś obudziły echo. Otaczała nas pustka, ale Madra Kobieta bez wahania ruszyła prosto w mrok, jakby bardzo dobrze знаła drogę i widziała cel naszej wędrowki.

Tutaj ciężar obcości przygniatał umysł, zwalniał bieg myśli. Z każdym krokiem czułem coraz większe zmęczenie. Nadal próbowałem badać otoczenie swymi magicznymi zmysłami, choć jeszcze nie za dobrze umiałem się nimi posługiwać. Nie wyczułem emanacji ani zła, ani tego, co zwykliśmy nazywać dobrem. Tak, to było miejsce Mocy, lecz z takim jej rodzajem nigdy się nie zetknąłem, ani o nim nie słyszałem. To było coś nieznanego w naszym świecie.

Prawie podskoczyłem na dźwięk głosu Ursilli. Tym razem nie zwróciła się do mnie. Wydawała dziwne, niewyraźne, syczące dźwięki, niepodobne do żadnego znanego mi języka. Nie była to piosenka, gdyż wymawiała je bez żadnego rytmu. Wydawało się raczej, że rozmawia z kims niewidzialnym, czeka na odpowiedź, po czym znów się do niego zwraca. Z ciemności nie



odpowiedział jej zaden dzwiek. Poplynela tylko ku nam fala chlodu i otoczyla nasze ciala jakby zamykajac we wnetrzu gigantycznej, lodowatej dloni. Ciche zawodzenie wiatru przywodzilo na mysl wyobrazenie czegos niecielesnego, obcego, pozostajacego poza swiatem, ktory znalazem.

Nadchodzi chwila, w ktorej przestajemy sie bac. A moze to niesamowite miejsce rzucilo na nas jakis czar, wiec strach nie zdolal sie zagniezdzić w moim mozgu? Nie balem sie, ale i nie czulem ciekawosci. Zaakceptowalem wszystko, co tu sie znajdowalo, jako czesc odmiennosci tego miejsca, gdyz nie nalezalo do mojego swiata.

Rozdzka w reku Ursilli zakolysala sie z lewa na prawo. Z jej czubka strzelila ognista strzala i czegos dotknela. W odpowiedzi to cos rozjarzylo sie najpierw na wprost nas, a potem z lewej i prawej strony. Rozblysla przed nami prawdziwa wysepka swiatla.

I tak weszliśmy do swietlnego kregu. Tworzyly go wyrzezbione w skale posagi istot, siedzacych na kamiennych blokach. Zwrocone do wewnatrz, lecz... bez glow!

Miejsce glow zajmowaly gladkie owalne klosze. Mowie "klosze", poniewaz wykonano je z jakiejś substancji, wewnatrz ktorej poruszalo sie swiatlo, ukkladajace sie w najrozniejsze wzory. To owe klosze oswietlily to miejsce.

Rozniecony przez rozdzke Ursilli blask przenosil sie z jednej postaci na druga, az wszystkie ukazaly rozjarzone, lecz gladkie oblicza.

Kazdy z kloszy mial ozdobne przybranie i kazde roznilo sie

czyms od pozostałych. Posagi wyglądały na pierwszy rzut oka na wizerunki ludzkie. To co mogłoby być inne, skrywało się pod fałdami płaszczy. Każda postać wyciągała przed siebie reke (mówię "reke", mimo że bardziej przypominała szpony, gdyż tak cienkie były palce) trzymająca jakiś przedmiot, a każda inna. Tutaj była to wierzysta kula, tam rozdzka podobna do tych, których używały Madre Kobiety, owdzie zaś rozkwitły kwiat. Postać, przed którą zatrzymała się Ursilla, miała w rece małą jak zabawka figurkę człowieka, zwisającego bezwładnie z dłoni, martwego albo jeszcze nie obdarzonego życiem. Widok ten wstrząsnął mną, wyrывая mnie z okowów rzuconego czaru. Znaczyłby bowiem, że ludzie są tylko zabawkami sił wyobrazonych przez pozbawione twarzy postacie. Ta aluzja do niewoli wzbudziła we mnie gwałtowny protest.

Ursilla ukleknęła na podłodze. Nie, nie po to, by złożyć hołd niesamowitej postaci, ale by wyjąć z podolka zawiniątka, butelki i pudełka zabrane z Zamku. Zdawało się, że nie zwraca uwagi na świecące kłosze-nietwarze. Ja przeciwnie i coraz mniej mi się to wszystko podobało.

W samym środku kregu znajdowało się wykute w kamieniu palenisko. Zgromadzony tam popiół wskazywał, że Ursilla zapewne nie po raz pierwszy z niego korzystała. Byłem głęboko przekonany, że kontaktowała się z czymś, co raczej należało pozostawić w spokoju.

Czym była ta trwająca tu siła? Nie Cień i nie Światło. Coś tak starego i pierwotnego, że istniało poza granicami dobra i zła. Powstało w czasach, kiedy dobro i zło jeszcze się nie narodziło, żeby toczyć wieczną wojnę w ludzkich sercach. Czerpanie takiej siły byłoby naprawdę nieroztropnością. To ambicje Ursilli ją do

tęgo skloniły; mój lek przed nią i niechęć, która do niej zwykłym, zamieniły się teraz w strach i nienawiść.

Pragnąłem stąd uciec, odetchnąć świeżym powietrzem. Niestety, nic z tego. Byłem tu uwięziony tak samo jak w ciele lamparta. Podniosłem oczy na jeden ze świecących kloszy, a potem szybko je odwróciłem. Migotliwe, rozplywające się wzory, barwy przenikające płynnie jedna w drugą z wielką szybkością wydały mi się niebezpieczne, wręcz hipnotyzujące.

Krzacz nerwowo wokół kregu, unikając Ursilli, jak gospodyni domowa zajętej ustawianiem czarodziejskich przyborów, słyszałem - w mózgu, tak jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną Zwierzolak - daleki szept, nie dość jednak głośny, bym go zrozumiał.

Ursilla wybrała to, co uznała za potrzebne, podeszła do paleniska i wsypała tam kilka garści suszonych, startych na proszek ziół. Robiła to bardzo ostrożnie, jakby liczył się każdy pyłek. Otarła potem ręce o suknie i po raz pierwszy podniosła na mnie wzrok.

-To, co zostanie zrobione, będzie dobrze zrobione - powiedziała tajemniczo. - Moja moc przyprowadziła mnie tutaj przed wielu laty. Potem w najstarszym naszym zwoju runicznym znalazłam wyjaśnienie zagadki tego miejsca. Zanim tutaj przybyliśmy - a jesteśmy znacznie starsi, niż wskazywałaby na to nasza rachuba czasu - Arvon zamieszkiwali Inni. Służyli swoim własnym celom i byli tak potężnymi władcami mocy, że nie możemy sobie tego wyobrazić. Ich czas przeminął, ale po sobie pozostawili źródła energii, może osłabione i częściowo wyczerpane, ale nadal potężniejsze niż to, co tu i teraz mogą przywołać nawet Głosy Mocy czy Słudzy Ciemności. Czekalam i uczyłam się. - W jej

glosie brzmialy nutki triumfu. - Wiem, czego tutaj mozna dokonac, jezeli uzywa sie magii. A uzywa sie tak, jak ja jej uzyje!

Mysle, ze nie starala sie wyrzec na mnie specjalnego wrazenia. Jej twarz rozswietlal jakis wewnetrzny ogien, jakby skora przeejala nieco blasku od pozbawionych rysow twarzy, ktore nas otaczaly.

-Musimy teraz poczekac - ciagnela Ursilla. - To wszystko nie jest latwe. Musi nadejsc wlasciwa godzina i musza przybyc ci, ktorych wezwalam, zeby wzeli w tym udzial.

Wrocila do swych skarbow. Z jakiegos woreczka wyjela brunatny suchar, ktory przelamala na pol. Chrupiac swoja polowke, rzucila druga mnie.

-Jedz!

Nie chcialem miec z nia nic do czynienia, ale musialem zachowac sily. Zmiazdzylem suchar w zebach i polknalem za jednym zamachem. Dla lamparta byl zupełnie pozbawiony smaku; rozpoznalem w nim jednak chleb podrozny, calkowicie zastepujacy wedrowcom wszelkie normalne pozywienie.

-Ona wkrótce przyjdzie - Ursilla zatarła rece. - Rzucony na nia czar ja przyciagnie. Wtedy sie zacznie. Ach, coz to bedzie!

Siedzac u stop posagu trzymajacego w reku figurke czlowieka, oparla czolo na kolanach. Moze spala, moze wpadla w trans. Polozylem sie najdalej, jak to tylko bylo mozliwe. Zdawalem sobie sprawe, ze wedrowka w ten mrok na nic sie nie zda. To miejsce zatrzyma mnie tak dlugo, az jej czary pozwola mi stad odejsc. Zreszta w owej chwili nie osmielilem sie oddzielic w sobie

człowieka od zwierzecia. Wyczuwałem wokół siebie zbyt silny wpływ Starszych Sił i nie dowierzałem im.

Może i ja także zasnąłem, albo czar wprowadził mnie w stan podobny do snu. Ocknałem się szybko, nie wiedząc, jak długo byłem nieprzytomny. Ursilla podniosła się i stanęła w pobliżu mnie, wpatrzona oczekująco poza krąg.

Nastawilem uszu. Dobiegł mnie cichy odgłos kroków i lekki szmer kobiecych sukni. Stawały się coraz głośniejsze.

Wreszcie w świetlny krąg weszła pani Heroise. Twarz miała ściągnięta i zmizerowana. Wyglądała znacznie starszej niż zwykle, starszej nawet niż jej matka. Utkwilem wzrok w tym, co trzymała przed sobą w palcach w taki sposób, jakby brzydziła się nawet jego dotykiem.

Lamparci pas! Pas, który przyciągnął mnie z powrotem do Car Do Prawn!

Na ten widok nie mogłem powstrzymać się od warknięcia. Zerwałem się, szykując się do skoku...

Ursilla machnęła ręką, jakby coś na mnie rzuciła. Cokolwiek to było, sparalizowało mnie i nie mogłem się ruszyć z miejsca.

Moja matka patrzyła przed siebie nie widzącymi oczyma. Szła jak zaczarowana lub uspiona. Kiedy Ursilla odebrała jej z rąk pas, pani Heroise drgnęła i rzuciła wokół siebie błędnym wzrokiem. Na jej twarzy pojawił się strach.

-Ursillo! - Paplala szybko. - Maughus i Eldris oszaleli! Wdarli się

do twojej komnaty, Maughus rozkazał zniszczyć wszystko, co tam było. Kiedy jego ludzie nie chcieli go słuchać, sam wyrzucił wszystko przez okno na dziedziniec, potem własnoręcznie ułożył w stos i podpalił. Nie rozstaje się z mieczem, żeby zabić Kethana, gdy tylko go spotka. Uważa, że ma do czynienia ze sługą Ciemności. Wysłał też umyślnego do Car Do Yelt, gdzie podobno przebywa ten, który rozmawia z Głosami Mocy. Zaprosił go, by przybył i oczyścił Zamek. Zachowuje się jak szaleniec! Nie cofnie się przed zabójstwem krewnego. Ursilla nie przejęła się jej słowami.

-Nie można bezkarnie grozić Madrej Kobiecie. Maughus ma przy sobie niewidzialnych towarzyszy, Heroise.

Pani Heroise wzdrygnęła się.

-Sprawiasz, że przekroczył granice strachu. Już się nie boi, tylko nienawidzi... i chce zabijać.

-Niech się wścieka, nie zostało mu już dużo czasu - odparła spokojnie Ursilla. - Nawet jeśli znajdzie sekretne przejście, nie wejdzie tu, dopóki na to nie pozwolę. Są tam strażnicy, którzy to uniemożliwią. Nie trzesz się, kobieto, nadeszła godzina, na którą obie od dawna czekałyśmy. Chciałaś rządzić Car Do Prawn. A ja ci powiadam, że będziesz rządzić większą częścią Arvonu. Moja matka najpierw zalamala ręce, potem otarła je o spodnice, jakby chciała pozbyć się śladów, które lamparci pas na nich pozostawił. Rozejrzała się wokół ze zdziwieniem i znowu zwróciła się do Ursilli:

-Ursillo, Czarodziej! Postawiłam karty i Czarodziej leży w Osmym Domu Kethana. To znak, to znak...

-To znak przyszłej wielkości. - Madra Kobieta wzruszyła ramionami. - Już mi o tym mówiłaś, a ja ci wyjaśniłam, co taka wroźba może oznaczać. Głupio robisz, upierając się przy swoich rzekomo wielkich proroczych zdolnościach. Nie potrzeba nam takich znaków i zapowiedzi. A już na pewno nie tutaj, gdzie spłynie Moc. Zaraz ją obudzimy.

-Nie chce... - zaczęła moja matka. Łzy popłynęły jej z oczu, stoczyły się po policzkach i zwilżyły usta, gdy dodała: - Ursillo, proszę cie... To miejsce mnie przeraża!

-Przedtem nie dreczyły cie takie niepokoje... Teraz jest na to za późno, pani! Nie ma drogi odwrotu... - Ursilla wzruszyła ramionami.

Matka otarła łzy, rozmazując je na twarzy jak mała dziewczynka. Może ten obraz powinien być wzbudzić moją miłość... Lecz w owej chwili nie czułem nic, gdyż to jej ambicja i żądza sięgnęły na nas to wszystko.

O tym, jak Ursilla odczytywała runy

i wysłała mnie z rozkazem

Madra Kobieta poruszała się pewnie, ze swobodą kogoś, kto dobrze wie, co ma zrobić. Powoli obeszła w krąg siedzące postaci, zatrzymując się na chwilę przed każdą i wpatrując w zmienne, wypełnione światłem kłosy, które zastępowały im twarze. Przyglądała im się tak uważnie, jakby w nieprzerwanym falowaniu zmieniających się barw odczytywała jakieś przesłanie. W końcu znów znalazła się przed postacią trzymającą człowieka-zabawkę. Wyciągnęła zza pazuchy mały koscian

gwizdek, zawieszony na srebrnym lancuszk. Przylozyla go do ust i wydobyła z niego dziwny, niesamowity gwizd, od ktorego aż zaswidrowalo mi w uszach. Chcialem ryknac na znak protestu, lecz nie moglem.

A wtedy...

Gdzies z oddali dotarla cicha odpowiedz. Z oddali...?

Moze z innego czasu. Ursilla trzykrotnie zagwizdala i trzykrotnie otrzymala odpowiedz. Za kazdym razem odpowiedz byla glosniejsza, jakby ten ktos sie zblizal.

Odwrocila sie i skierowala rozdzke na wypelnione ziolami palenisko. Strzelil z niej oslepiajacy ogien. Zawartosc zapalila sie na pare chwil. Plomien przygasl i buchnelo kleby dymu.

Zimny wiatr, ktory nas owional wktrotce po przybyciu, dawno temu ucichl, powietrze stalo tu nieruchome i martwe. A mimo to dym pelzil ku postaci z czlowiekiem-zabawka, owinal ja wokol, wreszcie skryl calkowicie przed moim wzrokiem. Tylko rozjarzona gladka glowa pozostala widoczna. Wirujace w niej kolory staly sie jaskrawsze i wyrazniejsze i coraz szybciej zmienialy odcienie. Wpatrywalem sie w nia, az przyszlo mi do glowy, ze ta starozytna sila wlasnie tak mogla torturowac swoje ofiary. Oderwalem wiec wzrok od mamiacych blyskow i pochylolem glowe.

Ursilla upuscila gwizdek, ktory zawisl na jej piersiach jak wisior w ksztalcie nowiu u Ksiezycowej Czarodziejki...

Ksiezycowa Czarodziejka!



W chwili gdy zobaczyłem ją oczami wyobraźni, zrozumiałem, że nie wolno mi w tym miejscu wspominać ani jej, ani kogokolwiek z Gwiezdnej Wieży. Wstrzasnęło mnie to. Czy siły, które Ursilla tak nierozwaznie przywołała, mogły sięgnąć aż do Wieży i zniszczyć spokój lesnego schronienia? Nie byłem tego pewien, ale na wszelki wypadek nie chciałem ich wspomagać bezmyślnym postępowaniem.

Chude ciało Ursilli kołysało się na boki, ale jej stopy pozostawały przywarłe do posadzki. Chmura dymu kołysała się razem z nią, wysyłając wokół macki. Przez chwilę zawisły w powietrzu, po czym rozdzieliły się i otoczyły po kolei wszystkie posagi, zamykając nas szarym murem. Kiedy znikła ostatnia przerwa w wonnej ścianie, dym przestał unosić się z paleniska, w którym pozostał tylko popiół.

Teraz jarzyły się już wszystkie kłosze-głowy. Moja matka dyszała ciężko. Zapach strachu otulał ją jak szarpany wiatrem płaszcz. Po chwili...

Znikł nawet cień strachu, a z nim znikła jej własna osobowość. Kiedy zwróciłem ku niej głowę, stała utkwivszy w oddali puste spojrzenie. Lecz jej ciało kołysało się w doskonałej harmonii z ciałem Madrej Kobiety. Czy pani Heroise chciała, czy nie, stała się teraz fragmentem planu Ursilli.

Ale ja nie. Coś we mnie uparcie sprzeciwiało się czarom. Wiedziałem, kim jestem i dlaczego tu jestem. Powtarzałem to sobie w myśli, odwróciwszy wzrok od plonących kłoszy. Na Ursille i matkę tylko zerkalem kątem oka, w obawie, by nie zahipnotyzował mnie ich rytmiczny ruch.

Madra Kobieta podniosła rozdzkę. Tym razem nie strzelił z niej ogień. Trzymając ją jak olbrzymie pióro, zaczęła coś pisać na dymnej zasłonie. Nie wiem czy otrzymała jakas na to odpowiedz.

Rzucałem w jej stronę ukradkowe, szybkie spojrzenia i natychmiast odwracałem wzrok. Wszystkie jej gesty i działania wydawały mi się bezsensowne.

A przecież wyczuwałem działanie jakiejś siły: swędziała mnie skóra, a fala zimna sparalizowała mi grzbiet i nogi. Miałem ochotę podnieść głowę i zawyc ze strachu. Ta siła była najpierwotniejszym żywiołem. Równie dobrze mogła zostać wycisniona z otaczających nas starożytnych skal. Nie miała nic wspólnego z naszym gatunkiem. Nie wierzyłem też, by mógł nią kierować ktoś taki jak Ursilla. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby siedzące nieruchomo postacie wstały i rozdeptały nas za naruszenie ich spokoju.

Ramię Ursilli opadło bezwładnie, rozdzka stuknęła o podłogę. Dym rzedł, cofał się i rozpraszał w mroku. Moja matka krzyknęła cicho.

Osunęła się na kolana i ukryła twarz w dloniach. Wstrzasaly nią gwałtowne dreszcze. Lecz Madra Kobieta nadal stała prosto naprzeciw postaci, która... może obudziła?

Wreszcie odwróciła się powoli. Jej twarz stezała niby maska. Nigdy nie widziałem takiego błysku, jaki pojawił się w szeroko otwartych oczach Ursilli. Zdawało się, że gromadziły się w nich te same przelewające się barwy, jak w rozjarzonych obliczach kamiennych postaci.

Przemowila, a glos miala tak spokojny i obojetny, jakiego dotad nie uslyszalem z ust zadnej znanej mi ludzkiej istoty.

-Zaczelo sie i dobrze sie zaczelo. Teraz ty masz cos do zrobienia.

Podniosla rozdzke i skierowala ja nie na pania Heroise, czego oczekiwalem, lecz na mnie. Calkowicie zaskoczony, nie moglem sie przed nia obronic.

Tym razem rozdzka nie rozblysla plomieniem. Dotarl do mnie i wryl sie w moim umysle rozkaz i wiedza, jak mam go wykonac. Nie bylem w stanie sie przeciwstawic. Ursilla kontrolowala mnie calkowicie: zarowno lamparta, jak i czlowieka.

-Idz!

Rozdzka znow wskazala ciemnosc za plecami postaci, ktorej Ursilla zlozyla hold.

Wydalo mi sie, ze Kethan i lampart zlaly sie w trzecia istote, posluszna tylko Ursilli. Kethan obserwowal wszystko w taki sposob, jakby stal przy oknie wieziennej celi.

Wbiegalem w mrok, tak jak mi rozkazala. Swiatlo rozdzki juz nie oswietlalo mi drogi. Nie potrzebowalem go. Wyczucie kierunku bylo nieodlaczna czescia rzuconego czaru. A czar ten ciagnal mnie tak, ze czulem sie jak na smyczy.

W odwiecznej pieczarze panowal mrok, aksamitny mrok, jakiego nie widzialem nawet w ksiezycowa noc. Byla pewnie przeogromna, bo mialem stale wrazenie, ze nigdy jej nie

opuszcze, mimo najszybszego biegu.

W koncu dotarlem do jej przeciwnego kranca i zwolnilem nieco, gdyz na oslep wpadlem na prowadzaca w gore droge. Tym razem nie byly to schody, lecz ciag przedzielonych podestami pochylni, w dodatku coraz bardziej stromych. Bieglem najszybciej jak w tych warunkach moglem, pnac sie coraz wyzej i wyzej w ciemnosci.

Im bardziej oddalalem sie od niesamowitej swiatyni, tym lzejszy stawal sie moj ciezar. Rozerwac geas, ktory nalozyla na mnie Ursilla? Nie, nie potrafilem tego. Moglby to zrobic tylko ktos dobrze obeznany z magia. Jesli w ogole bylo to mozliwe... Ursilla wykula go poslugujac sie wiedza dawno zapomniana. Moglem jednak znow swobodnie myslec, moze nawet znalezc sposob na pokrzyzowanie planow Madrej Kobiety.

Ta droga nie prowadzila mnie do Zamku ani nawet w jego poblize. Nie powinienem sie zatem obawiac Maughusa. Lecz w jakis sposob trzeba bedzie obejsc rozkazy Ursilli. Powinienem wiec oszczedzac sily na ten jeden decydujacy moment.

Do gory, wciaz do gory. Jak dlugo tu jestesmy? Kiedy dotre na powierzchnie? Bieglem w glebokich ciemnosciach. To przejscie i mrok zdawaly sie nie miec konca.

Az wreszcie - daleko w gorze - zobaczyłem szarawy blask jak swiatlo jedynej gwiazdy na nocnym niebie. Wiec jednak! Przyspieszyłem kroku. Lapy bardzo mnie już bolaly i brakowalo mi tchu.

Szara kropka stala sie wyrazniejsza i pojasniala. Ale nie

wygladala ani na blask slonca, ani nawet na swiatlo dzienne. W kazdym razie tam bylo wyjscie na powierzchnie ziemi. Wreszcie wbiegłem na najbardziej stroma z pochylni i otoczył mnie - zmierzch.

Lagodne pagorki zajmowały wieksza czesc horyzontu. W zboczach tkwily tu i owdzie obrobione bloki kamienne, bardzo zniszczone przez czas. Mogly to byc ruiny jakiejs bardzo starej i zapomnianej swiatyni czy zamku. Odwrocilem lew i przyjrzałem sie uważnie wyjściu z podziemnego tunelu. Ciemny otwór w pagorku nie miał w sobie nic nadzwyczajnego.

Jednak nałożony na mnie geas nie dał mi czasu na dokładniejsza penetracje okolicy. Niewidzialna smycz znow szarpnela. Musze isc dalej, az znajde to, czego Ursilla potrzebuje, zeby zakonczyc swoje czary. Czary niezbedne do spelnienia jej zyczen.

Gdziej... jest ktos... kogo musze sprowadzic... lecz nie dosc, ze nie znam jej imienia, to nawet nie wiem, jak wyglada. Geas zaprowadzi mnie do niej. A wtedy... musze ja zabrac do Ursilli.

Tak jak niegdys czlowiek powstrzymal lamparta, gdy Madra Kobieta zawolala "Zabij!", tak teraz wszystko, co bylo mna, zarowno czlowiek jak i zwierz, nie zamierzalo wykonac tego rozkazu. Ale jeszcze na to nie pora. Instynkt lub ten nowy zmysl, zbudzony, gdy szukalem w sobie klucza do zmiany postaci, podpowiedzial, a raczej ostrzegl: nie trac sil na przedwczesna walke, przygotuj sie, czekaj stosownej chwili.

Biegłem szybko w mroku nocy, skrecając co jakis czas, jakbym zweszył wyraźny trop - i zawsze kierował mna geas. Okolica była

mi całkiem obca, nie miała w sobie nic znajomego. Znalazłem się widac znacznie dalej na wschod niż kiedykolwiek.

Pozostawiłem za sobą pagórki i otoczyły mnie drzewa. W lesie było bardzo cicho. Nie słyszałem żadnego ruchu. Nic, tylko martwa cisza. Wydawało się, że życie całkowicie porzuciło ten obszar.

W natrafionym po drodze źródle zaspokoilem pragnienie, zmyłem z pyska i gardła kurz wielkiej pieczary. Nie czułem głodu i nic mnie nie boleło. Na niebo wypłynął cieniutki sierp księżyca. Zrozumiałem, że w podziemnej jaskini spędziliśmy znacznie więcej czasu, niż sadziłem.

Księżyc nie oświetlał mi wprawdzie drogi, ale moje lamparcie oczy dobrze się spisowały w mroku i nie potrzebowałem przewodnika. Dwukrotnie ominąłem miejsca, od których buchał smród Ciemności, gnilny odor rozkładu. Wzbudziły we mnie taką nienawiść, że mijając je warknałem wściekle. Niestety, byłem bezradny.

Nie próbowałem odgadnąć, jakie kryły się w nich niebezpieczeństwa. Nie chciałem też ani nie miałem czasu ich badać. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że coraz liczniej i szerzej rozprzestrzeniały się w lesie.

W długich skokach niknałem tak przez obcy las i dopiero gdy dotarłem do znajomej rzeki, zorientowałem się, dokąd mnie wysłano: z powrotem w stronę Zamku! Kogo miałem odszukać? Maughusa? Eldris? Może Thaney? Nie cierpiałem całej tej trojki, lecz w ostateczności - jeśli inaczej się nie da - będę walczyć w ich obronie. A może zdarzy się tak, że ja, Kethan - umrę, choć

moje ciało pozostanie przy życiu.

Przebiełem rzekę skacząc z jednego kamienia na drugi i dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że Ursilla nie wysłała mnie bynajmniej do Car Do Prawn. I wtedy nagle zrozumiałem...

Do Gwiezdnej Wieży!

Czy Ursilla odgadła lub dowiedziała się za pomocą czarów, że to mieszkańcy Wieży pomogli mi w ucieczce z zaklętej gwiazdy? Czy chciała się na nich zemścić?

Spróbowałem przejąć kontrolę nad ciałem lamparta. Ale bez powodzenia. Chociaż warczałem i parskalem z gniewu i wściekłości, nadal biegłem prosto do tych, którym nie chciałem wyrządzić żadnej krzywdy. Zamiany Ursilli tak mnie przeraziły, że gdyby w owej chwili stanął przede mną Maughus z obnażonym mieczem, dobrowolnie skoczyłbym na śmiercionośny brzeszczot.

Postanowiłem ostrzec mieszkańców Wieży za pomocą myśli. Nie umiałem kontaktować się z innymi umysłami, ale miałem nadzieję, że system obronny Wieży odkryje moją obecność i wszystkich zaalarmuje.

Raptem, ostra jak pchnięcie miecza odpowiedź przeszła mi przez mózg.

-Wiemy o tym.

Zwierzołak! Nawiązał ze mną łączność!

-Zabij mnie! - poprosiłem w myśli. Lepiej, żeby zginął, niż żeby Ursilla zdołała zrealizować swe potworne plany. Nie znałem ich;

wiedzialem tylko, ze musze wrocic z kims, kogo wybrala. Reszty moglem sie domyslac.

-Chodz...

Tym razem nie odezwal sie sniezny kot, tylko kobieta z Gwiezdnej Wiezy. Nie wolno zrobic wylomu w systemie obronnym... - przypomnialy mi sie jej slowa.

Goraczkowo probowalem ukazac zwiazane ze mna, grozace im Zlo. Nie mialem pojecia, jak wielka moca Ursilla mogla wladac za moim posrednictwem. Obawialem sie jednak, iz to, co zgromadzilo sie w pieczarze, bylo silniejsze i dziwniejsze niz cokolwiek znanego obecnie w Arvonie. Lekalem sie, ze Gwiezdna Wieza nie zdola sie przed tym obronic.

Mialem juz przed soba ogrod ziolowy i Gwiezdna Wieze. Wciagnalem do pluc mocny zapach ziol. Spodziewalem sie muru obronnego stworzonego z mgly i otaczajacego Wieze. Mialem nadzieje, ze powstrzyma sile, ktora przywolala Ursilla.

Nie zobaczylem jednak mgielki rozposcierajacej sie miedzy wspornikami. Na drozce przede mna pojawily sie trzy niewyraźnie majaczace postacie, jakby wyszly mi na powitanie. Z trudem pokonalem wlasne ciało, by zatrzymac sie przed nimi. Dopiero teraz bowiem zrozumialem, kogo mialem odnalezc...

Ksiezycowa Czarodziejke!

-Zabijcie mnie! - Opuscil mnie lamparci instynkt samozachowawczy. Albo umre tu i teraz, albo niemozliwa do opisania zla moc, ktorej nie umialem sobie wyobrazic, pochlonie



dziewczyne. Pozostali też być może zgina, ale Ksiezycowa Panna na pewno.

Zadne się nie cofnęło przede mną, Zwierzolak zaś nie posłuchał mojego błagania. Byli w tych samych strojach jak wtedy, gdy użyczyli mi swojej siły w komnacie Ursilli.

Trzymali wysoko w górze swoje symbole Mocy - galazkę z jednym zielonym listkiem w kształcie grotu, oplecioną księżycowymi kwiatami rozdzki i miecz. Ten ostatni... Jego brzeszczot powinien być wycelowany w moje serce lub mierzyć w ma szyję.

Warknałem i ryknąłem ze złości i bezsilną rozpaczą. Dlaczego mnie nie posłuchali!? Przyniosłem im nieszczęście, a oni nic nie robią!

Kobieta pierwsza wyciągnęła ku mnie rozdzkę. Może skieruje nią jakąś siłę, która... mnie zniszczy... Oczekiwałem miłosiernego ciosu.

Zamiast tego do mojej skołataną głowę napłynął taki sam kojący spokój jak wtedy, gdy jej ziola ukoili ból w moim poranionym grzbiecie. Geas, który nałożyła na mnie Ursilla, został stłumiony, przygaszony...

-Jestem dla was niebezpieczny... - Miałem nadzieję, że przynajmniej Zwierzolak odczyta ostrzeżenie.

-Wiemy... widzieliśmy.

Jego odpowiedź zabrzmiała wyraźnie w moim umyśle.

Pragnalem zapytac, jak to jest mozliwe, ale powstrzymalem niewczesna ciekawosc. Musieli miec jakies wlasne sposoby wykrywania wymierzonych przeciw sobie czarow.

-Musze zabrac... ja!

Magia Ursilli nie pozostawiala mi wyboru. Oni musza to zrozumiec! Albo zabiore Ksiezykowa Czarodziejke do podziemia, albo umre. Zdecydowalem sie na to drugie.

-Nie. - Znow dotarly do mnie slowa Zwierzolaka. - Wrozylismy z wody, z gwiazd i z ognia. Nasze losy sa ze soba splecione. Rachunki wyrownaja sie dopiero wtedy, kiedy stawimy czolo tej czarownicy z Car Do Prawn. Tak mowi przepowiednia. Jest czas topora - ciagnal - i jest czas miecza, a oba sa czasem ludzi. Jest czas wiatru i czas Gwiazdy - sa to czasy Wielkich Adeptow i Glosow Mocy. Jest tez czas Zwierzolaka i czas przemiany - i to one wzywaja nas teraz i nami rzaadza.

To brzmialo niejasno i niezupelnie zrozumialem, co chcial powiedziec. Ale jego stwierdzenie, iz nasze losy sie lacza, zdumialo mnie. Niemniej nawet na chwile nie zwatpilem w jego slowa. Bo chociaz nie byl Glosem Mocy, to wladal wlasnymi silami i energiami. Moje rozmyslania przerwal glos jego towarzyszki dzwieczacy w moich myslach.

-Ziemia i Powietrze, Ogień i Woda. Poprzez Swit ze Wschodu, Bialy Miesiac z Poludnia, Zmierzch z Zachodu, Czarny Mrok z Polnocy, poprzez cis, glog i jarzebine, poprzez Prawo Wiedzy, Prawo Imion, Prawo Prawdziwych Klamstw, Prawo Rownowagi - w taki sposob postepujemy.

Kiedy jej słowa przemknęły przez mój umysł, pozostawiwszy tylko zdumienie, podeszła do mnie Ksiezycowa Czarodziejka. Położyła mi dłoń na głowie, tak jak wtedy, gdy poleciła mi szukać klucza do zmiany postaci. Jej dotknięcie zmniejszyło brzemię ciąży na duszy.

-Ksiezyc jest jeszcze w nowiu, ale rośnie - powiedziała głośno. - Przybywa go, a więc przybywa tego, co jest moja bronnia. Zrobisz to, co trzeba. I myślę, że twoja czarownica przekona się, że nie tak łatwo stawiać czoło przyszłości.

Odwrociłem się plecami do Gwiazdnej Wieży. Nie odszedłem sam, gdyż obok mnie kroczyła Ksiezycowa Czarodziejka. Za nami szła nieznana mi z imienia kobieta, a u jej boku stapał wielki śnieżny kot. Przebyliśmy rzekę, zdążając tam, skąd przyszedłem, i ten sam niewidzialny przewodnik - geas - prowadził mnie prosto jak strzelił.

Ulga, jaka mi przyniesli, pozwoliła mi iść nieco wolniej. Szliśmy spokojnie przez nocny mrok i nie musiałem już biec co tchu. Niekiedy dłoń Ksiezycowej Czarodziejki muskała moją głowę. I za każdym razem robiło mi się lżej na sercu i rosła we mnie nadzieja, że przyprowadzę Ursilli nie to, czego pragnęła, ale to, na co zasłużyła.

Blask przedświtów rozjaśnił niebo, gdy dotarliśmy do starożytnych ruin. Zbliżaliśmy się już do ciemnego wejścia do jaskini, gdy nagle... rozległ się krzyk kobiety.

Odwrociłem się szybko. Stała w miejscu z wyciągniętymi przed siebie rękami i przesuwając nimi w dół i w górę, jakby macała jakąś powierzchnię. Nic tam nie widziałem, a przecież byliśmy z

Ksiezycowa Czarodziejka o kilka krokow od tego miejsca.

Sniezny kot wspial sie na tylne lapy, a przednie oparl o niewidzialna zapore. Warczac wysunal pazury i probowal drapac jakas pionowa powierzchnie.

W jednej chwili stracilem cala nadzieje. Nikt nic nie musial mi mowic. To bylo jakies silowe pole, ktore wpuscilo mnie i moja ofiare, ale nie tych, ktorzy mogliby nam pomoc. Zdecydowalem wycofac sie i zabrac stad Ksiezycowa Panne. Wzialesm do paszczy kilka lancuszkow z nanizanymi na nie dyskami z jej spodnicy i sprobowalem ja odciagnac. Lecz tak jak tamtych dwoje nie moglo do nas dolaczyc, tak ja nie moglem zawrocic.

Przyciaganie geas bylo zbyt silne i zdawalem sobie sprawe, ze dlugo nie zdolam mu sie oprzec. Wciagnie mnie pod ziemie i bede zmuszony poprowadzic ze soba Ksiezycowa Czarodziejke. Lepiej by bylo, gdyby Zwierzolak posluchal moich prosb i przebil mnie mieczem. Bez wzgledu na to, czy nasze losy sie polaczyly, czy nie, teraz nie mogli do mnie dotrzec ani ja do nich.

O tym, jak pani Heroise powiedziala prawde,

a ja stawilem czolo Ursilli

-Idz! - Rozkaz snieznego kota zaskoczyl mnie. Poczulem sie tak, jakby wydano mi dwa sprzeczne polecenia. Nie wiedzialem, co powinienem zrobic.-Idz! - powtorzyla za nim kobieta z Gwiezdnej Wiezy. - To nie jest potezny czar. Oslabil go uplyw czasu i na pewno zdolamy go zniszczyc. Jesli tu zostaniesz, ta, ktora na ciebie czeka, dowie sie o wszystkim. A wtedy moze przyslac cos, co te zapore tylko umocni.

Bardzo chciałem uwierzyć w jej słowa. Rosł we mnie lek. Lecz gdy Księżycowa Czarodziejka znowu położyła mi rękę na głowie i rezolutnie zwróciła twarz w stronę ciemnego wejścia, zrozumiałem, że choć ja połowicznie wierzyłem w moc tamtej dwojki, to ona nie miała najmniejszych wątpliwości. Wydawała się nieustraszona, ale pewnie nie zdawała sobie sprawy...

Niechętnie ruszyłem do przodu, a ona szła równo ze mną.

-Tam jest bardzo ciemno. Coś mnie prowadzi, lecz nie wiem co...

-Wiec i mnie poprowadzi - odparła - ponieważ pojedziemy razem.

Tak oto wkroczyliśmy pod ziemię i ostrożnie zeszliśmy po pierwszej pochylni. W gęstym mroku już wkrótce ja, lampart, przestałem ją widzieć, ale wciąż czułem dotyk jej dłoni.

W pewnym momencie obok mnie pojawiło się blade światło. Coś podobnego do mgiełki otaczającej Gwiezdna Wieżę. To dyski tworzące spodniczkę Księżycowej Panny i srebrny polksieczyc na jej piersi emanowały blaskiem.

-Tutaj jest jakaś ogromna siła - powiedziała. - Pobudza wszystko, co jest zestrojone z Mocą. - Wysunęła do przodu oplecioną kwiatami różdżkę. Każdy z szeroko otwartych kwiatów świecił bladym blaskiem. - Księżycowa Macierz nie dociera w głąb ziemi, ale wyczuwam tu jej Moc. Przypuszczam, że dawno temu przebywał tutaj ktoś, kto znał Księżycową Magię i posługiwał się nią.

Wcale nie była przestraszona i to mnie zaniepokoiło. Mój lek o nią chciałem wyrazić głosem, zapominając, że mogę wydawać

tylko gardłowe kocie pomruki. Musiała jednak odczytać moje myśli, bo spróbowała rozwiązać moje obawy.

-Nie, Kethanie, nie przecze, że ta twoja Madra Kobieta zna się na czarach znacznie lepiej ode mnie. Nie wiem jednak, czy zdaje sobie sprawę, że ja też mogę przywołać siły, które są jej całkowicie obce. Otrzymałam bowiem dobre wykształcenie. Jeszcze nawet dobrze nie umiałam mówić, a już potrafiłam zaglądać do ludzkich umysłów. Moja matka, wrocząc z ognia i wody, dowiedziała się, że mam magiczny talent, w dodatku odmienny od jej własnego. Nie dziw się temu. Albowiem moja matka jest Czarownica Zielonej Drogi, a mój ojciec był niegdyś Jeźdźcem Zwierzolakiem. - Powiedziała to tak dumnie, jakby recytowała listę spokrewnionych z nią bohaterów. - Moja matka wiedząc, że będę władczynią Mocy, zabrała mnie do świątyni Naeve. Jej kapłanki oceniły moje zdolności i orzekły, że będę Księżycową Czarodziejką. Kiedy nieco podrosłam, udałam się do Linarku i wiele tam się nauczyłam. Jeszcze więcej nauczyłam się od moich rodziców po powrocie do Reeth. Dawno temu w Reeth uprawiano Księżycową Magię i co nieco z niej pozostało, kiedy moi rodzice odkryli Wieże i zamieszkali w niej.

Mówiła z ożywieniem, tak swobodnie, jakby rozmawiała z przyjacielem na przechadzce wśród pól. A przecież coraz głębiej schodziliśmy pod ziemię, a naszym celem było stawić czoło Mocy, która przewyższała wszystko, z czym zetknęli się ludzie mojej rasy.

Nie pomyliłem się przypuszczając, że śnieżny kot był niegdyś Jeźdźcem Zwierzolakiem. Ale dlaczego nie mieszkał w Szarych Wieżach?

-Moja matka - ciagnela idaca obok mnie dziewczyna, moze znow czytając pytanie w moich myslach - byla Malzonka Z Krainy Dolin. Czy nie slyszales tej opowiesci, Kethanie? Jest tak znana, ze tkacze piesni juz umiescili ja w Kronikach Arvonu.

Tak, slyszalem. Jezdzczy Zwierzolacy znalezli sie wsrod banitow, kiedy dobiegla konca wojna Siedmiu Wielmozow. Skazano ich na wygnanie i mieli wedrowac dopoty, dopoki w ukladach gwiazd nie zajda pewne zmiany. Dopiero wtedy mogli prosic, by pozwolono im wrocic do ojczyzny. Wyruszyli na poludnie, do Krainy Dolin. Po jakimś czasie wybuchla tam wojna miedzy ludzmi, a stalo sie to na dlugo przed moim urodzeniem. Wowczas zawarli uklad z mieszkancami Krainy Dolin, tymi, ktorzy zajeli opuszczone ziemie. Walczyli u ich boku i wyparli najezdzcow do morza albo ich wybili. Za swoje uslugi Jezdzczy Zwierzolacy wyznaczyli cene: po zwyciestwie mieli otrzymac od wielmozow z High Hallacku dziewczyny z ich rodu.

I oto w Roku Jednorozca na skraj Ziem Spustoszonych przywieziono trzynascie panien. Wybraly one sobie mezow sposrod Jezdzcow, razem z nimi przybyly do Arvonu i zamieszkalaly w Szarych Wiezach. Nie wiedzialem jednak, iz byla wsrod nich jakas czarownica.

-Oni nie mieli pojecia, ze w zylach mojej matki plynie krew czarownic zza morza. Gdy byla jeszcze dzieckiem, wzieto ja do niewoli. Zolnierze z High Hallacku znalezli ja na zdobytym nieprzyjacielskim statku i jeden z wielmozow wzial na wychowanie. Nikt nie wiedzial o jej wrodzonym czarodziejskim talencie. Tylko Jezdzczy sie zorientowali i zaniepokoiili, gdyz nie chcieli miec w swym gronie wladczyni mocy. Probowali ja zniszczyc, usunac, a nawet zabic w zaswiatach. Moi rodzice

stoczyli tam jednak zwycięski boji powrocili do swoich cial, ktore tutaj zostawili. Lecz po tym, co zaszlo, moj ojciec nie chcial dluziej przebywac w Szarych Wiezach. To, co zrobili ze strachu jego pobratymcy, wzbudzilo w nim gniew. A potem rodzice znalezli Reeth, a raczej im o tym miejscu powiedziano. W ten to sposob Gwiezdna Wieza stala sie naszym domem. Zrobilismy z niej miejsce, w ktorym zlaczyly sie Zielona i Brazowa Magia, twierdze broniaca Arvonu przed mocami Ciemnosci. Ale teraz w Arvonie znow jest niespokojnie. Mowi sie o Bramach, ktore maja sie otworzyc, i o powrocie banitow. Nie wszyscy z nich gotowi sa zaakceptowac pokoj tak jak Jezdzczy Zwierzolacy. Ostatnio Jezdzczy do mojego ojca wyslali poslow ze slowami, iz zbliza sie dzien, kiedy beda musieli broniec swoich ziem. Moj ojciec jeszcze nie udzielil im ostatecznej odpowiedzi. Mysle, ze wiezy pokrewienstwa sklaniaja go do ugody, a dawne urazy do odmowy. Zanim sam tego nie rozstrzygnie, nie powie, czy robi to, czy tamto. Lecz ja i moja matka przypuszczamy, ze Gwiezdna Wieza wywarla wiekszy wplyw niz tamte przykre wspomnienia. Wrozyby pokazaly, ze Reeth zajmie w Arvonie wazne miejsce. Dluugo byl zapomniany, ale teraz zyje i rosnie w nim sila zycia!

Gdy tak sluchalem jej opowiesci, prawie widzialem w tych absolutnych ciemnosciach Gwiezdna Wieze, czulem zapach ziol rosnacych w otaczajacym ja ogrodzie. Tak bardzo chcialem znow tam sie znalezc, ze to pragnienie sprawilo mi bol, bylo jak otwarta rana.

-Tak - powiedziala po chwili milczenia. Zrozumialem, ze wyczula moja tesknote. - Reeth jest jak ciepla, opiekuncza dlon, ktora sie wokol ciebie zamyka. Lecz przetrwanie zapewnia jej to, co razem



robimy.

A ja? Coz ja najlepszego robie? Poczulem mdlosci. Po raz nie wiem juz ktory usilowalem powstrzymac swoj bieg, pokonac geas, nalozony przez Ursille. Nie! Nie wezme udziału w tej wstretnej grze! Nie chce, zeby uczestniczyła w niej Ksiezycowa Czarodziejka!

Warczałem i prychałem. Moje konczyny nie reagowały na rozkazy Kethana. Nie mogły - przecież lampart był tworem Ursilli! Drzałem cały. Ksiezycowa Panna znow polozyla mi dlon na glowie. Nie byłem w stanie rozproszyc jej watpliwosci, a ona tak starala sie mnie uspokoic. Moze nie zrozumiala, dokad ja prowadzilem i co tam na nia czeka?

-Kethanie - odezwala sie z taka powaga, jakby spiewala jakas czarodziejska piesn. - Mam na imie Aylinn. Moja matka nazywa sie Gillan, a moj ojciec Herrel.

Dopiero po dluzszej chwili dotarlo do mnie znaczenie jej slow. Wyznajac mi wlasne i rodzicow imiona przyznala poniekad, ze laczy nas pewne pokrewienstwo. Imie bowiem jest rdzeniem czlowieka, zwlaszcza wtedy, gdy w gre wchodzi sprawy Mocy. I powierzajac komus ten sekret, okazuje mu sie pelne zaufanie.

-Nie powinnas byla tego robic! - zaprotestowalem w mysli.

-Ale zrobilam! - W jej glosie zabrzmial stlumiony smiech. Nie straszny chichot triumfujacej Ursilli, ale wesola, przyjazna nuta. Dzwiek ten ogrzal mnie lepiej niz najgoretszy plomien. Wielu mieszkancow Car Do Prawn bylo moimi kuzynami, ale nikogo z nich nie moglbym nazwac przyjacielem. A mieszkancy

Gwiezdnej Wieży stali mi się tak bliscy jak towarzysze broni, których polaczyło braterstwo dusz.

-To długa droga - zauważyła Aylinn, nieco oniesmielona, jakby już nie chciała mówić o tak osobistych sprawach.

-Tak i nie wiem, jak długa - odpowiedziałem. Kiedy opowiadała mi o sobie, nie zwracałem uwagi na przytłaczający mrok, który nas otulił, jakby chciał udusić w swych ciężkich faldach. Załowałem, że wychodząc stąd nie policzyłem pochylni. Wiedziałbym teraz, ile ich jeszcze mamy przed sobą. Lecz wówczas kierowała mną tylko jedna myśl: dotrzeć tam, dokąd wysłała mnie Ursilla.

Wciąż w dół. Spodniczka i wisior Aylinn nadal promieniowały jasnością, ale ten blask nie rozpraszał mroku. W tym jednak miejscu nawet to słabe światło dodawało otuchy istotom zrodzonym, by żyć w blasku słońca, a nie w glebi ziemi.

Wreszcie poczułem pod łapami kamienne podłoże. Skrecilem w lewo, kierując się ku środkowi gigantycznej pieczary. Byłem przekonany, że właśnie tam znajduje się krąg kamiennych postaci. Po chwili zamigotała w oddali blada iskierka.

Niewidzialna nic, która sprowadziła mnie z powrotem pod ziemię, napięła się i szarpnęła mną. Pomyślałem, że Ursilla dowiedziała się o naszym przybyciu i ostrzegłem moją towarzyszkę.

-Ona już wie - odrzekła spokojnie Aylinn. - Już szykuje się na spotkanie. Nie wie tylko, Kethanie, że Gillan i Herrel rozerwali zapórę siłową i idą za nami.

Skąd o tym wiedziała?

-Kethanie, już wielokrotnie stąpaliśmy się w jedno serce i jeden umysł podczas obrzędów związanych z Moca. Każda cząstka ma świadomość, że całość jest w pobliżu... - Znowu usłyszałem cichy śmiech. Nie do końca pojąłem te słowa, ale jej pewność dodała mi otuchy. Obawiałem się Ursilli, ponieważ nie znałem jej planów. Lecz ufność mojej towarzyszkę pozwoliła mi mieć nadzieję, że może tym razem Madra Kobieta trafiła na przeciwnika, którego nie zdola tak łatwo pokonać.

Teraz biegliśmy. Ja sędziłem wielkimi, nierównymi susami, gdyż niewidzialna smycz podrywała mnie do dalszego biegu, Aylinn zaś tak lekko i swobodnie, jakby przemierzała lesną polanę.

Tak oto dotarliśmy do kregu postaci z jarzaczymi się głowami. Ale było tu więcej osób... Maughus! Jak się tu przedostał? I pani Eldris! Mój kuzyn i moja babka stali nieruchomo, jak wykuci z tego samego kamienia, co siedzące postaci. Maughus miał puste ręce, obnazony miecz leżał u jego stóp.

Ursilla czekała z uniesioną ku nam różdżką, w postawie rybaka z wędką, który przyciąga złapaną rybę do brzegu. Aylinn pozostała w tyle. Obejrzałem się i w blasku świecących kłoszy zobaczyłem jej twarz. Była spokojna i nieruchoma; jeszcze jedna nic nie wyrażająca maska. Żył tylko oczy.

Jej oplecioną kwiatami różdżką leżała w zgięciu ręki, jakby była zerwana po drodze wiązanka kwiatów o długich łodyżkach. Jeżeli Ursilla sądzi, że Księżycowa Czarodziejka istotnie stała się częścią jej polowy, może ją spotkać niespodzianka.

-Witaj, Kethanie - przerwała milczenie Ursilla. - Dobrze się sprawiłeś. A ty... - Przeniosła spojrzenie ze mnie na Aylinn, obejrzała ją od stóp do głów. Dostrzegłem w jej oczach błysk zaskoczenia, który szybko przesłoniła powiekami. Na pewno nie spodziewała się Księżycowej Czarodziejki. - Wiec to tak... - syknęła. Poruszyła rozdżka jak szermierz mieczem, zanim rozpocznie starcie. Z rozdżki trysnęły iskry. Zobaczyłem, że Aylinn się uśmiecha, nie triumfująco czy kpiąco, lecz szczerze, tak jak mogłoby to zrobić dziecko.

-Wezwalas mnie, Madra Kobieto. Przybylam wiec. Czego ode mnie chcesz?

Moja matka, która stała z drugiej strony paleniska, zachwiała się na nogach, a na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

-Kim jesteś? - dyszała ciężko niby wyczerpany biegacz i przyciskała dłonie do piersi, jakby chciała zmniejszyć ból.

-Jestem ta, która wezwala Madra Kobieta - odrzekła Aylinn.

Wszyscy patrzyliśmy na nią, ona zaś przybrała tak dumna postawę, jaka miała moja matka, gdy włożyła swoje najpiękniejsze odświeżone szaty.

-Nie! - Pani Heroise cofała się krok za krokiem, w miarę jak Aylinn zbliżała się do niej. Jej zdziwienie zamieniło się w strach. Z wyraźnym wysiłkiem przeniosła wzrok z Aylinn na Ursille. - Sprowadzilas niewłaściwa... - powiedziała piskliwie.

-Nie! - przerwała jej Ursilla. Opuszcila rozdżke, ale nadal trzymala ja zwrocona ku Aylinn, która zdawała się tego nie zauważać. -

Ten czar nigdy nie zawodzi, gdy wspiera go moc starożytnych. A to znaczy...

Moja matka pochylila sie do przodu, jakby nie mogla utrzymac sie na nogach bez oparcia. Jej wyciagnieta reka opadla na ramie Ursilli.

-To niemozliwe! - prawie wrzasnela. - Czy myslisz, ze nie rozpoznam krwi naszego klanu? Ale my mamy tylko niewielkie magiczne zdolnosci. Ona jest wladczynia mocy!

Sluchalem zupełnie oszolomiony. Chodzilo tu o cos, o czym wiedzialy tylko moja matka i Madra Kobieta, cos, co sprawilo, ze pani Heroise zapomniala o wszystkim innym.

-Nie zapytalas o ojca. - Ursilla wykrzywila waskie usta w usmiechu podobnym do grymasu trupiej czaszki. - Czy znalaz jego krewnych?

Moja matka puscila ramie Ursilli i cofnela sie. Uderzyla. piescia o piesc.

-Nie! Kogo w takim razie wezwalas do mojego loza? Kogo urodzilam?

Ursilla zachichotala takim samym straszny smiechem jak wtedy, gdy powiedziala, ze Maughus pozaluje tego, co zrobil.

-Wyglada na to, ze kogos lepszego niz myslalas, pani. A co do pochodzenia twego partnera... Przeciez to cie nie obchodzilo. Liczylo sie tylko dziecko. - Wolna reka nakreslila w powietrzu jakis znak, ktory zaplonal pomaranczowym ogniem.

Nic z tego nie rozumiejąc, patrzyłem to na jedną, to na drugą. Maughus pierwszy odgadł tajemnicę, która tak długo ukrywała. Jego ciało zakolysało się lekko; chciał się poruszyć, ale nie przelamał czaru. Dziki tryumf rozjaśnił mu twarz.

-Wiec... wiec to zrobiłaś! - warknął do stojących przed nim kobiet.  
- Teraz wszystko rozumiem. Udałaś się do świątyni Gunnory, żeby urodzić dziewczynkę, pani. Ale wszystkie twoje amulety zawiodły i wydałaś na świat córkę, a nie syna! W takim razie, skąd wytrzasnęłaś tego mieszanka z Ciemności rodem? - W jego spojrzeniu dojrzałem własną śmierć.

Tejże chwili odsłoniła się cała moja przeszłość. Maughus sprawił, że zrozumiałem wiele spraw. Tak, zrozumiałem, co się stało. Kiedy narodziny córki zamiast syna zniweczyły ambitne plany pani Heroise i Ursilli, uciekły się do zamiany dzieci. Jeżeli Ursilla rzuciła czar, który miał sprowadzić tutaj nieobecna córkę pani Heroise, to musiała być nią Aylinn. Ale kim byłem ja?

-Milcz! - Ursilla odwróciła się i skierowała rozdzkę na Maughusa. Jego szczęki się zacisnęły, twarz zaczerwieniła z gniewu, lecz nie mógł wymówić ani słowa.

-Nic nie straciliśmy - powiedziała stanowczo Madra Kobieta. - Jak ci się zdaje, dlaczego ja wezwałam? - Wskazała gestem Aylinn. - Dopóki żyje, jest dla nas niebezpieczna. Tym bardziej, przyznaje to teraz, ponieważ jest tym, kim jest. Dlatego pozbedziemy się jej. A tymczasem - rozesmiała się tym samym ohydny śmiechem - przykujemy do nas naszego pełnego szacunku syna w taki sposób, że nigdy nie zerwie swych kajdan. Uwolnimy się też od tego głupca o długim języku. - Wskazała głową Maughusa.

Pani Heroise cofnęła się jeszcze dalej. Patrzyła na Ursillę jak w transie. Lecz jej matka krzyknęła głośno, budząc dziwne, mrozące krew w żyłach echa w wielkiej pieczarze.

Ursilla sięgnęła do wewnętrznej kieszeni spodnicy. Wyjęła zwinięty pas, za pomocą którego zmuszała mnie do posłuszeństwa. Rozwinęła go jednym ruchem i wtedy zobaczyłem, że jest zeszyty w miejscu, gdzie rozdarły go szpony sokoła.

W tej chwili zdecydowałem się działać. Nie mogłem dopuścić, by skupiła na mnie całą siłę woli. Człowiek... Człowiek! Skoncentrowałem się na tym jednym pragnieniu, wspierając go zarówno energią lamparta, jak i człowieka.

Stałem się Kethanem. Lampart znikł.

Pani Eldris znów wrzasnęła. Tym razem zawtorowała jej pani Heroise. Z tyłu za Ursillą zobaczyłem Aylinn. Skinęła głową i skierowała ukwieconą rozdzkę w moją stronę. Napłynęła stamtąd dodatkowa energia.

Odniosłem wrażenie, że moja przemiana nie zaskoczyła Madrej Kobiety. Może nawet spodziewała się tego po mnie. Podniosłem miecz leżący dotąd u stóp Maughusa. On sam na próżno walczył z siłą, która go wieszała.

Ursilla uniosła rozdzkę. Przyszło mi na myśl, że mogłbym wytracić ją z ręki starej wiedźmy stalowym ostrzem. Żelazo chroni przed pewnymi rodzajami czarów. Ale czy Ursilla pozwoliłaby mi się w niego uzbroić, gdyby bała się żelaza? Uznałem, że nie.

Ursilla jednak nie skierowała na mnie rozdzki, lecz na palenisko. Dopiero teraz dostrzegłem, że znowu były tam ziola gotowe do podpalenia. Z rozdzki strzeliła iskra, pojawił się dym i język ognia.

Ursilla wybuchnęła śmiechem.

-To właściwe narzędzie, Kethanie, żeby wykonać to, co trzeba. To nie jest siedziba Ciemności takiej, jaka dzisiaj znamy. Lecz są tu moce, które przybędą napić się świeżo przelanej krwi. Kiedy się pożywia, pozwoli sobie rozkazywać - przez jakiś czas. A więc... beda miały swoją ucztę.

Wycelowwała rozdzkę w moje serce.

-Zabij! - rozkazała mi tak spokojnie, jakby kazała słuzacemu zamknąć drzwi.

Chociaż wyteżyłem całą siłę woli, moje ramie podniosło się. Kilka chwil wcześniej podobnie walczyłem, by stać się człowiekiem. Rozkazałem teraz palcom, żeby rozluźniły uścisk na rekojesci miecza; zadalem, by upadł na nagromadzony od stuleci kurz.

Toczyłem równie zżarty boj jak przedtem Maughus, a mimo to zrobiłem krok do przodu, potem drugi. Mój miecz mierzył teraz w białe ciało Aylinn.

Nie! Zatrzymałem się i zachwiałem na nogach. Raczej pozostanę zwierzęciem do końca moich dni! Nie zrobię tego! Niech Ursilla porazi mnie całą mocą swoich czarów, wszystkimi niebezpiecznymi siłami, które kryją się w tym miejscu. Niech zabije moje ciało... niech zabije w nim duszę! Ale tego nie zrobię!



Cofnałem się, potem postąpiłem krok do przodu, a czubek miecza zakolysał się w dół i w górę. Wola Ursilli walczyła z moją wolą o kontrolę nad ciałem Kethana.

-Uciekaj! - zawolałem i echo powtórzyło: Uciekaj... uciekaj... uciekaj...

Aylinn nie ruszyła się z miejsca. Spojrzała mi w oczy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie ucieka. Czy Ursilla w jakiś sposób omotała ją czarem zastoju, który sparalizował Maughusa i jego babkę?

-Zabij! - rozkazała ostrzejszym już głosem Ursilla. Wyczułem w nim gniew.

Zebrałem resztki woli i... oparłem się jej rozkazowi.

A potem...

Ból, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem, targnął moim ciałem! Krzyknąłem głośno.

Ursilla trzymała lamparci pas nad ogniem, wsuwając go powoli w płomień, kawałek po kawałku. Lizacy sierść i skórę ogień zaczął trawić także moje ciało.

-Zabij! - wrzasnęła. - Zabij albo zginiesz w mece! Jeszcze może mnie zwyciężyć. Coż za straszliwy ból przeszywa moje ciało i umysł! Ale dopóki zdołam go wytrzymać - nie ulegnę.

O pojedynku na czary i o tym,

jak poznaliśmy nasze przeznaczenie

Poprzez krwawą mgłę bólu zobaczyłem, że Aylinn zwróciła w moją stronę ukwieconą rozdzkę. Ból zelzał na moment. Lecz tylko na moment. Znow zaczęły mnie palić niewidoczne płomienie. Te widzialne chciwie lizaly pas, który trzymała nad nimi Madra Kobieta. Pomimo strasznych meczarni dostrzegłem jednak, że pas zaczął wic się w ręce Ursilli jak żywy. Wreszcie jednym gwałtownym szarpnięciem uwolnił się i unosił w powietrze.

Meczarnie ustaly. Oddychając ciężko zobaczyłem, że lamparci pas trzyma kobieta, która Aylinn nazywała Gillan i Zielona Czarownica. Obok niej przyl się do skoku śnieżny kot. W jego oczach odbijały się zaczarowane płomienie. Ursilla zachwiała się na nogach. Wyrwano jej pas z taką siłą, że straciła równowagę, a przez to omal nie utraciła kontroli nad siłami, które przywołała.

Najpierw z niedowierzaniem spojrzęła na swoją pustą rękę, a potem powoli podniosła głowę i popatrzyła na Gillan i Herrelę stojących w kregu kamiennych postaci. Nie ukrywały ich ciemności. Może oświetlający ich blask brał się z Mocy, a może z jarzących się głów posągów.

Nie wiem.

Twarz Ursilli zmieniła się. W ciągu tych kilku chwil postarzała się i upodobniła do trupiej czaszki.

-Kim jesteście...? - Jej głos brzmiał jak krakanie.

-Tymi, których wezwęłaś - odparła Zielona Czarownica. - Czy sadziłaś, Madra Kobieto, że możesz wezwać naszą córkę, a my pozwolimy jej iść samej?

-Corke! - Ursilla przyszła do siebie po przeżytym szoku. Odrzuciła do tyłu głowę i ohydnie zachichotała. - Czy uważasz ją za corke? - Wskazała na Aylinn. - Mylisz się, kobieto! Ona nie jest krwią z twojej krwi. Ty i twój małżonek Zwierzolak nie macie z nią nic wspólnego! Jeśli chcesz zobaczyć dziecko, które naprawdę urodziłaś, to spojrz na tego durnia! - Wskazała palcem na mnie.

-Tak, slyszelismy... - Gillan nie była zdziwiona. - Rozmawialyscie szczerze, a my mamy uszy. Synu - przeniosła na mnie wzrok - zabierz to, co do ciebie należy!

Rzuciła mi osmalony pas. Złapałem go z taką łatwością, jak przedtem moja prawdziwa matka, i owinałem się nim. Gładząc go teraz palcami, nie wyczulem najmniejszych śladów ognia.

Ursilla warknęła jak rozwścieczona bestia. Groźnie podniosła do góry rękę. Lecz ja już zdążyłem zapiąć cyrkonową klamrę. W prawej ręce trzymałem miecz. Spojrzałem na Aylinn. Jakie wrażenie wywarło na niej wydobyć na światło dzienne prawdy? Przecież tworzyła jedność z Gillan i Herrelem...

Ku memu zdziwieniu między nimi nic się nie zmieniło! Uświadomiłem to sobie, gdy wyczulem łączącą ich moc. Może nie była ich córką w swej cielesności, lecz pozostała dzieckiem ich serc i umysłów. Aylinn nie okazywała zaskoczenia. Zachowała spokój, jak człowiek, który dobrze wie, kim jest i gdzie jest jego miejsce.

-Czy sądziłaś, Madra Kobieto, że można odwiedzić świątynię Naeve i nie wynieść stamtąd wiedzy, co chciano kiedyś ukryć? To tam wszystko wyszło na jaw. Aylinn jest naszą córką z woli

tych, którzy są znacznie od nas potężniejsi... - mówiła Gillan.

Kiedy spojrzałem na Zieloną Czarownicę, która była moja matka, na mojego ojca Zwierzolaka i na Aylinn, ich przybrane dziecko, wtedy zrozumiałem, dlaczego wybrano właśnie ją. Poczulem pustkę w sercu. Samotność, która znalazłem przez całe życie, dopiero teraz ujawniła swoją prawdziwą istotę.

Nie byłem dziedzicem Car Do Prawn. Maughus otrzymał to, czego zawsze pragnął. A ponieważ prawda wyszła na jaw, przestane być narzędziem Ursilli. Byłem bardzo samotny i nie miałem nikogo bliskiego.

Popelnilem błąd zagłębiając się w siebie. Ursilla bowiem niespodzianie zaatakowała. Podniosła błyskawicznie rozdzkę i skierowała ją na Aylinn. Z rozdzki strzeliły płomienie, otoczyły Księżycową Czarodziejkę i ukryły przed moim wzrokiem. Spoza zasłony ognia dobiegł mnie krzyk.

Skoczyłem bez namysłu w płomienie. Owinęły się wokół mnie i przez chwilę czulem przeraźliwy ból. Znalazłem się przy Aylinn i objąłem ją.

Oboje staliśmy w kregu płomieni, które przybrały śmiercionośną barwę - purpurę Ciemności. Nie mogliśmy się już cofać. Plecami oparliśmy się o sztywne kolana siedzącego posagu, a ruchliwa purpurowa ściana podpełzała coraz bliżej.

Księżycowa Czarodziejka tuliła do piersi ukwieconą rozdzkę. Stała niema, ale jej ciało pulsowało rytmem jakiejś piosenki. Teraz ja spróbowałem się odwdziczyć i dodać jej własnych sił, by mogła osiągnąć swój cel.

Upuscilem niepotrzebny miecz, objalem Aylinn w pasie i podrzucilem na kolana kamiennej postaci poza zasieg ognia. Gillan i Herrel moze zdolaja odeprzec atak Madrej Kobiety, nim ogien dotrze i tam.

Poprzez szalejace plomienie widzialem cala trojke. Ursilla pracowala goraczkowo. Nakreslila rozdzka krag, zamykajac w nim siebie i kamienne palenisko. Wyjela cos zza pazuchy i wrzucila do ognia. Buchnal dym, ktory calkowicie mi ja r zaslonil. Slyszałem jej spiew - syczace, niewyrazne slowa, ktore mialy obudzic nieznana magie tego miejsca. Zaspiew ucichl i wtedy rozlegl sie przenikliwy dzwiek koscianego gwizdka - goraczkowy zew.

-Kethanie, chodz tu! - To byl glos Aylinn. Siedziala skulona w swoim dziwnym schronieniu i wyciagala ku mnie rece. Ale dla mnie nie starczyloby tam miejsca. Duszace wyziewy purpurowych plomieni zaparly mi dech w piersi. Zakrztusilem sie i ogarnely mnie mdlosci. Zdawalo mi sie, ze cale zlo swiata skupilo sie we wstretnych oparach.

-Do gory! - Aylinn schwycila mnie za ramie. Jej paznokcie pozostawily czerwone pregi na mojej skorze. Poczulem sile jej woli - przyciagala mnie w taki sam sposob jak geas Ursilli.

Nie wiem jak, ale zdolalem sie wspiac i oboje skulilismy sie na kolanach posagu. Okazalo sie, ze to nie byla postac trzymajaca figurke czlowieka, i zrobilo mi sie lzej na sercu. Szponiasta dlon posagu sciskala na wpol otwarty kwiat. Aylinn przesunela delikatnie palcami po kamiennych platkach, tak samo dotykala swoich ksiezycowych kwiatow.

Juz nie spiewala przywołujac Moc. Milczala i zdawalo sie, ze na cos czeka...

Ochronny krag Ursilli dotknal podstawy posagu z czlowiekiem w rece. Geste kleby dymu zawirowaly wokol siedzacej postaci i samej Ursilli. Oczekiwałem, ze to samo sie stanie z pozostalymi posagami, ale dym nie siegnal dalej. Ponad szara zaslona mglisto widzieliśmy rozjarzony klosz glowy. Kolory wewnatrz poruszaly sie coraz szybciej i ciemnialy.

Wznieczone przez Madra Kobieta plomienie dopelzly juz do stop statui, na ktorej sie schronilismy. Wydawalo mi sie, ze ten ogien plonal gniewem - jesli mozna tak powiedziec o ogniu - usilowal sie wzniesc jak najwyzej, staral sie do nas dotrzec. Lecz nawet najwyzsze plomienie siegaly ponizej nas.

Przez chwile (nie wiem, jak dlugo to trwalo) wydawalo sie, ze jestesmy bezpieczni. Spojrzalem poza plomienny krag. Ursille wciaz skrywala szara dymna zaslona. Trojka mieszkancow Car Do Prawn tulila sie do siebie, patrzac szeroko otwartymi ze strachu oczami. Czar, ktory Madra Kobieta rzucila na Maughusa, powoli tracil sile. Pani Eldris przywarla do niego. Maughus zdolal uwolnic ramie i podniosl je ponad nia obronnym gestem. Tuz przy ich nogach przykucnela z tylu pani Heroise. Cala jej arogancja zniknela. Przestala juz nawet plakac. Blada i wystraszona, nie odrywala wzroku od chmury dymu spowijajacej Madra Kobieta. To na niej skupila sie cala uwaga. Zadne nie zainteresowalo sie nami ani nie spojrzalo na nas ponad purpurowa obrecza ognia.

I mieli ku temu rzeczywiscie wazne powody. Nawet najniewrazliwsza istota, pozbawiona krzty magicznych zdolnosci,

wyczulaby obecność sił gromadzących się w tej dawno zapomnianej świątyni (jeżeli była to świątynia). Ursilla bowiem otwierała jakąś Bramę...

Aylinn zwróciła ku mnie twarz, gdy tylko ta myśl przyszła mi do głowy. Wyczytałem zdumienie w jej oczach. My, którzy urodziliśmy się po wielkiej walce między Mocami szalejącymi w Arvonie, tylko z legend znaleźliśmy tamte odległe czasy. Mielismy Kroniki, które często wspominały o Bramach i o tym, co można przez nie przywołać. Znacznie trudniejsze było wypędzenie takich niesamowitych przybyszów przez te przejścia w powłocę naszego świata.

Ale w żadnej z tych opowieści nie mówiono otwarcie o naturze samych Bram, o kluczach, które je otwierały, ani o tym, gdzie mogą się znajdować. Była to zakazana część wiedzy i stronili od niej wszyscy władcy mocy. A może teraz wtracili się słudzy Ciemności? Zawsze tylko z wielką trudnością utrzymywano w ryzach jej Wielkich Adeptów.

Pomyślałem, że to oczywiste, że w takim miejscu znajduje się jedna z Bram. A skoro Ursilla otworzyła ją w swoim szalenstwie... Woląłem o tym nie myśleć.

Gdzie byli pozostali mieszkańcy Gwiezdnej Wieży? Najpierw oszołomiony niebezpieczeństwem, zagrażającym Aylinn, potem czarami Madrej Kobiety prawie o nich zapomniałem. Teraz zmieniłem pozycję w naszym ciasnym schronieniu, usiłując coś dojrzec. Zaslaniała ich jednak bryła posagu, za którym się ulokowaliśmy. Aylinn zacisnęła reke na mojej dłoni.

Jej ukwiecona rozdzka drgnęła i zwróciła się w stronę kwiatu w

rece posagu. Ksiezycowa Panna ostroznie ja przechylila i czubkiem dotknela samego serca kamiennego symbolu.

-Daj! - powiedziala tak cicho, ze tylko ja uslyszalem jej slowa. - Daj mi wszystko, co mozesz dac, kuzynie!

Cala swoja uwage skupila na kwiecie i czubku rozdzki. Po chwili pojalem, ze stala sie kanalem dla sily, czesciowo przywolanej, czesciowo zas zaczerpnietej ode mnie. I mimo ze brakowalo mi doswiadczenia i praktyki, staralem sie przekazac jej cala swoja sile.

Bylem tym tak pochloniety, ze moj swiat zawezil sie do punktu, w ktorym rozdzka stykala sie z rzezba. Czulem, jak wyplywa ze mnie energia, jak Aylinn ja przechwytuje, oczyszcza, wzmacnia, przeplata z tym, co sama mogla dac. Dopiero wtedy uszlachetniona moc splywala w dol tej rozdzki.

Oplatajace pret ksiezycowe kwiaty zaswiecily czystym, bialym blaskiem ponad ponura purpura plomieni, ktore wciaz usilowaly nas dosiegnac. Rozdzka zamienila sie w snop ksiezycowej poswiaty tak jasnej, ze porazila moje oczy.

Aylinn nadal czerpala ode mnie energie, ja zas dawalem ja dobrowolnie, nie myslac nawet o przyszlych tego kosztach.

Teraz w punkcie, ktorego dotykala rozdzka, pojawil sie bladzy ogien. Zaczal rosnac, rozjarzyl sie i rozszerzyl, a kamienne platki upodobnily sie do platkow ksiezycowych kwiatow. Mialem wrazenie, ze to sila naszego pragnienia zamienila martwa rzezbe w zywa roslina.



Mimo głębokiej koncentracji niejasno wyczulem jeszcze coś. W postaci, na kolanach której się schroniliśmy, zachodziła jakaś zmiana. Okryte płaszczem ciało zaczęło pulsować! Nie było to drzenie oddechu czy bicie serca, ale... podobne!

Nie odważyłem się o tym myśleć. Najważniejsze teraz było to, co robi Aylinn. Wysiłkiem woli przegnałem wszelkie domysły na temat dziwnej przemiany.

Kamienny kwiat rozjarzył się srebrnym blaskiem. Z płatków strzelały wąskie świetlne spirale, aż w końcu wokół rzeźby uformował się w powietrzu znacznie od niej większy i wspanialszy kwiat. Kamienne płatki rozwarły się szeroko, jak paki w południe ciepłego dnia, a ich promienne repliki, początkowo stulone wokół serca kwiatu, też się rozchyliły. Ze środka rozjarzonej rzeźby wynurzyła się struzka srebrnego blasku, za nią druga i trzecia... Wiele razy widziałem, jak polne kwiaty po przekwitnięciu rozrzucaly nasiona z kitkami ułatwiającymi im podróż na skrzydłach wiatru. Z ożywionego kamiennego kwiatu wylatywało coraz więcej świetlistych skrawczków. Niektóre zniknęły w ścianie dymu, inne opadły w purpurowe płomienie u naszych stop.

Aylinn podniosła roźdzkę. Później spojrzała w górę, zdając się szukać wzrokiem gładkiej twarzy posagu. Wypływ energii ustal. Zanim mnie osłabił, żeby móc się poruszyć. Nie wiem, za jaką przyczyną, ale też zdołałem stanąć i odwrócić się twarzą do posagu.

W świecącym owalu trwało nieprzerwane falowanie i przemiany uwieczonych w nim kolorów. Lecz - tam było jeszcze coś. A może tylko to sobie wyobraziłem? Oczywiście! Oczywiście patrzące na mnie jakby z

wielkiej odległości, oczy senne, obojętne wobec mnie... Wówczas nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Jeżeli nawet popatrzyły na nas takie oczy, to szybko zniknęły. Rozdzka w dłoni Aylinn pociemniała i zgasła, a oplatające ją księżycowe kwiaty zaczęły usychać i opadać jeden po drugim. Kamienny kwiat i otaczająca go poswiata zniknęły w mroku. Ale tam, gdzie upadły świetlne nasiona, zaszły pewne zmiany.

Po nasionach, które wpadły do purpurowych płomieni, nie pozostał żaden ślad. Jedynym skutkiem ich działania było to, że w tych miejscach ogień zgasł, pozostawiając przejścia, których nie zdołały zamknąć ocalale języki ognia. Inne nasiona przebiły w ścianie dymu duże otwory. Przez nie mogliśmy zobaczyć, co się stało, kiedy Ursilla wezwwała wszystko, co tylko mogła, aby służyło jej tu i teraz. Widziałem, jak Gillan i Herrel podchodzą do jednej z tych wyrw. Śnieżny kot przypadł do ziemi, prezac się do skoku. Wspomnienie lamparta sprawiło, że moje własne mięśnie też się napięły na widok drgającego czarnego koniuszka srebrzystobiałego ogona.

Zwierzolak skoczył zrecznie w chmurę dymu. Za nim Gillan wpełchnęła rozdzkę i skierowała ją w stronę Ursilli. Madra Kobieta stała z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Z jej ust płynął potok syczących, belkotliwych słów. Na widok Herrela jej głowa pochylila się do przodu. Zamilkła. W tejże chwili śnieżny kot zadał wielką łapą potężny cios. Uderzył w kamienne palenisko przewracając je. Z zagłębienia wysypała się płonąca zawartość, którą Ursilla przygotowywała z takim staraniem. Rozrzucony żar gasł szybko i zamieniał się w popiół. Nie buchnął już nowy kłab dymu, a wisząca w powietrzu chmura zaczęła się rozpraszac.

Nagle... Okrzyk wydarł mi się z piersi, a zawtorowały mu inne ochryple krzyki. Siedzaca kamienna postać w pobliżu Ursilli - poruszyła się!

Figurka człowieka wypadła ze szponiastej reki, odrzucona na bok jak coś, co utraciło wszelką wartość. Później szpony zawisły nad śnieżnym kotem i zaczęły się zamykać. Rozległ się wyzywający ryk Zwierzolaka. Z ust Ursilli wykrzywionych w grymasie wydobywały się nieludzkie dźwięki. Madra Kobieta zamachnęła się na śnieżnego kota, który cofnął się przed jej rozdzką. Zagnęła go pod powoli opuszczającą się kamienną reke.

Byłem przerażony. Skulona obok mnie Aylinn coś krzyczała. Nie mogłem zrozumieć, o co jej chodzi. Nagle wiedziałem, co trzeba zrobić.

Listek na czubku rozdzki Gillan zadrzał. Później obdarta z kory gałązka zakolysała się tam i z powrotem. Twarz Zielonej Czarownicy sciągnął strach. Bąła się o Herrelę.

A potem... Nie wiem, jak zszedłem z kolan posagu, ale znalazłem się na kamiennej posadzce. Podniosłem upuszczony miecz. Sciskając go w dłoni, ruszyłem do przodu chwiejnym krokiem, wysiłkiem woli zmuszając do posłuszeństwa osłabione ciało.

Śnieżny kot zdołał się wymknąć kamiennym szponom i bez trudu przeskoczył przez otwór w szarej zasłonie, który zamknął się tuż za nim. Nie miałem czasu na poszukiwanie innego wejścia, zresztą zabrakłoby mi siły na przeskoczenie go. Dysponowałem tylko mieczem - a już rzekłem, że dla pewnych rodzajów czarów żelazo jest śmiertelnie niebezpieczne.

Nie wiem, skąd wzięłem siłę, ale uniosłem brzeszczot na wysokość ramienia i cisnąłem nim jak włócznią. Przeleciał przez otwór w zasłonie dymnej. Jednak żelazny pocisk nie przeszedł Ursilli. Złe wyceLOWAŁEM i za słabo rzuciłem. Czubek miecza tylko uderzył lekko w jej rozdzkę.

Oslepił mnie nagły błysk. Zasłoniłem oczy ręką. Nie udało mi się. Poczulem ogromne rozczarowanie, wręcz załapał mnie rozpacz.

-Kethanie!

Aylinn oparła mi na ramionach ręce. Poznałem jej dotknięcie, ale wciąż nic nie widziałem. Zamrugalem oczami. Przed sobą miałem tylko mieniącą się kolorami mgiełkę. W tej tęczowej mgiełce kroczyło na czterech łapach jakieś zwierze. Śnieżny kot!

Gillan dołączyła do nas w tej samej chwili, kiedy Herrel zbliżył się do nas. Przetarłem oczy, by usunąć mgłę przesłaniającą mi wzrok.

Nie wiadomo skąd powiał wiatr i rozproszył resztę dymu. Madra Kobieta przycupnęła u stóp posagu, który odpowiedział na jej wezwanie. Przed nią leżał miecz o poczerniałym, na polu stopionym ostrzu. Nigdzie nie widziałem rozdzki. Osrodkiem huraganowego wiru stała się Ursilla. Przypadła do ziemi, pragnąc uchronić się przed jego smagnieciem... Zniknęła! Na kamiennej posadzce pozostał tylko czepiec i splątane szaty. Madra Kobieta zniknęła. Nad miejscem, w którym przedtem się kulila, zawisła szponiasta ręka, sięgająca po nową zabawkę.

-Uciekła... - Głos Gillan dotarł do mnie poprzez wycie niesamowitej wichury. - ...kiedy jej moc została zniszczona.

Koniec z nią!

-Niech się tak stanie! - Rozległ się czyjs głos. Znałem go!

Maughus zostawił przerażone kobiety i podszedł do nas.

Patrzył błędnym wzrokiem.

-Jeżeli zamierzasz wziąć Car Do Prawn... - zaczął, jak gdyby wszystko, co tu się wydarzyło, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Zwracał się do Aylinn.

Księżycowa Czarodziejka rozesmiała się.

-A po co mi twój Zamek? - Podeszła bliżej do Gillan. - Nie potrzebuje żadnego spadku. Mam swoje własne miejsce.

-A ty - Maughus odwrócił się do mnie. - Ty nie masz do niego żadnych praw...

-I wcale go nie chce - odpowiedziałem. Czulem straszliwe zmeczenie. - Car Do Prawn jest twój, Maughusie. Teraz, nikt nie będzie kwestionował twoich praw.

Przyjrzał mi się z powatpiwaniem. Pewnie nie mógł uwierzyć, że nie będę walczył o Zamek. Na moim miejscu z pewnością by to zrobił. Ale dla mnie Car Do Prawn wydawał się równie daleki jak gwiazda i zupełnie go nie pragnąłem.

-Tak, paniczko Maughusie, Car Do Prawn jest twój... Wszyscy odwróciliśmy się jednocześnie. Za kregiem posagów ktoś stał. Potem szybkim krokiem wszedł w wyspę gasnącego blasku. Mijając miejsce, w którym jeszcze tancyło kilka purpurowych

jezykow ognia, machnal reka. Plomienie zniknely.

-Ibycus... - Bylem skrajnie wyczerpany i nie chcialo mi sie nawet zastanawiac, co w tej godzinie sprowadzilo tu kupca.

Uklonil sie i rzekl:

-Wlasnie, Kethanie. Widze, ze bardzo dobrze wykorzystales otrzymany dar...

Dotknałem pasa. Jakas czastka mojej istoty pragnela zedrzec go... i wyrzucic. Jednak jakas inna nie godzila sie na to. W razie potrzeby znow bede mogl stac sie zwierzeciem, ale odtad Kethan zawsze bedzie kontrolowal lamparta.

Skinal glowa. Zrozumialem, ze czytal moje mysli tak latwo, jakby byly runicznym zapisem.

-To prawda - dodal. Po czym odwrocil glowe i spojrzal na Gillan i stojacego za nia Herrela, ktory ponownie przybral ludzka postac. Oboje nagle wykonali jednoczesnie pelen szacunku gest. Kiedys widzialem, jak Pan Na Zamku wital w ten sposob wyslannika Glosow Mocy.

-Uwazasz pewnie, ze splatalismy wam kilka zlosliwych figli, pani?  
- Ibycus zapytal Gillan.

-Mysle, ze raczej chodzilo o to, by uczestnicy waszej gry nie zrozumieli jej znaczenia - odparla z wahaniem.

-Masz calkowita racje. Ursilla chciala dostarczyc dziedzica pani Heroise, ktora stala sie jej narzedziem. O tych wysilkach dowiedzial sie jeden z tych, ktorych zadaniem jest utrzymanie

rownowagi sil w Arvonie. Wykorzystalismy wiec ambicje Ursilli, zeby zahartowac przyszlych bojownikow slusznej sprawy. Przy tobie, pani Gillan, Aylinn stala sie taka, jaka byc powinna. W Car Do Prawn - gdyby Ursilla nie prowadzila wlasnej gry - ta panna nigdy nie poznalaby doglebnie swych magicznych zdolnosci. A tymczasem Kethan - usmiechnal sie de mnie - zostal poddany probie, tak jak swiezo wykuty miecz, i udowodnil, ze jest dostatecznie silny. A co do ostatniej przygody - we czworo utkaliscie cos, co przetrwa niejedna burze...

Ibycus zamilkl na chwile i wtedy przemowil Herrel.

-Twoje slowa roja sie od zamaskowanych aluzji, Wyslanniku. Czy jeszcze raz bedziemy musieli stanac do walki?

-Tyle wyczytalismy w przyszosci, ale nasza wiedza w tym zakresie jest ograniczona. Twoi kuzyni Zwierzolacy wraz ze swymi malzonkami z Krainy Dolin stworzyli nowa rase. Tych dwoje - wskazal na Aylinn, pozniej zas na mnie - rowniez sie do niej zalicza. Powiedziano nam, ze ma to wielkie znaczenie i ze z czasem dowiemy sie, jakie. A teraz... - Oparl rece na biodrach i przyjrzel sie nam po kolei. - To nie jest miejsce dla mieszkancow Arvonu. Jest stare, naprawde bardzo stare i lepiej, zeby o nim zapomniano. Opuscie je...

Wskazal szybko palcem na Maughusa, na pania Eldris i na Heroise. Nie dowierzalem wlasnym oczom: znikneli!

Potem objal nas wszystkich szerokim zamachem ramienia. Spadl na mnie chlod i mrok, a po chwili...

Stalismy w porannym sloncu. Troje mieszkancow Reeth

spogladało na mnie ciepło, a ich spojrzenia grzały gorzej niż słońce.

-Witaj w domu, Kethanie - powiedział mój ojciec, kiedy Aylinn prowadziła mnie do ogrodu zielonego, na drodze wiedząca prosto do drzwi Gwiezdnej Wieży.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)